



Magdalena Nawrocka

*Po
drugiej
stronie
tęczy*

Najtrudniej jest zacząć tę opowieść. Nie zacznę chyba od pijackich wynurzeń. Tylko inaczej jak zabrać się do trudnych zwierzeń? Chaos myśli, natłok wspomnień, wątpliwości. Kogo zainteresuje moje pisanie? Kto zastanowi się i zapyta o moje nieumyślne niedopowiedzenia, rozmyślne przemilczenia, czy też z racji zaistniałych faktów, zafalszowany obraz rzeczy?

Francuzi, nawet ci najmiłsi, zrozumieć potrafią niewiele. Mają swoje problemy i jeszcze raz problemy, a i poczucia wyższości im nie brak. Jeżeli chodzi o tych ze Wschodu, chwyciłaby może tylko jakaś sensacja. A sensacja tu gdzie? To życie, zresztą zwykle - moje.

Tutejszych Polaków nie obchodzi nic i nikt. To już wiem. Bolało, przeszłam nad tym do porządku, a raczej skapitulowałam. Gdybym zechciała opowiedzieć ich historie i przeżycia, miałabym szansę. Inaczej, nie.

Michał - przedwczoraj skończył dziewięć lat. Kiedy przyjechał do Francji, uczciwiej powiedzieć - został przywieziony, miał ich pięć. Gdyby on sam umiał opowiedzieć, co mu się przytrafiło, jak niespodziewanie wyrwali go stamtąd, z kraju, w którym się urodził i w którym przeżył całe swoje pięcioletnie życie i ku jego kompletnej dezorientacji stanowczo oświadczyli, że odtąd żyć będzie tu, we Francji i to jest dobrze, bo bliżej... bliżej niż Kanada, USA, ba, niż Australia...

Do czego bliżej?

... do rudej Ani z podwórka, do gitary podłożonej pod choinkę, do ciepłego mleka od krowy na mazurskiej wsi i tego małego szczupaczka, którego razem z wujkiem Włodziem złowili w jeziorze i jak Babcia zsiusiła się na wodnym rowerze...

I w tym wszystkim on - pięcioletni malec, wyrwany gwałtownie Babci przed końcem dwutygodniowych wczasów, aby rozpocząć to swoje wielkie **NOWE ŻYCIE**.

Wstał raniutko, jak prosili, o szóstej. Ulegle przymierzał wszystkie proponowane bagaże: torba ortalionowa plus torebka Mamy (nowa i skórzana, bo prawdziwa skóra to na Zachodzie walor), teczka z papierami plus radio, radio plus śpiwór, może jeszcze nesoser? A tak, oczywiście, został pouczony, że ma wyglądać, jak gdyby nie miał przy sobie nic.

Samolot 8.45. Okęcie. Wyszedł przed klatkę o siódmej. Sąsiadka pyta:

- A dokąd to tak wcześniej, Michałku?

- Do Francji, proszę pani, do Francji.

Gdzie tam, pomyślała sąsiadka. To niemożliwe, wmawiali sobie żegnający. Czy możliwe? Ich Magda - 32 lata; ośmioletni staż pracy w umiłowanym zawodzie i oni wszyscy przecież tutaj - rodzice zdecydowanie już nie młodzi, dwaj bracia, grono sprawdzonych przyjaciół. Gdzie ciągnie tego dzieciaka? I jeszcze ta ciąża, przecież to już osiem miesięcy... Zawsze była wariatką, ale żeby brawurować aż tak?!

I zostawia wszystko. Jak to? Zostawia przecież wszystko! Już jedenaście lat jak są małżeństwem. A ona zawsze tak bardzo chciała mieć dom. I co z tego, że wynajmowali mieszkanie? Tysiące młodych małżeństw tak żyje i się nie wygłupia...

Ponad dziesięć lat jak udawała dom - zbierała rzeczy. Czego tam nie było? Te dziesiątki żmudnie gromadzonych książek, nowoczesny regał specjalnie kupiony dla Michałka, zabawki i jeszcze raz zabawki, wydawnictwa dla dzieci - wszystkie dostępne nowości. To po co w takim razie kupowali je na wyrost? A jeszcze prawdziwa kolekcja najróżniejszych gier dydaktycznych, drobnych pomocy szkolnych. Zebrało się jednak tego wszystkiego trochę. Tak zwany życiowy dorobek.

Co wyliczać?

... Automatyczną pralkę zapobiegliwie kupioną jeszcze przed urodzeniem Michasia, supernowoczesną trzygwiazdkową lodówkę z wielkim trudem poprzez łańcuchowo uruchomione znajomości zakupioną na początku 81 roku. Gdzie więc sens tego całego zawracania głowy na kilka miesięcy przed planowanym tak desperacko wyjazdem? Jak gdyby do "rozdania" nie wystarczyło stare, wysłużone, pamiętające jeszcze kawalerskie czasy Andrzeja wierne, niezniszczalne "Igloo". Co jeszcze? Jakiś odkurzacz, froterka i oczywiście genialny enerdowski minirobot, który kroił, siekał i zamiatął, zresztą też kupiony spod lady...

I po co, po co uzupełniać tę listę? Listę od kilkunastu lat gromadzonych rzeczy, które teraz tak po prostu, tak beznadziejnie zostawia...

A jak to było, jak rozplakała się Babcia?

Przyszła na ulicę Grenady, gdzie przez pięć lat aż do wyjazdu jej córka i zięć wynajmowali mieszkanie, a tu znajome dziewczynki, małe sąsiadki z podwórka biegają jak zwykle, tyle że w sukienkach szytych przez nią na miarę. Bo Babcia była krawcową i pamięta, jak niełatwo szło się dla córki, jak Magda wyklócała się z nią o każdą zaszewkę. Wszystko musiało być dopasowane "na blachę", bo córka poszła w ślady mamy i te sto w biuście i siedemdziesiąt centymetrów w talii nie tak łatwo dawało się zatuszować.

... Ta garsonka z zielonym karczkiem... różowa kraciasta bluzka, a Babcia tak nie lubiła szyć koszulowych bluzek... ta sukienka "super", która według niej nadawała się tylko jako wdzianko do spodni. Kupowały ten materiał obie, jednak wzięły za mało, zaledwie metr dwadzieścia i wyszło straszne mini, ale Magda twierdziła, że o to właśnie chodzi i opowiadała przecież, jak kręcąc w niej tyłkiem, bywała szczęśliwa...

Obległy Babcie dzieciaki, demonstrowały jej zdobyte zabawki i ciuchy. Pytały o Michałka, kiedy nareszcie wróci. A Babcia płakała.

... Drobne meble, materace, podarte listy, zdjęcia i wręcz prawdziwy stos książek. Śmietnik. Zwyczajny śmietnik na Woli. Pytali ją, czy to nie tyfus. Zaprzeczała.

Tak, była silna. Przy wyjeździe asystowała do końca. Co innego Dziadek. W ten przedwyjazdowy wieczór był na Grenady i on. Niby grał dobrze i udawał, że wszystko jest jak zwykle. Może tylko mniej zrzędził i krytykował, nic też nie jadł i nie pił. A zresztą, czy piło się wtedy i jadło, nawet już nie pamiętam. Buzi było z daleka, jak do koleżanek w klubie emeryta. I że na Okęcie jutro nie przyjedzie, bo... bo nie!

A więc jeśli już wyjeżdżać, to trzeba się spakować.

Spakować się... I znów chciałoby się użyć przy tym słowie dużej litery albo wykrzykników. Bo jak się spakować na całe, na całe Nowe Życie?

Zaledwie dwie walizki do dwudziestu kilogramów każda.

...Dziecko - pielęgnowanie i wychowanie - Beniamin Spock, Dobra kuchnia - praca zbiorowa, Sztuka kochania - Michalina Wisłocka, Sto bajek - Jan Brzechwa, mały pluszowy lewek - ostatni prezent kupiony przez Babcię Michasiowi na wczasach, kilka ciążowych sukienek. Ta najnowsza różowa kupiona w przeddzień wyjazdu w butik za bająnskie pieniądze to istne cacko, sama słodycz: koroneczki, zakładeczki. Nie kwestionowany styl zachodni. Podkreślenie konieczne.

I voila, niech nas tam zobaczą. Oto jak dobrze jesteśmy przygotowani do podboju świata.

- Tylko po co ten jasek, nożyczki? Po co zabierasz nawet widelce i noże?! Magda, mój Boże, może w takim razie trzeba, żebyś i kilka konserw zabrała? I śpiwór? I korkociąg? No dobrze, nie krzycz. Wiem, że pamiątka. Ale, czy i TAM są takie kłopoty? Zresztą sama zobacz, co się z tobą dzieje. Zwykle tak dobrze zorganizowana, teraz nawet tych dwóch głupich walizek nie potrafisz upchnąć, zapakować. A poza tym weź jeszcze mój duży wełniany szal, jest bardzo ciepły, na pewno ci się przyda. Nie, to wariactwo, szaleństwo! I gdzie ciagniesz tego biednego dzieciaka?!

- Nie trzęś się, Babciu. Będzie dobrze, zobaczysz.

I ostatecznie lepiej, że lecimy "Lotem". Wtorek czy czwartek, co za różnica? Chociaż przyznam uczciwie, że na początku marzył mi się jednak po cichu lot z francuską linią lotniczą. Miała to być moja pierwsza "wielkoświatowa" powietrzna przygoda. Tylko te trzy wizyty w biurze "Air France" na Kruczej:

- Nie ma mowy! Powtarzam pani raz jeszcze i przecież mówię po polsku, zabieramy wprawdzie na pokład kobiety ciężarne, ale tylko, podkreślam, tylko do ósmego miesiąca ciąży. Czy nie wyrażam się dość jasno? Nie poleci pani, nie ma żadnej dyskusji. A to się uparła. Nie słyszała pani o powietrznych próżniach, o szoku wysokościowym? Natomiast nikt inny, tylko ja ryzykuję posadą gdyby, pani wie, o czym myślę, gdyby to się stało.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że rozmawiam z Francuzem, a przecież powinnam zwrócić uwagę, że ryzykował posadą, a nie jak to się mówi po polsku - głową.

- A zaświadczenie, które pani przedstawia, że niby lekarz nie widzi przeciwwskazań do podróży samolotem (nie domyślasz się nawet, mój biedny, jak załatwia się tu u nas takie papierki - raz jeszcze buzi dla doktora J.M.), wystawione jest na 36 tygodni ciąży. A nam, to jest francuska linia, proszę pani, francuska, w dziewiątym nie wolno! Nie, nic nam nie wiadomo o miesiącach księżycowych.

A więc dobrze, lecimy "Lotem".

Czwartek. Okęcie. Godzina 7.30. Mama, obaj bracia, młodszy Adam jak zwykle z dziewczyną, kolega z córeczką i torbą cukierków dla Michałka na drogę. Już ja się domyślam, z jakim trudem je zdobył. Pewnie, że oni wszyscy z nami tam byli. Ale ja, oszołomiona, zaaferowana podróżą jakbym ich nie widziała.

Pogardliwe spojrzenie celniczki:

- Noo, panią to już musi ktoś specjalnie obsłużyć.

Jestem gruba, więc nie podniosę. Przesuwam nogą moje dwie nieszczęsne walizki. Popłakuje Michałek zbyt kurczowo ściskany za rękę. Ani ja, ani tym bardziej on, nie zdajemy sobie sprawy, jak jesteśmy śmieszni czy raczej żałośni, obwieszeni tym całym wyjazdowym dobytkiem.

Co wywozimy - bursztyny, kryształy, kawior, suszone grzyby, może platerki?... Trafione. Platerki akurat mam. Sztućce po trzy na głowę. Jadę do męża, który jest na ubogim, "kawalerskim" gospodarstwie. Ależ tak, jak najbardziej - na wakacje.

I czemu uczeplił się pan tych papierków? To w końcu za dużo mam tych dolarów, czy za mało? Skąd aż dwa zaświadczenia? Wzięłam wszystko, żeby nie było problemu. Pierwsze, oficjalne zaświadczenie z PeKaO na 400 dolarów pożyczonych na lipę od ludzi, aby był papier jako podstawa do wniosku o paszport. A drugie, które pan tu widzi, też oficjalne, tyle że na okazalszą sumę, bo się już odkułam. Sprzedałam malucha, rocznik 79. Widział pan kiedyś ciężarną babę targującą się o samochód na warszawskiej giełdzie? Tak, mąż był już tam, a ja

czekałam tylko na sygnał - sprzedawaj, co możesz i przyjeżdżaj. Panie, to paranoja. Ten ledwo zipiący, wyeksploatowany do maksimum dwulatek poszedł prosto z marszu za okrągłą sumkę tak przeze mnie zawyżoną, że aż wstydzę się przyznać. A najgorzej było z prawymi drzwiami, które tylko ja umiałam zamykać. Dobrze, że klienta wypada puszczać przodem. To prawda, że uciekłam z tej giełdy trochę jak złodziej i dobrze, że wyjeżdżam już dzisiaj. Chociaż dziwne, bo i nabywca też żegnał mnie w wielkim pośpiechu, kluczyków omal nie zostawił. Płacił złotówkami.

Wyobraża pan sobie, co przeżyłam z tym majątkiem pod poduszką, zanim w poniedziałek nie wpłaciłam do PeKaO prawdziwej już waluty. Nie wspominam o samej procedurze, wiadomo - cinkciarze. Zapłaciłam kilka torebek po cukrze samymi nowiutkimi banknotami. No bo jasne przecież, że nie upchnęłam jednak tylu pieniędzy pod poduszkę. Schowałam je w spiżarni. Co może być bardziej naturalnego jak przezorny zapas artykułów żywnościowych na gorsze czasy? Złodziej, który szuka walorów, chyba cukru nie ruszy?

A z tą lokatą twardych w banku to też lipa, bo wpłacając złotówki w poniedziałek, odebrałam dolary spokojnie już w środę. I to jest właśnie, proszę pana, ten oto papier.

I niech pan powie, są tacy, co nasz polski system bankowy jeszcze krytykują. A to przecież autentyczna swoboda. Wpłacasz, wypłacasz, zabierasz tyłek w troki i wyjeżdżasz. Po prostu przyzwyczailiśmy się narzekać. To nasza narodowa słabość, proszę pana.

- Tędy Michałku, przejdźmy do poczekalni. Jeszcze tylko kupimy w tym sklepiku wódkę i papierosy. Nie, nie bój się, tu nie będzie kolejki. Zobacz, jakie ładne lotnisko, a te wszystkie samoloty wydają się stąd takie ogromne. No patrz, patrz! Tego przecież jeszcze nie widziałeś. I gdzieś na tej płycie czeka również nasz samolot. Zaraz wsiądziemy do autobusu, który nas tam zawiezie. A oni jeszcze stoją na balkonie. Pomachaj Babci.

- Babciu, nie płacz! Ja jestem tu, już po tej stronie.

- Adam, Adam! Teraz na ciebie kolej. Przeszłam, zaraz wsiadam. Z wami to tak zawsze. Cieszcie się ze mną. Nie płaczcie...

- Mamo, jestem szczęśliwa!

- Udało się, naprawdę udało!

Mój Boże. Dlaczego się właściwie tak cieszyłam?...

* * * * *

Zbyt długo trwało nasze pożegnanie. To już ostatni przewóz pasażerów, prawie pusty lotowski autobus.

- Pamiętaj, Michałku, przez cały czas trzymaj się blisko mamusi. Widzisz, to pewnie nasz samolot. Boisz się, że będzie tak "siadało" jak wtedy, gdy pozwolono mi cię zabrać razem z moimi świetlicowymi dziećmi na uparcie reklamowany lot nad Warszawą? Nie, nie sądzę. Na zagranicznych liniach latają najlepsze, najbardziej sprawne technicznie samoloty. Patrz, tego obok też sprawdzają. Tak, wtedy to i ja się bałam, że ta grzechocząca kupa źle skręconego żelastwa po prostu rozleci się w powietrzu. Gdzie masz radio? Wysiadaj. Chcesz pomachać? Nie, oni nas już stamtąd nie widzą. Poczekaj, niech się przepchają. Boże, co za chamstwo! Nic pana nie obchodzi, że ciężarna i z dzieckiem?

A tak się już wczoraj cieszyłam, będąc w mięsnyim sklepie, że ostatni raz stoję w kolejce, że te wściekłe, nienawistne spojrzenia ostatecznie będę miała za sobą.

...Warszawskie kolejki. Kolejki po mięso, po ser i po masło, po proszek do prania, po pastę do zębów, po papierosy i gazety... Kolejki po wszystko. I te setki, na pewno setki przestanych przeze mnie w ogłupiającym oczekiwaniu godzin.

To fakt, że ostatnio zrobiłam się właściwie bezczelna, stałam się głucha i ślepa.

...Wyrwę wam jeszcze (jakim Wam?) i te rajstopy... da mi pani, proszę ten większy kawałek (to o żółtym serze), tak, i masło i serki topione też biorę. Tylko po dwa? Poproszę...

Jeszcze wczoraj aż do zamknięcia biegałam do najbliższych sklepów niecierpliwie sprawdzając, czy nie rzucili parówek. Przydadzą się, jak mama z moim starszym bratem Włodkiem przywozą z wczasów Michałka, a zresztą dlaczego miałabym zostawić niewykorzystane kartki. W gorączkowej, przedwyjazdowej bieganinie nawet i Dziadkom zrealizowałam niemal cały miesięczny przydział.

I dobrze. W każdym razie zostawiam tego trochę: zamrażalnik prawie pełny, w lodówce masa poszukiwanych towarów, kilka kilogramów proszku do prania, niezły zapas waty, a i papier toaletowy, tak, i papier też. Jednak bez wątplenia najważniejszy jest kanisterek benzynki (bo o benzynce, jeśli się ją już ma, należy mówić wyłącznie pieszczotliwie) "zorganizowany" przez Adasia, nic dodać nic ująć, tylko w przystani Żeglugi Wiślanej. Stoi sobie teraz ten łatwopalny zbiorniczek na balkonie i czeka na Włodzia, bo przecież chłopak będzie musiał jeszcze jakoś do siebie wrócić.

Pewnie, że to wszystko, to właściwie nic, ale proszę, idź i spróbuj to niby nic załatwić albo kupić. A tak, ci Moi przez najbliższe tygodnie będą mieli spokój, to i ja wyjeżdżam trochę spokojniejsza. A więc, czy ważne te wszystkie upokorzenia, obelgi jeszcze w tej chwili wracające jak na zawołanie, tak pełno mam ich w głowie:

- No nie, następna w ciąży! Tego już za dużo. Niech pani im nie sprzedaje! Stoimy tu od rana. Czy żyć to potrzebujecie tylko wy i wasze dzieciaki?! Narobią tych bachorów, a potem do lady bez kolejki, a przecież nasze też nie chcą zdychać! Musi być jakaś sprawiedliwość - niech ci wszyscy "uprzywilejowani" też tak jak i my postoją. Teraz ja, proszę pani! Teraz pani mnie obsłuży.

Możecie mi natrukać. Minał okres, że wracałam do domu z niczym, ale za to roztrzęsiona, spłakana. I będziesz miał Michałku tego arbuza, a pan niech się na mnie tak nie pcha, bo wezmę i poronię i sklep będzie miał kłopoty.

Inwalidzi, ciężarne i matki z dziećmi na rękę - co piąty! Teraz MOJA kolej...

Tak, to trzeba przeżyć, trzeba przez to przejść, aby zrozumieć, jak taka sytuacja upokarza, boli. Ale, co tam. Wchodzimy na stopnie samolotu.

- Wsiadaj, Michałku, nie oglądaj się, wchodź. Przejdźmy do tyłu, tu miejsc już nie ma. I tu wszystkie zajęte. Poczekajmy, stewardesa nas posadzi.

-Pani siądzie o tu, proszę, a ten śliczny chłopczyk... chodź ze mną. Znajdę miejsce i dla ciebie.

- Nie! Ja chcę z mamusią, mamo!

- Nie bój się, zostaniesz przy mnie. Musimy siedzieć obok siebie, bardzo panią proszę.

- Widzi pani, że to niemożliwe. Nikt nie ustąpi miejsca. Może pan?... A może pani się przesiądzie?

- To proszę w takim razie zostawić nas w spokoju. Ja będę stała tu przy dziecku i żeby nie wiem co, stąd się nie ruszę.

- Ależ spokojnie, proszę się tak nie denerwować - w głosie stewardesy wyraźny niepokój. - Przecież w pani stanie irytacja może zaszkodzić, a chyba chcemy obejść się bez przygód? Tego młodego pana poprosimy, aby przeszedł na inne miejsce.

Uf. Kapitan Czajka wita na pokładzie. Proszę zapiąć pasy, zgasić papierosy! Startujemy...

Lecę, oderwaliśmy się od ziemi... i nic, zupełnie nic się nie dzieje. A przecież, jak mnie straszili, właśnie start jest najgorszy. Nie mam żadnych sensacji, nawet zwykłych mdłości, ani szumu w uszach. Może to nienormalne? Pójść by do łazienki i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku? Żeby chociaż kopnąć... Obudź się, Maleńki. Daj znać, że lecisz razem z nami. I urodzisz się już tam, nie, nie w tym samolocie. A pewnie to bzdury, co opowiadali, że dziecko urodzone w samolocie

otrzymuje obywatelstwo docelowego kraju, a także bezpłatne przeloty... Ale my się bez tego obejdziemy. Zostań jeszcze ze mną i śpij sobie spokojnie, aż wysadzimy cię z Michałkiem już na Orly, na miejscu.

Niepoprawna jednak ze mnie histeryczka. To oczywiste, że Maluch po prostu śpi i tylko dlatego się nie rusza. Po dwóch tabletkach uspokajających, które za poradą lekarza wzięłam rano, będzie spał pewnie do wieczora. A wieczorem będzie już bezpieczny.

Nie siedzimy przy oknie, nic nie widzimy. Najważniejsze jednak, że lecimy i to jak równo, spokojnie. Żadnego huśtania, zrywów. Mój synek siedzi przy mnie jak trusia. Jego zaróżowiona z emocji buzia, zaokrąglone zdumieniem oczy świadczą o "wielkiej przygodzie", którą właśnie przeżywa.

- No, jak się czujesz, Michałku? Patrz, roznoszą już napoje. A potem będzie śniadanie. Przytul się do mnie. Pocałuję cię, kochany... Ten pan chce cię wziąć na kolana. Idź, zobaczysz chmury, piękne chmury. Nie, Polski już nie widać, przelatujemy nad Niemcami. Patrz, jak jest przyjemnie i nic się nie dzieje. Pocałuj mamusię... A teraz będziesz ładnie jadł. Dla ciebie jest ta cała tacka. Jedz powolutku, zacznij od szynki, a tu masz jeszcze grzybki i serek. A na deser - babeczka. Pamiętasz, jak Babcia przynosiła te ciastka?

Śliczna twarz stewardesy pochyla się nade mną. Na ustach uprzejmy, zawodowy uśmiech, czujne i pełne obawy spojrzenie.

- Nie, dziękuję. Nie będę jadła. Jeśli można, to poproszę o coś zimnego do picia.

Miła obsługa, dobre jedzenie. Wszystko tak apetyczne i jak elegancko podane. Pełna kultura i komfort.

- Dzisiaj, Michałku, jest nasze święto, czy czujesz to? Lecisz do tatusia. Zaraz będzie po wszystkim. To niemożliwe, już?!

Wylądowaliśmy w Paryżu. Serwis "LOT"u dziękuje za współpracę i życzy miłego pobytu.

- Paryż, obudź się nasz Mały! Paryż!!!

Idźmy za ludźmi, tak, trzeba skręcić. Najpierw tunel, potem korytarz. O, korytarz jak korytarz i... uszczypnij mnie, gdzie jestem? No przecież wiem, że w Paryżu. Ale te wystawy! To już tu, na lotnisku są te słynne sklepy? A ci ludzie przed nami - to nic, że kolorowi, ale co za maskarada - długie do ziemi nocne koszule, na głowach chusty, szale, jakieś turbany...

Co się dzieje z moimi oczami? Niby widzę - biżuteria, futra, jakieś manekiny, zabawki, książki, ale oczy mnie pieką, zaczyna kręcić mi się w głowie. Już wiem, to światło. Światło agresywne, różnobarwne atakujące z każdej witryny i neonu moją skołataną świadomość.

- Idźmy szybciej, Michałku! Idźmy szybciej, bardzo cię proszę.

Duża hala, wąskie przejście, do którego przepychają się bez pardonu pasażerowie polskich linii lotniczych. Znow jesteśmy w tłoku. Dokumenty, stempelki - już po wszystkim.

Jest tatuś! Jest Andrzej! O rany, jaki elegancki, letni garnitur jasnopopielaty.

- A coście się tak poubierali? Tu nie Syberia, to Francja.

Mój ciężki płaszcz, ortalionowa kurteczka Małego nagle przeszkadzają, wstydzą.

- Tu są wasze walizki. Teraz tędy. Przeszliśmy właśnie przez kontrolę celną. Tak, to była właśnie ta bramka z tyłu.

Jak to, już po kontroli? To niemożliwe. Przecież nie było ŻADNEJ kontroli! Czyżby "żelazna kurtyna" miała tylko jedną stronę?...

* * * * *

Okazuje się, że z lotniska Orly do samego Paryża jest kawał drogi. Jedziemy autobusem.

Do autobusu wchodzi się przednimi drzwiami. Widzę, że niektórzy pasażerowie posiadają małe, żółte bileciki, inni okazują kierowcy pewnie takie miesięczne - pomarańczowe karty, a jeszcze inni u tegoż kierowcy po prostu bilet kupują. Wychodzi więc na to, że kierowca sprawdza, sprzedaje, a dopiero potem prowadzi autobus. Nieźle skumulowanie funkcji. Ciekawe, co powiedzieliby na to nasi "panowie gniewalscy" z MZK. A kanary? Poszłoby bractwo na zieloną trawkę.

Jak każdy chyba Polak po raz pierwszy przyjeżdżający na Zachód, pragnę mieć oczy na wszystko otwarte, chcę wnikliwie obserwować i porównywać. Mogę więc zatem uznać, że pierwsze spostrzeżenie mam już z głowy.

W autobusie rozmowa się nie klei. Nie wiadomo, czy lepiej słuchać, czy patrzeć; pokazywać, czy opowiadać.

Spoglądam przez okno: szerokie ulice, wysokie domy, jedna za drugą uliczne kawiarenki. Rzędy kolorowych stolików i krzeseł poustawianych wprost na chodnikach pod różnobarwnymi markizami...

I już wiem, co mi to przypomina - to Paryż Remarque'a. To "mój" Paryż z ukochanego Łuku Triumfalnego. Kolejny raz czytając tę książkę na krótko przed samym wyjazdem dopingowałam wyobraźnię do przywołania obrazu tego miasta, o którym jeszcze wtedy nie wiedziałam, czy będzie on docelowym, czy tylko pierwszym etapem w tej wyprawie po przyszłość.

I tak, w niecałą godzinę od przyjazdu wrócił do mnie ten obraz Paryża wyczarowany kartami książki. Z tym, że było to teraz miasto realne. Miasto, które

podziwiałam i którego byłam zawsze bardzo ciekawa. Chociaż tak naprawdę nigdy nawet nie marzyłam, że mogłabym kiedykolwiek w nim się znaleźć.

Jesteśmy na miejscu. Szesnasta, podobno najbogatsza, najbardziej elegancka dzielnica Paryża. Oglądam się dookoła, głowa kręci się na wszystkie strony, docierające zewsząd wrażenia odbieram całą sobą.

Podchodzimy do wysokiej, masywnej kamienicy. Wielka żelazna brama, połączana tabliczka anonsująca dumnie: "Stacja badawcza PAN" - nasz hotel.

Wnętrze wydaje mi się od razu bardzo przyjemne, swojskie. Przestrzenny hall, stylowe meble, obrazy na ścianach, dekoracyjna ciemnobordowa wykładzina na podłodze. Zauważam ciekawskie spojrzenia mijających nas ludzi i jakby nieufne spojrzenie kierownika hotelu. To pewnie ten mój nieszczęsny brzuch budzi wątpliwości. Jeszcze tylko cicho sunąca winda i jesteśmy w pokoju, u siebie.

Boże, jak tu przytulnie i ładnie: parkiet, dywan, ława i fotele, zgrabne małe łóżka, regalik, na stoliku telefon. A te drzwi? Ach, jest więc i balkon.

Teraz tylko błyskawiczne odświeżenie się, zrzućcie kompromitujących nas ciepłych ciuchów i pierwsza wyprawa na miasto. To przecież nie byle co, czeka na nas Paryż.

Jestem podekscytowana, szczęśliwa. Zupełnie nie czuję zmęczenia. Muszę to WSZYSTKO zobaczyć i nie ma mowy - natychmiast, zaraz!

Nie czekam długo, dosłownie dwie, trzy małe uliczki i teraz nie zwątpię, że jestem w Paryżu, w samym jego centrum.

Stoimy pod Łukiem Triumfalnym akurat tam, gdzie biorą początek słynne Pola Elizejskie. Zdziwienie... zachwyty... wzruszenie. Potężna sylwetka Łuku Triumfalnego przysłania mi niebo. Próbuję ogarnąć wzrokiem leżący pod nim plac, odszukać promienie słynnej gwiazdy dwunastu ulic i aż mnie zatyka. To niemożliwe: samochody, samochody i jeszcze raz samochody. Plac jest ogromny, ulice są bardzo szerokie, a mam wrażenie, że od nadmiaru pojazdów ulice te pękną w krawężnikach. I mimo, że samochody jakoś się posuwają i nic się nie dzieje, wydaje mi się, że za chwilę musi być jakiś wypadek. Przecież one jadą bez składu i ładu tak

jakoś każdy w swoją stronę. Nie, nie da się tego inaczej określić - to jest jeden wielki bałagan!

Ruszamy Champs-Elysees. Przeżyłam jakoś przejście na drugą stronę jezdni, czułam jednak tę niezmierną falę wozów dosłownie za piętami.

Godzina jedenasta. Upał.

Na jezdni natłok pojazdów, a na chodnikach nieprzebrana masa ludzi. Wszystko jest trochę tak, jakbym oglądała jakiś film w zwolnionym tempie. Ci ludzie gdzieś idą albo skądś wracają, ale nikt się nie spieszy, nie przepycha. Oni chyba, podobnie jak my, zwyczajnie się przechadzają, demonstrując innym swoją tutaj obecność. Aż bije w oczy uroda i jakaś nonszalancja i uderza kontrastem wygląd tych ludzi. Wygląd bądź to bogaty, elegancki, niekiedy szokująco ekstrawagancki, a nieraz odstraszająco żebraczy.

Słyszę różnojęzyczny gwar głosów. Usiłuję wychwycić francuski.

- Pokaż mi Francuza. Ja chcę zobaczyć "prawdziwego" Francuza.

Mój mąż uśmiecha się tylko w odpowiedzi:

- Paryż, sierpień, Champs-Elysees i do tego przed południem - nie, tu w tym tłoku trudno będzie wyłowić rodowitego Paryżanina.

A ludzka fala płynie obok mnie nieprzerwanie. Widzę Niemców i Amerykanów, grupy Japończyków, Chińczyków, są Hindusi i Arabowie, słyszałam też język rosyjski. I wszystko to na raz na jednej ulicy, o jednej godzinie, na małej przestrzeni tego odkrywanego przeze mnie miasta.

...Sklepy, salony, kina i galerie, kawiarnie, restauracje. A wszędzie wystawy, dekoracje, afisze. Na domach neony. Na razie mogę się tylko domyślać cudów, jakie sprawiają.

Sklep z cukierkami.

Nie wiem zresztą, czy to sklep, skoro nie ma tu żadnych drzwi, ani progów. W Polsce to byłby chyba stragan, tyle że pod dachem. Ale to, co tu widzę, jest piękne jak obrazek z kolorowego snu: wielki prostokątny krwistoczerwony dywan zastawiony

ogromnymi szklanymi kielichami. Kielichy muszą być chyba od spodu podświetlone, bo od każdego odbijają się niesamowicie różnobarwne refleksy. A w środku właśnie cukierki. Chociaż mnie trzeba było powiedzieć, co to właściwie jest, gdyż dla mnie były to raczej zabawki, korale, czy ja wiem, klejnoty. Co za bogactwo kolorów, pomysłowość kształtów i pewnie smak. Boże, co to musi być za smak! Żeby było dowcipniej, można dobierać z każdego naczynia po trochu tych delicji, bo cena wszystkich cukierków jest taka sama.

Z nadzieją spoglądam na męża. Michał kręci się niespokojnie. Twarz naszego "Paryżanina" wykrzywia się jakoś dziwnie. Ale ja, panie mężu, ja znam dobrze ten grymas. Idąc za jego spojrzeniem, odczytuję dyskretnie zatkniętą za każdym kielichem cenę.

- Idziemy dalej, syneczku. Cukierki mamy w hotelu.

Już nawet się nie odwracam. W głębi serca nie jestem jednak ani trochę przekonana - cena 8 franków za 100 g zupełnie nic mi nie mówi.

Salony samochodowe. Ba, pewnie, że to salony. Michała bawią drzwi uruchamiane fotokomórką, kręci się w tę i z powrotem. Podobno można tam wejść, wziąć prospekty, robić mądre miny, a nawet się za kierownicą i z uslužnym sprzedawcą przedyskutować cenę.

Tu rozmawia się z każdym. Każdy wchodzący do sklepu traktowany jest jak potencjalny klient. I wszyscy są mili, uśmiechnięci, uprzejmi. A jeśli nawet jakiś bardziej rozgarnięty sprzedawca dopatry się w nas jedynie ubogich turystów z Polski, to też będzie miły, uśmiechnięty, uprzejmy, bo ma już taki nawyk i inaczej po prostu nie może. Proszę, co za kultura. Od razu poczułam się lepiej.

Upał coraz bardziej daje się we znaki. Wchodzimy do małego baru w stylu, jak się dowiaduję, amerykańskim. Ma ładną nazwę "Mac Donald".

Zgłodniałam z tego wszystkiego i cieszę się, że coś przegryziemy.

- Dla ciebie biorę kawę, dla Małego cocę, ja zjem hamburgera - informacja męża jest ścisła, żadnych wątpliwości, działanie w toku. - Jedliście przecież w samolocie.

A to już nie wiem - tytułem uzasadnienia czy usprawiedliwienia. Ciekawe. Na wszelki wypadek wbijam wzrok w tablicę z cenami. Po doświadczeniu z cukierkami coraz bardziej podejrzewam, że tu jest pies pogrzebany, ale... Ale cyferki, jak cyferki - kompletna chińszczyzna. Ogólnie jest przyjemnie, chłodno i gra muzyka. Michałek zachwycony jest coca-colą, a ja, ja mam swoją kawę.

Pokrzepieni ruszamy dalej. Po dojściu do Sekwany skręcamy, będziemy szli teraz bulwarem wzdłuż jej brzegu.

Woda w rzece jest mętna i brudna. Sekwana musi być bardzo głęboka. Wielkie barki towarowe, małe i większe statki pasażerskie - wszystko to jak na makiecie takie kolorowe, ładne, wesołe. Brzegi wysokie, niemal wszędzie obmurowane.

Gdy patrzę na rzekę z jej licznymi, śmiało zarzuconymi mostami, na te bulwary wysadzone pięknymi, starymi drzewami, na te masywne budowle na drugim jej brzegu, przypomina mi się nagle Budapeszt i moje oczarowanie Dunajem.

Idziemy długo. Czuję się już bardzo zmęczona.

Dowiaduję się, że jesteśmy teraz w studenckiej dzielnicy, w tak zwanej Dzielnicy Łacińskiej. Wchodzimy w labirynt wąziutkich uliczek przypominających trochę naszą warszawską Starówkę. I tu kompletny szok. To, co teraz widzę, przechodzi moje wyobrażenie. Zatrzymuję się co krok zauroczona, zafascynowana.

Wzdłuż każdej uliczki, jedna za drugą małe knajpki, tycie restauracyjki, a śliczne jak malowane. Okna wystawowe są jak bufety prezentujące najróżniejsze serwowane dania: stosy barwnie skomponowanych szaszłyków, jakieś sałatki, kolorowe zapiekanki, gdzieniegdzie płyty mięsa rzucone wprost na ruszt... homary, ostrygi, krewetki, piramidy południowych owoców. A największe wrażenie robi na mnie mały, śliczny prosiaczek, który z jabłkiem w pyszczku dostojnie obraca się na rożnie.

Zaczyna mi się robić niedobrze. Czuję narastającą histerię. Jestem wściekła i chce mi się płakać:

- Nie mogłeś przyprowadzić mnie tutaj od razu, kiedy wiedziałeś, że tak tu ładnie?! Mogłeś przewidzieć, że takie miejsce na mi się pewno spodoba. I po co było

leżć taki kawał wzdłuż Sekwany?... A teraz jestem tutaj i co mi z tego, skoro nie zrobię więcej nawet jednego kroku?

Wiem, że jestem niesprawiedliwa, ale mam to w nosie. Andrzej śmieje się ze mnie i obiecuje, że przyjdziemy tu jeszcze nie raz. Będę mogła oglądać to wszystko, jak długo zechcę, aż do znudzenia. Gadanie, czy takie cudności mogą kiedykolwiek się znudzić? Trochę jednak uspokojona daję się zapakować w autobus. Wracamy do hotelu.

Po krótkim odpoczynku schodzimy do kuchni, przyrządzić coś do jedzenia.

Kuchnia jest wspólna dla wszystkich mieszkańców, mieści się w podziemiu. Jest duża, czysta, estetycznie urządzona. Każdy pokój dysponuje lodówką i przestronną szafką. Rety, żyć nie umierać. A jeszcze obok tak zwana sala konferencyjna - fotele, stoliki, prospekty, gazety i co najważniejsze, Michał wprost oszalał, duży i do tego kolorowy telewizor.

Elegancja, nie ma co gadać. Placówka polska, wszyscy pracownicy są Polakami, a standard zdecydowanie zachodni. Tak, to się może podobać.

Późnym popołudniem udajemy się na pierwsze wspólne zakupy. Mając do dyspozycji lodówkę i kuchnię, będę mogła prowadzić gospodarstwo podobnie do naszego warszawskiego domu.

Sklep jest niedaleko, na następnej ulicy. Ma nazwę mile brzmiącą dla ucha - Viniprix.

Jestem trochę niespokojna. Nerwowo pouczam Michałka, aby niczego nie dotykał, nie zniszczył. Może byłoby najlepiej, gdyby poczekał gdzieś z boku.

- Przede wszystkim przestań się wygłupiać - mój mążonek przyjął ton przewodnika.

- Możesz oglądać, brać do ręki wszystko, na co masz tylko ochotę. Nikt nie powie jednego słowa, po prostu nie ma sprawy. Bierzemy koszyk i jazda... Tu są napoje. Dla siebie biorę piwo. A dla was co, lemoniadę, coca-colę czy jakąś wodę?

- Zaraz, czekaj - oponuję słabym głosem. - Tam są mniejsze butelki, po co od razu cały litr?

- W tych małych jest to samo tyle że drożej. - Mąż podsuwa mi pod nos firmowe etykiety. - Musimy kupić ziemniaki i kawę. Nie mam też soli, no i jakieś mięso. Dział mięsny jest tam.

Stanęłam jak wryta. Przede mną szklana, ochładzana gablota, a w niej długie rzędy styropianowych tacek, na których w przezroczystą folię opakowane są najprzeróżniejsze porcje mięsa. Tacki zupełnie malutkie takie, można powiedzieć jednoosobowe, kotlety po trzy i po pięć, jak również wielkie kasety zawierające pewnie ćwiartkę zwierzaka. A wszystko posegregowane: wieprzowina, wołowina, cielęcina, baranina i jeszcze drób. Wymieniam te nazwy tak skrupulatnie pewnie dlatego, że samo ich brzmienie sprawia mi przyjemność.

Nie, stąd tak szybko nie odejdę. Wodzę wzrokiem od jednej gabloty do drugiej, z namaszczeniem kontemplując wygląd, jakość, no i cenę. Tak, tu już patrzę i na cenę.

Dalej nabiał, i znów przeżywam wielki zawrót głowy. Samego mleka z dziesięć gatunków, w kartonach, w butelkach, skondensowane i w proszku. Aha, i smaki mogą być różne, nie wspominając już o zróżnicowanej zawartości tłuszczu.

Dalej od góry do dołu masło: dla cukrzyków, sklerotyków i normalnych, tamte wszystkie kubeczki to różne rodzaje śmietany... sery białe... serki smakowe... jogurty... i tak dalej, bez końca.

Zdecydowanie mam już dosyć, basta. Nie będę oceniać różnorodnej wielkości i jakości jajek, ani liczyć rodzajów cukru i mam w nosie, że Francuzi produkują ponad trzysta gatunków sera. Ani przypraw, żadnych przypraw nawet mi nie pokazuj!

Może szczęśliwie się składa, że jestem już bardzo zmęczona i mam przytępioną wrażliwość. Dla kogoś przeniesionego prosto z polskich kolejek jest to jednak przeżycie zdecydowanie za silne.

- Kupujmy, co mamy kupić i wychodźmy! - W moim głosie histeryczna prośba.

Bolą mnie oczy i szumi w głowie. Teraz dopiero zauważam muzykę, której dotąd mój skołatany mózg nawet nie zarejestrował. Błądzą bezradnie po sklepie, usiłuję wziąć udział w zakupach. Zatrzymuję się przy proszkach do prania. Zdejmuję z półki wielkie,

kolorowe pudło.

- Weźmy ten, wygląda tak ładnie, a też dodają do niego śliczny, nakręcany samochodzik. Miałby Michałek swoją pierwszą francuską zabawkę.

- Po co nam pięć kilo, zwariowałaś? - Andrzej wyraźnie się zirytował. - Ten obok jest bez samochodzika, za to tańszy niemal dwukrotnie... i TEN bierzemy.

Krażę między półkami, co wezmę w rękę, to zaraz pospiesznie odkładam. Nie, pewnie dzisiaj, a czy kiedykolwiek, nic sensownego nie kupię. Miotam się bezradnie po sklepie. Czuję się beużyteczna, zagubiona.

Widząc to, zbliża się do mnie szanowny, wszystkowiedzący małżonek i wybijając takt na moim ramieniu, powiada:

- Do sklepu przychodź z listą. Unikaj kupowania czegokolwiek, co nie było wcześniej zaplanowane. Patrz na ceny. Wybieraj najniższe. Nie przeliczaj na złotówki, to nie ma najmniejszego sensu. Wyszukuj artykuły z czerwonymi etykietkami. Są to tak zwane okazje, czyli przeceny. Bywają też etykietki: "cena szokująca" albo "artykuł dnia". I to jest, oczywiście jeśli figuruje na liście, coś jak najbardziej dla ciebie. Towary najtańsze, "okazje" są często wystawiane przed sklepem lub zaraz przy kasach. Praktykowane są niekiedy kilkuminutowe "ekstra" wyprzedaże. Produkty sprzedawane w większej ilości, np. pięciokilogramowa siatka ziemniaków, opakowanie 6 piw, 24 jogurty itp., są względnie tańsze, niż sprzedawane jednostkowo. Gdy będziesz kupowała coś w dziale, w którym obsługuje ekspedientka, proś dokładnie tyle, ile potrzebujesz. To żaden wstyd poprosić o zważenie nawet jednego plasterka szynki. Tutaj nikt wędliny, tak jak u nas, kilogramami nie kupuje. Patrz zawsze na datę ważności... licz... unikaj... uważaj...

- O nie! Na tym koniec. Pocałuj mnie w nos, wychodzę.

Przy kasie z namaszczeniem wykładam wszystkie nasze zakupy. Dla Michałka są cukierki i guma do żucia. Z mięsa stanęło na schabowych, pierwsza kolacja na obczyźnie będzie zatem po polsku. Obawiając się, że kasjerka zechce do mnie zagadnąć, udaję bardzo zajętą i na wszelki wypadek odwracam głowę.

A te kolorowe, nylonowe woreczki rzucone niedbale przez kasjerkę na nasze zakupy są naprawdę dla nas i za darmo? I każdy je dostaje?

- No już dobrze, dobrze. Niczemu się nie dziwię i w zupełności z tobą się zgadzam. Przecież to oczywiste, że klient musi w czymś zabrać zakupiony w sklepie towar. Jasne, proste, żadnych pytań... Uważaj, jak pakujesz, jeszcze je porwiesz.

* * * * *

Jesteśmy już po kolacji, nie spieszymy się jednak z wyjściem z naszej hotelowej jadalni.

Ludzie są bardzo mili, podchodzą do mnie, witają się, zagadują. Najpierw kurtuazyjne pytania o podróż, a zaraz potem niecierpliwe, konkretne pytania o zmiany, o sytuację w kraju.

Opowiadam, co jest do opowiedzenia: kartki, przydziały, limity, strajki, nastrój skrajnego przygnębienia, poczucie zagrożenia. Ta cała nasza narodowa mizeria.

Snuję tę smutną opowieść, jak zwykle, z ożywieniem, z przejęciem. Orientuję się jednak po chwili, że coś jest tu nie w porządku. To nie jest rozmowa, lecz

wyłącznie mój monolog. Pytania wprawdzie padają, nie ma jednak żadnych komentarzy. Ci ludzie wolą wyraźnie słuchać, niż mówić; pytać, niż odpowiadać.

Aby potwierdzić swoje spostrzeżenie, przechodzę do ataku. Teraz ja próbuję zagadywać różne osoby, pytając, jak długo są we Francji, na jak długo przyjechali i po co. I widzę natychmiast, że takie pytania są niedyskretne, są niedelikatne. Tutaj nikt nie chce za bardzo mówić o sobie, o swych planach. Odpowiedzi są lakoniczne i wymijające, po prostu, aby zbyć.

Po przerzuceniu piłeczki pytaniami typu: "a papierosy, jaki obecnie jest na nie przydział?", "czy rajstopy są w wolnej sprzedaży?", "jak długo czeka się na francuską wizę?" dalej gram rolę bohaterki wieczoru.

A jednak doczekałam się też wreszcie komentarza:

- Patrząc na pani kreację - tu gest w stronę mojej butikowej sukienki - trudno w ten cały polski kryzys uwierzyć.

I takie to były wieczorne Polaków rozmowy.

* * * * *

I jakby tego wszystkiego nie było na jeden dzień dosyć, czeka mnie jeszcze długa i zasadnicza rozmowa z mężem. Rozmowa zasadnicza, bo na temat naszej przyszłości. A już najbliższe jutro, to jedna wielka niewiadoma. Nie podoba mi się to

wcale, więcej, bardzo niepokoi. Ja chcę, ja muszę wiedzieć, na czym właściwie stoję. Umęczony Michałek zasnął. Położyłabym się chętnie i ja.

Wyciągamy fotele na balkon, w rękach jakieś szklanki. Właściwie na balkonie nie za bardzo bezpiecznie jest rozmawiać, tu i ściany podobno mają uszy. Słyszało się także o jakimś zbyt "skrupulatnym sprzątaniu" w pokoju, o mniej lub bardziej amatorskich wywiadach.

- Gadanie. Zresztą pomyślimy o tym jutro. Teraz już się stąd nie ruszę. Zaczynij wreszcie mówić, jak to wszystko wygląda i na co właściwie się zanosi.

Najwyraźniej przejęty rolą narratora, Andrzej rozerwał nerwowo paczkę ekstramocnych, pociągnął duży łyk czerwonego wina i tak zaczął:

- Do Polski nie mamy po co wracać... Tu dla nas też jest niewesoło. W każdym razie rodzic będziesz we Francji.

Przez znajomą Rumunkę masz załatwione miejsce w jednym z najlepszych paryskich szpitali. Począwszy od przyszłego wtorku, będziesz chodziła tam co tydzień na przedporodowe kontrole. Czekali na ciebie już w zeszłym tygodniu, ale zmieniłaś termin przylotu. A co potem?...

O pozostaniu we Francji legalnie i na stałe właściwie nie ma co marzyć. Cholernie trudna sprawa - papiery i jeszcze raz papiery. Zaraz zrozumiesz, co się za tym słowem kryje.

Ze znalezieniem pracy nie byłoby w zasadzie żadnego problemu. Już w tej chwili mam nagrane dwa miejsca, z których jedno, w banku Credit Parisien, bardzo mnie interesuje.

Od roku mają wakat w ośrodku obliczeniowym i to, na czym się znam, akurat im pasuje. Byłem już na rozmowie z dyrektorem do spraw informatyki, z kierownikiem ośrodka, z szefem personelu. Przeszedłem też testy. Wypadło wszystko dobrze i gdyby to tylko od nich zależało, mógłbym rozpocząć pracę choćby jutro.

Dyrektor obiecał, że zrobi wszystko, abym został zatrudniony. Ma uruchomić nawet jakieś swoje znajomości, które pomogłyby pchnąć tę sprawę. Płaciliby też

nieźle. Mówili o sześciu, sześciu i pół tysiąca franków miesięcznie na początek... Tylko te papiery.

Aby móc zostać zatrudnionym, muszę mieć zgodę na pracę. Aby otrzymać zgodę na pracę, trzeba mieć kartę stałego pobytu, a kartę pobytu może otrzymać tylko ten, kto pracuje. I tak się koło zamyka i diabli wiedzą, jak to ugryźć.

Pan Legrand, wiesz, ten, dla którego tłumaczyłem na konferencjach w Toruniu i w Warszawie, wziął sprawę w swoje ręce. Niesamowicie uczynny facet. Nie spodziewałem się, że tak się przejmie i że tak bardzo będzie chciał pomóc. On nie jest byle kim. W tej branży to ważna figura. Byłem u niego w biurze. Napisał podanie - cały traktat do Ministerstwa Pracy, załączając jako uzasadnienie pismo z banku. Teraz można już tylko czekać. Dzwoniłem tam kilka dni temu, kazali dowiedzieć się nie wcześniej jak za miesiąc. Są wakacje, w urzędach kompletny zastój.

A jeśli to nie wypali..., zostaje nam tylko złożenie wniosku o przyznanie azylu. Niestety, musisz się liczyć i z tym.

Otrzymanie azylu oznacza automatycznie pozwolenie na pracę. I to jest, jak dla nas, piekielnie mocny punkt, bo jak się już chyba zorientowałaś, uzyskanie zgody na pracę drogą administracyjną jest sprawą bardzo trudną. Poznałem tu wielu Polaków, którzy wyłącznie z tego powodu zadeklarowali się jako uchodźcy.

Byłem, zgodnie z naszymi ustaleniami, w dwóch ambasadach. W kanadyjskiej nie chcieli nawet ze mną gadać, mogą nas przyjąć z papierami uchodźców. W australijskiej moje kwalifikacje zawodowe zrobiły na facecie wrażenie. Dał sobie spokój z pytaniami, czy mamy pieniądze na podróż i obiecał dowiedzieć się na miejscu, co można dla nas zrobić. Trzeba będzie tam pójść za kilka tygodni... Na razie będziemy mieszkali tutaj.

Drogo wypadnie nam ten hotel. Miesięcznie trzeba płacić około dwóch tysięcy franków. Nie musimy jednak martwić się o meble, pościel zmienianą co tydzień, nie mówiąc już o wyposażeniu kuchni i lodówce na nasz wyłączny użytek.

Boję się pomyśleć, gdzie będziemy mieszkać, kiedy już urodzisz. Tu z małym dzieckiem zostać nie możemy, rozmawiałem o tym z kierownikiem. Ale może do tego czasu uda się coś załatwić.

Z pieniędzy, które przywiozłem, zostało już niewiele. To, co masz ty, musi wystarczyć na opłacenie hotelu za jeden chociaż miesiąc, no i na utrzymanie.

Od dwóch tygodni dorabiam na czarno. Nawet nieźle płacą. Bardzo kulturalni, mili ludzie. Środowisko artystów-plastyków.

Co robię? Maluję. Nie wiem, czemu robisz takie miny i z czego właściwie się śmiejesz... Ściany, pokoje maluję. Odnawiam mieszkanie. Szkoda, że nie widziałaś mnie na drabinie w długiej do ziemi nocnej koszuli (ubranie ochronne) machającego pędzlem aż miło. Nie znasz jeszcze życia - za twardą walutę żadna robota nie hańbi. Tyle, że to nic stałego. Nigdy nie jestem pewien, czy poproszą mnie jeszcze o przyjście, czy nie zrezygnują z moich usług.

Tę pracę również ta Rumunka mi nagrała. Uczynna kobieta. Trzeba pomyśleć o wybraniu dla niej, z tego co przywiozłaś, ładnego upominku. Wiele mi pomogła i to ona właśnie radziła, aby ściągnąć was tu jak najszybciej. A wahałem się bardzo, trzeba przyznać, że się wahałem.

Jeżeli będę chodził malować, będę jadł tam u nich. To też pewne odciążenie budżetu.

Nie będzie to wszystko łatwe, ale musimy jakoś przeżyć do czasu zalegalizowania naszego pobytu, do czasu, kiedy będę mógł podjąć normalnie płatną pracę...

Mój mąż relacjonuje dalej, mówi, mówi... Chociaż właściwie wszystko najistotniejsze zostało już powiedziane. Tak, teraz już wiem, na czym stoję.

I przychodzi mi do głowy dziwna refleksja: kiedy opuszczałam Polskę, kiedy wsiadałam do samolotu, byłam przekonana, że to koniec wszystkich moich problemów i kłopotów. Wygląda jednak, że dopiero się one zaczynają.

* * * * *

Następnego dnia rano postanawiamy wraz z Michałkiem udać się na podbój miasta, gdzie tam miasta - świata.

A konkretnie chodzi o zrobienie zakupów na pobliskim marche, to po naszymu bazar. Dowiedziałam się wczoraj podczas kolacji, że jest on organizowany dwa razy w tygodniu niedaleko od naszego hotelu. Niemal wszyscy zaopatrują się tam w owoce i warzywa, gdyż są znacznie tańsze niż w sklepie i oczywiście bardziej świeże.

Dodając jeszcze do tych witaminowych zakupów otrzymane od męża zadanie dostarczenia na wieczór świeżej, paryskiej, że tak powiem, bagietki, szykowałam się wyprawa nie lada.

Mój małżonek, udawszy się wczesnym rankiem na swoje malowanie, a przekonany widocznie o zaradności życiowej Polaków, postanowił rzucić nas, jak to się mówi, od razu na głębokie wody. Lekceważącym ruchem ramion zbył wszelkie wątpliwości, obawy co do możliwości mojego porozumienia się z ludźmi, których językiem ni potocznym, ni literackim na nieszczęście nie władam.

Przy porannej kawie zajęłam się tym problemem na serio.

Jak mam się zachowywać, kiedy będą mówili do mnie w języku, którego nie rozumiem i co mogę zrobić, aby mnie zrozumiano? Widzę, że są dwie szkoły. Pierwsza - udawać głuchoniemą, nie odzywać się wcale, o wszystko prosić na migi. Druga - udawać niezorientowaną, że w kraju tak cywilizowanym nie włada się jeszcze językiem polskim. Operować bez żenady językiem ojczystym, ale warunek -

wymawiać słowa powoli i bardzo wyraźnie, traktując gesty jedynie jako element pomocniczy. Dla większego efektu, w sytuacji, kiedy patrzą na nas jak na wariata, można przybrać minę osoby niemile zaskoczonej lub wręcz obrażonej. Tak, ta wersja w porównaniu z pierwszą jest zdecydowanie ambitniejsza.

Nie będąc jeszcze w pełni przekonana, na którą z tych "szkół" ostatecznie się zdecyduję, opuszczam bezpieczny hotel i udaję się w miasto. Na marce trafiamy bez pudła, co od razu dodaje mi otuchy.

Ogromny plac, a na nim długie rzędy straganów, kiosków, stoisk. Słowo "rzędy" właściwie nie jest tu ścisłe, gdyż drewniane lady poustawiane są w ten sposób, że tworzą duży, zamknięty niemal prostokąt, we wnętrzu którego dwoi się i troi, jak dla mnie - szaleje, sprzedawca. Rzuca się z jednego kąta w drugi zależnie od tego, jakiego owocu czy warzywka zażyczył sobie klient. Na nielicznych tylko stoiskach zauważam więcej niż jednego sprzedawcę.

Trzymając się z Michałkiem za ręce, udajemy się na rekonesans. Poranne słońce nie dokucza, powietrze jest jeszcze orzeźwiające, lekkie, wokół ożywieni, rozgadani ludzie.

Największe wrażenie robią na nas owoce. Ich niezliczona ilość, wybór gatunków, a przede wszystkim ich dorodność wprowadzają w zachwyt. Truskawki, maliny pod koniec sierpnia, nie, to nie do wiary?!

Owoce są piękne, dojrzałe i tak apetyczne, że już wiem, zapewne się nie oprę i będziemy mieli dzisiaj owocowe szaleństwo. Co prawda, są tu i takie, co do których nie jestem zbyt pewna, czy są to aby owoce. Widzę je po raz pierwszy w życiu i zazdroszczę ludziom, którzy swobodnie wrzucają je do swoich koszyków.

Bez specjalnego bólu, aczkolwiek za pomocą rozpaczliwych gestów i nieartykułowanych dźwięków staję się posiadaczką siatki pełnej najprzeróżniejszych owocowych pyszności. Są tam nawet i świeże figi. Nie wiem, co Andrzej na to powie, ale w końcu musimy przecież nasz przyjazd do Francji jakoś uczcić.

Zatrzymujemy się teraz przy stoiskach z rybami.

Jak przy owocach, rozpoznaję tylko niektóre ryby. Większość gatunków jest mi nieznana. Ich dziwaczne kształty, egzotyczne barwy przypominają akwaria warszawskiego ZOO. Nie mówiąc już o jakichś żywych, potwornych dziwolągach z długimi, zębiastymi kleszczami, którymi na dodatek złowrogo ruszają, o obrzydliwej szarozielonej pokrytej czarnymi grudkami galarecie, która, mam wrażenie, chce wyskoczyć ze skrzynki wprost na moje nogi, brr...

Muszle, ślimaki, małe raczki, ostrygi, to jednak chyba prawda, że Francuzi te wszystkie świństwa jedzą.

Przy stoiskach z rybami duży ruch. Niektóre ryby sprzedawane są żywe, wyławiane przez sprzedawcę z dużego akwarium, inne wyłożone na szerokiej ladzie przysypane pokruszonym lodem, przybrane zieleniną i cząstkami cytryny wyglądają naprawdę malowniczo.

Na placu coraz więcej ludzi. Zaczynam się czuć zmęczona. Decyduję więc, że kupimy tylko jeszcze warzywa i wracamy.

Podchodzę do straganu, gdzie aż kłuje mnie w oczy wielka, czerwona, na pewno niebiańsko soczysta papryka. Sprzedawca jest oczywiście jeden, młody chłopaczek wyglądający na Włocha.

W kolejce czeka spokojnie osiem, no może dziesięć osób. Podpatrując, co robią inni, dochodzę do sterty papryk i wybieram trzy bardzo ładne owoce.

Mam cichą nadzieję, że sprzedawca zauważy mój stan i obsłuży mnie poza kolejką. Jest upał, czuję pot spływający po szyi, siatka z owocami i kurczowo uczepiony mojej sukienki Michałek ciążą mi ogromnie. Przeszuję z nogi na nogę, nogi mam obrzmiałe, ciężkie. Jedyne niezaspokojone łakomstwo trzyma mnie jeszcze na miejscu.

Nagle czuję, że w kolejce dzieje się coś dziwnego: ludzie są ożywieni, gestykulują, o czymś mówią i pokazują... najwyraźniej na mnie. Sprzedawca, jakby nigdy nic zwraca się do następnej osoby.

Wpadam w popłoch. Może nie należało wybierać tych papryk? Pewnie źle jest widziane takie wpychanie się z drugiej strony kolejki. Szarpnię nerwowo Michałka i ustawiam się na samym końcu.

Marzę tylko o jednym, aby przestano zwracać na mnie uwagę. Jednak ku mojemu przerażeniu robi się jeszcze gorzej. Teraz już wszyscy odwracają się wyraźnie do tyłu, pokazując na mnie czy, nie wiem, na te trzy nieszczęsne papryki.

Boże, a może oni myślą, że ja chcę je ukraść? Może wybiera się towar dopiero, gdy jest się naprzeciwko sprzedawcy? Jak by się tu ich pozbyć? Czuję, że robię się czerwona, pragnę zapaść się pod ziemię... Teraz niezrozumiały szwargot zaadresowany jest już wprost do sprzedawcy i tylko niecierpliwe gesty wskazują w moją stronę.

Młody chłopaczek potakuje i poprzez poustawiane pod nogami skrzynki przedziera się do mnie. Serce mi zamiera... Odbiera z moich rąk zapocone papryki, wrzuca do metalowej menażki i stawia ją na wagę. Podaję jakiś banknot, gdyż przypuszczam, że wymienia cenę, nie patrzę na resztę, którą mi wydaje. Ludzie w kolejce są teraz spokojni, stoją jak gdyby nigdy nic.

Patrzę na te twarze, które przed chwilą wydawały mi się tak wrogie i powoli zaczynam rozumieć. W sytuacji, gdy zagoniony sprzedawca mnie nie zauważał - oni reagowali, oni CHCIELI, aby kobieta w ciąży została obsłużona przed nimi. Czuję łzy płynące po twarzy, dukam "merci", uciekam...

Przechodząc koło sklepu Viniprix, w którym byliśmy wczoraj, spotykamy niesamowitego osobnika. Trudno mi określić jego wiek, ale myślę, że ma już grubo po siedemdziesiątce. Wygląda, krótko mówiąc, odrażająco.

Jest obdarty, cały w łachmanach, na głowie siwa strzecha skołtunionych włosów, straszliwie brudny. Na nogach zamiast butów kartonowe pudełka przytroczone foliowymi torebkami. Jedno z pudełek jest mocno dziurawe i widać dosłownie czarną, brudną stopę.

Facet jest ożywiony, zaczepia ludzi, opowiada coś z wigorem, potrząsając energicznie litrową butelką wina, z której popija przy ważniejszych kwestiach. Obok

nadgryziona bagietka. Spostrzegam jeszcze jakąś dziwną budowlę zmontowaną z dużych tekturowych pudeł, wysłaną trocinami, papierami. I zaczynam podejrzewać, że jest to... jego legowisko.

Obserwuję przechodzących i zatrzymujących się niekiedy ludzi - lekceważące spojrzenia, wzruszenie ramion, twarze bez wyrazu. Najwyraźniej to na wpół zwierzęce indywiduum na nikim nie robi wrażenia, nikogo nie oburza, ani też nie wzrusza.

Stoję jak słup soli. Jeszcze mam nadzieję, że to wszystko jest zaaranżowane, że to zwyczajna blaga. To niemożliwe, żeby w centrum miasta mieszkał sobie pod gołym niebem na wpół dziki człowiek. A może to scena do filmu?

Widząc nasze przerażone miny, szurając rozwalonymi pudełkami, podchodzi do nas ten aktor czy skazaniec, i zaczyna zagadywać Michałka. Potrząsając przed nami prawie już pustą butelką, wyraźnie namawia, aby napić się razem z nim. Wycofujemy się w popłochu.

Przed piekarnią udaje mi się uprosić Michałka, aby wszedł do sklepu sam i jakoś kupił potrzebną nam bagietkę.

Kieruję się, jak desperacko sobie wmawiam, słusznym rozumowaniem, że jeżeli już musi się ktoś kompromitować, niech będzie to nie dorosły, lecz dziecko.

* * * * *

Wieczorem, koło siódmej, mówię do Michałka:

- Włóż tę ładną niebieską koszulkę, wyjdziemy na spotkanie tatusia.

Sprawdziwszy jeszcze w południe, że trafię do najbliższej stacji metra, pragnę teraz zrobić mężowi niespodziankę.

I jest w tym coś osobliwego, nieoczekiwanego. Nigdy dotąd nie czułam potrzeby czy uzasadnienia, aby wychodzić na powitanie męża powracającego z pracy. Ale i jego praca tutaj ma zupełnie inny sens. Chociaż jest to tylko prosta, najwyklesza fizyczna robota, dla mnie jest ona jak gdyby ważniejsza. Ona jest po prostu konieczna.

Pewnie, że Andrzej i w Polsce pracował, robił rzeczy odpowiedzialne, ambitne. Pracowaliśmy zresztą przecież oboje, ale tam faktycznie sens pracy był jakby inny, pracowało się bardziej dla idei niż dla forsy. Forsy i tak z zasady nigdy nie starczało i problem polegał na tym, aby kolejny raz pod koniec miesiąca zaciągnąć u kogoś drobną pożyczkę.

A teraz tutaj, kiedy, jak zrozumiałam, sytuacja nasza jest mocno niepewna i zdecydowanie niewesoła, od tych zarobionych przez mojego intelektualistę na drabinie franków zależy bardzo dużo, a być może wszystko. I pewnie dlatego widzę w nim obecnie głowę rodziny, opiekuna, co tam mówić - mężczyznę bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

A w kuchni czeka gotowa już, wymagająca tylko podgrzania kolacja, bo właśnie tak, tak powinno być, gdy wraca do domu mężczyzna po całodiennej ciężkiej pracy.

Upał zelżał. Jest cudownie, Michałek szczęśliwy, że wychodzimy. Przez długie godziny zamknięty w hotelu, najwyraźniej zaczyna się już nudzić. Niestety, nie bardzo jeszcze mam odwagę, aby udawać się z nim na samotne zwiedzanie miasta, ba, nawet najbliższych okolic. Stanowczo muszę to przełamać, a w końcu czego też właściwie się obawiam?

Z wyjścia metra wysypuje się tłum ludzi, jest Andrzej.

Przekrzykując Michała, który ma wiele rewelacji do zakomunikowania tacie - widziałem długopis z elektronicznym zegarkiem... i żywe raki... i winda w hotelu się popszyła... - opowiadam przygodę na bazarze i spotkanie z odrażającym osobnikiem.

Mój mąż nie jest zdziwiony. Naświetla problem rzeczowo, bez emocji:

- Spotkasz tu takich wielu. To kloszardzi. Ludzie, którzy żyją pod gołym niebem, w metrze, bardzo wielu nad Sekwaną.

- Jak to żyją?! - aż się trzęsę z niesmaku, oburzenia. - I tak się ich zostawia? Nikt ich z tej ulicy nie zabiera, nie zamyka, czy ja wiem, na przykład w jakichś domach opieki?

- A z jakiej racji miano by ich zamykać, komu oni szkodzą? To wolni ludzie - mój mąż oponuje, a ja upieram się przy swoim:

- Ale przecież oni coraz bardziej się degradują, oni mogą tak poumierać, a poza tym to... to demoralizujące. Przecież patrzą na nich dzieci i uczą się przechodzenia koło takiej ludzkiej klęski obojętnie, oswojone są bowiem z ich widokiem.

Tu próba podsumowania, chyba jednak i mój rozmówca zaczyna się także troszkę emocjonować:

Ci ludzie CHCĄ tak żyć, to jest ich wybór, nie rozumiesz? A tu jest wolność i każdy, aby nie wchodził tylko w konflikt z prawem, może żyć, może się prowadzić, czesać, wypowiadać się i ubierać jak mu się podoba. W Polsce trudno to sobie wyobrazić, tu jak najbardziej możliwe.

Wolność... do zezwierzęcenia, do upodlenia, do zdegradowania człowieka? Trochę to dla mnie za mocne. Nie jestem przekonana, czy taka wolność mi się podoba.

* * * * *

Mijają dni, jeden po drugim, przynosząc coraz to nowe wrażenia, doświadczenia. Z odkrywczą pasją i z prawdziwą radością stawiam czoła nowym sytuacjom, wymogom.

Nie boję się już wejść do pobliskich piekarni, radzę sobie nieźle z robieniem innych zakupów, razem z Michałkiem zapuszczamy się na coraz dalsze wyprawy.

Dużo jednak czasu spędzamy, niestety, w hotelu. Dni są upalne, powietrze ciężkie i spacery męczą mnie coraz bardziej. Dobrze, że to jutro wypada moja pierwsza kontrola w szpitalu. Trochę się niepokoję, czy rozwiązanie nie nastąpi wcześniej, przed przewidywanym terminem.

W ciągu dnia w hotelu puchy. Wszyscy udają się gdzieś w swoich sprawach. Jest kilka pań w podobnej jak moja sytuacji, ale są one raczej niewidoczne, niemal przez cały czas pozostają w swoich pokojach. Po kilku próbach nawiązania z nimi kontaktu stwierdziłam, że powinnam raczej zrezygnować, gdyż najwyraźniej nie mają na ten kontakt ochoty. "Dzień dobry", w przejściu "pardon" i to wszystko - c'est tout jak mówią Francuzi. Proszę, co za językowy postęp.

Z racji moich kulinarnych zapędów stosunkowo dużo czasu spędzam w hotelowej kuchni. Kręcą się tam niemal nieustannie dwie panie, oczywiście Polki, które w hotelu pracują, a konkretnie mówiąc, sprzątają. Szczególnie jedna z nich jest w stosunku do nas wyjątkowo miła, serdeczna i powoli nawiązuje się między nami bardziej zażyła znajomość.

Pani Stasia jest gadatliwa. Z ogromną sympatią opowiada o Andrzeju, którego bacznie obserwowała jeszcze przed naszym przyjazdem, jak podobno tęsknił, zamartwiał się i różne takie.

- Nie jest on z tych - autorytatywnie orzeka - co to aby od baby, a do tego jeszcze na Zachód, za inną się zaraz ogląda. Nic z tych rzeczy - tu solidne uderzenie się w piersi - jest grzeczny i na miejscu. I mam jak najbardziej rację z tym pichceniem - wszyscy już na to zwrócili uwagę, muszę pani powiedzieć - bo do chłopca, jak wiadomo, przez żołądek do serca, a jak się ma dobrego chłopca, to trzeba o niego dbać.

I tak sobie rozmawiamy, wymieniając filozoficzne uwagi o życiu, a także zwyczajnie, acz nieszkodliwie plotkując.

Pani Stasia jest dyskretna, o nic właściwie nie wypytuje. Przypuszczam jednak, że raczej wszystkiego się domyśla. Na wszelki wypadek, uprzedzając ewentualne pytania, informuję ją, że mam załatwiony poród w jednym z paryskich szpitali, a mąż ubiega się o podjęcie tu pracy w swoim zawodzie, oczywiście jak najbardziej oficjalnie.

Michałek, można powiedzieć, przylgnął do pani Stasi.

Dzieci, które tu mieszkają, a jest ich kilkoro, znają się widocznie od dłuższego czasu i najwyraźniej nie bardzo mają chęć na przyjęcie "nowego" do swojego grona. Jakby były trochę dumne, że są tu już zasiedziały, bardziej francuskie, a nie takie nieopierzone prosto z Polski. Michał zresztą się nie narzuca, z daleka tylko nieśmiało je obserwuje.

Teraz zachęcony przez naszą nową znajomą drepcze za nią krok w krok, opowiada jej o Polsce, powtarza za nią różne francuskie słowa, pomaga nosić szczotki. Kilkakrotnie zapytuję, czy nie przeszkadza. Za każdym razem stanowcze zaprzeczenie.

Wieczorem po pracy pani Stasia wchodzi do naszego pokoju. Trzyma w ręku duży foliowy worek. Kręci się niespokojnie, wyraźnie nie wie jak zacząć.

- Pani się nie pogniewa, pani się nie obrazi... Tu jest trochę zabawek dla Małego, zostawiły kiedyś jakieś dzieci. Pani wie, sprzątając, znajduję różne rzeczy i dobrze, że je schowałam na wszelki wypadek... Niech pani nie zaprzecza, już ja widzę, czym on się bawi - kapsle, papierki, sznurki. Ja trochę rozumiem, sama przez

to przeszłam... O, tu w tych pudełkach ledwo napoczęty proszek do prania..., pasta do butów..., szampony..., woda kolońska, i to damska, będzie akurat dla pani... Proszę wziąć, teraz dla was każdy grosz się liczy.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, jak się zachować. Dławią mnie łyzy. Michał wniebowzięty.

* * * * *

Do szpitala jedziemy metrem. Po raz pierwszy z niego korzystam. Mąż tłumaczy mi zawile, jak się w nim poruszać. Objasnia różne oznaczenia i plany. Niepotrzebnie się jednak wysila, gdyż w tej chwili mało z tego wszystkiego kapuję, cała nastawiona jestem na odbiór wrażeń zmysłowych, które natarczywie do mnie docierają.

I znów ten ruchliwy, kolorowy, ożywiony tłum, przytłumiony przez kamienne sklepienia nieustanny gwar i... muzyka. Tak, tu co i rusz coś się dzieje: ktoś gra na skrzypcach, tam śpiewa, gdzie indziej zespół muzyczny z kompletną aparaturą. A wszystko po prostu w wybranym zaułku tunelu czy wprost na peronie.

Tunele, przejścia, schody, korytarze - wielki, tajemniczy labirynt, lśniący i kolorowy. Wszędzie piękna różnobarwna glazura... tu ciemnoniebieska, tam czerwona albo też agresywna nowoczesna mozaika.

Każda stacja to pewna całość, plastyczna konsekwencja - ściany, ławki czy fotele, różne dekoracyjne elementy, wszystko to najczęściej w jednym lub wybijającym się kolorze. I plakaty, wszędzie ogromne, barwne, bijące w oczy plakaty reklamowe. Cuda i dziwy.

Na peronie oznaczenia, w którym miejscu pociąg się zatrzyma, gdzie będą wagony pierwszej, a gdzie drugiej klasy.

Przy wsiadaniu - kultura. Wszyscy czekają, aż inni wysiądą, żadnych przepychanek, często słychać słowo "pardon". Jeśli do wagonu weszło dużo ludzi, osoby, które zajmowały składane miejsca w części przechodniej, wstają natychmiast, aby miejsca było dla wszystkich więcej. Podoba mi się w tym paryskim metrze, podoba.

W przedziale ścisk. Śmieszni, różnokolorowi ludzie... Przed chwilą wsiadł jakiś grajek i rżnie cudownie na fujarce. Podniósł się Murzyn i ustąpił mi miejsca.

Szpital, wielki nowoczesny kompleks niezbyt wysokich biało otynkowanych budynków. Kolorowe kwietniki przed wejściem, jakby wysrebrzone żwirowe alejki. Cisza i spokój.

Zgłaszamy się w recepcji, już o nas wiedzą. Jak się okazuje, osoba, na którą się powołujemy, to ordynator szpitala. Ma ta Rumunka chody, ho, ho.

Zostaję poproszona wraz z mężem. Michał dostaje kartkę i długopis, by się czymś zajął, czekając.

Chodzi o dane: daty, adresy, ostatnie badania. Trwa to dłuższą chwilę, po czym podziękowanie w stronę Andrzeja. Teraz zostanę już sama w paszczy lwa.

Podchodzi do mnie jakaś dziewczuszka z dużym szklanym kielichem w ręce. Najwyraźniej chce czegoś ode mnie, bo gorączkowo coś perswaduje, wskazując na jedne z drzwi.

Usiłuję ją zrozumieć i jej pomóc, ale naprawdę nie bardzo wiem, co powinnam zrobić z tym szklanym naczyniem i co mają do tego jakieś drzwi. Z wyrazem absolutnej niemocy wskazuje jej również drzwi, drzwi za którymi zniknął mój mąż.

Dziewczyna uśmiecha się, bierze mnie za rękę i wprowadza do zakamarka, którego rola dobrze jest mi znana. Teraz wszystko jest już proste, nie potrzebuję tłumacza - sika się jednakowo we Francji jak i u nas.

Niebywale dumna ze spełnionego zadania oddaję naczynie uważając, aby nic nie uronić, pielęgniarce. - Merci, madame - słyszę - Dziękuję pani.

Nie, tego jeszcze nie było... żeby pielęgniarka podziękowała pacjentowi, że raczył zrobić siusiu? Może tylko ona naigrywa się ze mnie i moich nieudolnych wysiłków? W każdym razie w naszym kraju taka grzeczność jest raczej rzadko spotykana.

Przy pobieraniu krwi jestem poproszona, nie wiem właściwie po co, o zdjęcie poza majtkami wszystkiego. Myślałam, że czeka mnie nie wiadomo jaki zabieg, tyle z tym było zachodu. Leżę na kozetce, na specjalnie zmienionym białym prześcieradle. Podjeżdża wózek na kółkach zastawiony jakimś tajemniczym sprzętem. Ukłucie delikatniejsze od ukąszenia komara. Oczywiście natychmiast po badaniu grzecznie podziękowałam, ale dziewczyna w białym fartuchu znów mnie uprzedziła, która do swojego "merci" dodała jeszcze czarujący uśmiech.

Od pobrania krwi nie minęło dziesięć minut, jak zostajemy poproszeni do gabinetu pani doktor, która ma mnie prowadzić aż do porodu. Rodzić będę na górze, piętro wyżej.

Lekarka to kobieta w średnim wieku o wyglądzie podlotka. Rezultaty przed chwilą zrobionych badań leżą już przed nią na biurku. Wszystko jak najbardziej w porządku - ca va.

To sformułowanie zaczyna wdrażać się w moją świadomość - i jak leci, i że jest w porządku, i że będzie jeszcze lepiej - wszystko to proste, magiczne "ca va".

Badanie lekarskie jest raczej pro forma, głównie konwersacja... od jak dawna we Francji, jak żyło się w Polsce, no i oczywiście, czy ogólnie ca va? I skąd pan tak dobrze zna francuski? - do Andrzeja - To w polskich szkołach uczą także europejskich języków?... Następne rendez-vous za tydzień. Mam być jak najlepszej myśli.

Po wyjściu z gabinetu raz jeszcze udajemy się do biura, aby ustalić termin następnej wizyty. Sekretarka wręcza Andrzejowi jakiś papier. Po jego minie poznaję, że sprawa raczej nietęga i nie myślę się, niestety. Trzyma w ręku rachunek za dzisiejsze badanie i za przesympatyczną wizytę u pani doktor, która oczarowała nas bez reszty.

- Kasa jest przy wejściu, ale państwo udajcie się raczej do tego pokoju. - Sekretarka uśmiecha się domyślnie i wskazuje nam drzwi na wprost. Tabliczka na drzwiach - asystentka socjalna miasta Paryża. Wchodzimy.

I znów wszystko od początku: daty, dane, wyjaśnienia. Zresztą asystentka jest zorientowana w naszej sytuacji i dobrze wie, kto nas protegował. Wyraźnie chce nam pomóc. Tylko co właściwie można zrobić?...

Nie będzie ukrywać, że koszt całej szpitalnej opieki związanej z porodem jest bardzo wysoki. Można go oszacować na dziesięć, jedenaście tysięcy franków. I sumę tę musi ktoś wyłożyć, a że nie jest to obecnie wydatek na naszą kieszeń, to raczej pewne, tylko...

Tylko musi się znaleźć jakaś racja, bezsporne uzasadnienie, dla którego moglibyśmy zostać od tych kosztów zwolnieni.

Karta pobytu, karta pracy, ubezpieczenie - nie ma nic. Asystentka bawi się nerwowo przyniesionym przez nas rachunkiem, usilnie się nad czymś zastanawia. I już wie, pouczającym tonem oznajmia:

- Istnieje więc tylko jedyna możliwość, abyście uniknęli poważnych finansowych problemów. Można będzie ubiegać się o pobyt w szpitalu na koszt miasta, musicie jednak mieć papiery uchodźców. Jak to, do tej pory nie zrobiliście jeszcze nic w tej sprawie?... Ten rachunek zostanie u mnie.

Rachunek został u asystentki. Miał zapoczątkować, jak się okaże, wcale pokaźną ich kupkę. Elegancka, specjalna teczka, numer pacjenta, nie, przepraszam - tu na pacjenta mówi się klient... I tylko co będzie dalej?

Mój mąż wyraźnie zmarkotniał. Zdarzało mu się to już wcześniej - często, gdy mowa o czekających wydatkach, traci raptownie humor i pewność siebie. Teraz też, kręci się jak lis w potrzasku.

- Nie wracamy do hotelu - niespodziewana decyzja - Musimy z tymi papierami jak najszybciej coś załatwić, ruszyć. Nie mamy innego wyjścia. Możemy przegryźć coś po drodze.

Podbudowana gwałtowną energią męża, uspokojona najwyraźniej konkretyzującym się postanowieniem, ruszam do tej, można powiedzieć, wylęgarni uchodźców desperacko zdecydowana na wszystko.

Po drodze na ulicznym straganie kupujemy wielką kiść pięknych, dojrzałych bananów. Wypada dla każdego po dwa. Wysiłam się na złośliwą uwagę, że ten posiłek jest trochę jak śniadanie małp w afrykańskim buszu. Ostatecznie, przymykam oko - zawsze to lepsze niż burczenie i dokuczliwe ssanie w pustym, zachodnioeuropejskim już brzuchu.

Do interesującego nas biura dojeżdżamy metrem. Chyba to gdzieś daleko, bo jechaliśmy bardzo długo. Przed nami potężny, wysoki budynek.

Nie będę ukrywać, że czuję się niezbyt swobodnie i zdecydowanie niemile. Inaczej mówiąc, mam pietra. A może kręca się gdzieś w pobliżu nasi sprawdzeni agenci?... Cykną zdjęcie, małe ujęcie kamerką.. i już po człowieku, i żegnaj ojczyzno kochana. A oni tam, ci nasi, też mieliby się cieplutko, gdyby wyszło na jaw, że ich dzieciaki po "takich" biurach się włóczą. I po co to wszystko? I skąd ja tutaj?

Wydział polski jest na jednym piętrze z afganistańskim. Nowocześnie, czysto, ale pusto. Oprócz nas, widzę tylko dwoje młodych ludzi żarliwym szeptem dyskutujących o czymś w najbardziej oddalonym kącie. Afgańczyków jakby więcej, wahadłowe drzwi na sąsiedni korytarz są w nieustannym ruchu.

W sekretariacie wręczono nam formularze - mały plik dla każdego. Zostaniemy przyjęci na rozmowę po ich wypełnieniu.

Tak więc papier goni papier. Aby jakiś dostać, trzeba najpierw oddać nielichą jego ilość. Tylko czym go wypełnić, o czym pisać i co mu powierzyć?...

Najprostsze są daty urodzenia, tu nie trzeba czarować, ale dalej - uzasadnienie?

Nie ma dwóch zdań, przecież nie byliśmy politycznie prześladowani, szykanowani. Żadnych aresztowań, wyroków...

A że wyrolowali nas z mieszkaniem, bo nie pasowało dać komuś nie po linii (czytaj: bezpartyjnemu), że w pracy rzucali kłody pod nogi - bo jak do partii, to nie, ale potem to "Solidarności" się zachciało. Czy warto o tym pisać, czy to się tu nadaje?

Praca... dziewięć lat w szkolnictwie specjalnym, szkolnictwie z definicji wysokoideowym. Był to, muszę przyznać, tak zwany ciężki kawałek chleba.

Szkolnictwo polskie musiało być polityczne, zaangażowane, ideowe i praca zresztą też. Te wszystkie nie kończące się uroczystości, obchody, rocznice. W tym systemie polityka i praca powinny iść łąb w łąb. A taki związek, nie wiem jak polityce, ale pracy na pewno nie służy.

Nawet mnie, wielką entuzjastką zawodu, do którego czułam powołanie, wszystko to rozczarowało, zniechęciło.

Po latach perswazji, nacisków i drobnych szykan, kiedy stanowiłam, można powiedzieć, łakomy kąsek dla szkolnej komórki partyjnej, zaczęło mi się odechciewać wszystkiego. Kiedy jednak nastąpiła "Solidarność", która od początku pociągnęła mnie swoim żywiołowo rozprzestrzeniającym się głosem, moja praca zawodowa stała się nie do zniesienia. Byłam między młotem i kowadłem, ciągnięto mnie teraz w dwie strony.

A nasza szkolna "Solidarność" nie nęciła mnie wcale. O nie, wprost przeciwnie. Mnie pociągał ruch, to co się działo w skali kraju. Fascynowała mnie idea walki o dobro robotnika, imponowały śmiało zamierzone środki realizacji. To była piękna i mocna sprawa - "Solidarność".

Natomiast w szkole, gdzie jest zamknięte grono ludzi, nie mogło być mowy o żadnym ruchu, ruchu w ideowym tego słowa znaczeniu. Ludzie pozostawali ci sami, nastąpiło tylko automatyczne przeszerogowanie, prosta zmiana etykietek.

Wielu moich kolegów przeszło wprost z partii do tak modnego teraz związku zawodowego (było to tak zwane rzucanie czerwonych książeczek), jakby to była zwykła przesiadka albo zmiana kapelusza. A każdy patrzył, jak wykorzystać ten moment dla jakiejś swojej sprawy. Rozszalały się drobne koleżeńskie intrygi, podgryzania, kwasy.

Zapałam się więc pośrodku, marząc jedynie, aby znaleźć się z moimi upośledzonymi dziećmi bodajby na bezludnej wyspie i żeby wreszcie pozwolono mi spokojnie pracować.

Ostatecznie, na dwa miesiące przed końcem roku szkolnego wypełniłam deklarację wstąpienia do "Solidarności". Byłam już wtedy niemal pewna, że z kraju wyjadę i myślę teraz, że potrzebowałam w sensie czysto psychologicznym takiego sformalizowania, zalegalizowania niezmiennej mojej sympatii dla tej imponującej mi ogromnie organizacji.

A namacalnie, konkretnie też raz jeden dla "Solidarności" zadziałałam i miało to miejsce, oczywiście, poza terenem mojej szkoły. To był już chyba szósty miesiąc ciąży. Maj.

Zorganizowano w Warszawie na terenie Politechniki tzw. Kiermasz Wolnych Wydawnictw. Wiadomo - Miłosz, Solżenicyn, Gombrowicz...

Solidarnościowcy z pracy Andrzeja przeznaczili piękną okrągłą sumkę na zakup tych długo oczekiwanych piwnicznych bestsellerów.

Chodziło o to, aby dużo ludzi wzięło udział w kiermaszu i aby do związkowej biblioteczki trafiło jak najwięcej najbardziej poszukiwanych egzemplarzy. I stąd wzięłam się tam wraz z mężem.

Godzina dziewiąta rano. Jeszcze dwie bite godziny do otwarcia imprezy. Przed zamkniętą bramą nieprzebrany tłum ludzi - wężowata, miejscami mocno pogrubiła kolejka. Stan przedbojowego napięcia - wchodzimy. Cud boski, że mnie nie stratowali.

Na całym terenie poustawiane stoiska z książkami. Co atakować? W której kolejce stanąć?

Po półgodzinnym oczekiwaniu w kolejce dzierżyłam w dłoni pierwszy zdobyty tom. Zostałam pochwalona za zdobycz. Poczułam się więc jak myśliwy, który zobaczył krew pierwszej swojej ofiary. Teraz nawet głos rogu nie mógłby mnie powstrzymać.

Latałam od stoiska do stoiska, wypychając wszędzie z drugiej strony kolejki mój nieforemny, obrzmiały też chyba od upału brzuch. I nie było tak, jak w sklepie mięsnym. Było miło.

- No sprzedaj jej, bo się zawzięła. Obsłuż ją poza kolejką... Pawilon chorych na raka - Sołżenicyn to lektura dla nowych pokoleń. Ale umowa stoi? Bobas, który już się wprasza na ten nasz cholernie ciekawy świat, ma znać to na pamięć.

Jestem obarczona książkami, które sypią mi się przez ręce. Na orientacyjnej zbiórce ze związkowcami mała konsternacja - aż tak okazałego "łupu" fundusz zakładowy może nie wytrzymać.

Na dzisiaj koniec, wychodzimy. Dla siebie nie kupiliśmy nic. Te wszystkie książki były na naszą kieszeń trochę za drogie.

Tak więc, jeśli chodzi o naszą przeszłość polityczną, to by było na tyle.

Czy mam żałować, że nie było żadnych aresztowań, ni razów, ni otwartych, krwawiących ran? Wprawdzie guzy do tej pory by zzieleniały, rany zmieniły się w blizny, a my mielibyśmy pewnie teraz ten cholerny papier. Tylko...

Wypełniamy formularze, wpisujemy to nasze byle co.

Pani, która nas przyjmuje, ma minę podejrzliwą i wygląda tak, jak gdyby nie była z nas zadowolona. Papiery studiuje długo i orzeka:

- Z tym nie zrobimy nic. Trzeba mocno jeszcze uzupełnić te kwestionariusze. Zanim jednak zaczniemy poważnie o was rozmawiać, musicie zgłosić się do paryskiej prefektury. To oni zadecydują, czy chcą was widzieć jako potencjalnych uchodźców. Taka jest procedura. Z ich orzeczeniem wróćcie do nas.

* * * * *

Godzina trzecia po południu. Idziemy za ciosem. Udajemy się do właściwej z racji miejsca zamieszkania prefektury.

Nie jest to już poprzednie sympatyczne zwiedzanie miasta, lecz raczej przysłowiowe mordercze deptanie paryskiego bruku. Upał doskwiera, zanosi się na burzę. Wielokrotnie zmieniamy linie metra, musimy uważać z Michałkiem, aby nie zgubić się w tłumie. Wreszcie docieramy. Rozłożysta budowla w staromiejskim stylu.

Z trudem znajdujemy interesujący nas wydział. W środku tłok... i właściwie czarno - tłum ciemnoskórych ludzi.

Pani, która nas przyjmuje, jest bardzo miła. Daje Michałkowi gumę do żucia, nam proponuje rendez-vous... za miesiąc. Andrzej rzuca się rozpaczliwie:

- Wiadomo, że pani nie żartuje, ale to niemożliwe. Żona będzie rodziła najdalej za dwa, trzy tygodnie... W związku z tym zaświadczenie z prefektury jest dla nas niezbędne. Bez niego nie załatwimy szpitalnych formalności. Musimy je uzyskać i to jak najszybciej. Nie możemy czekać tak długo. Riposta miłej pani jest wyrażona miłymi, pełnymi współczucia słowami:

- Proszę spojrzeć wokół. Ci wszyscy ludzie mają sytuacje życiowe podobnie jak wy - beznadziejne, pogmatwane, wymagające natychmiastowej formalnej interpretacji. Uwierzcie, jesteśmy dosłownie zawałeni wnioskami do niezwłocznego rozpatrzenia.

Pani jest miła. Raz jeszcze spogląda na Michałka, rzuca też okiem na mnie - spoconą, przerażoną, zmęczoną.

- Spróbuję porozmawiać z szefem. Zobaczę, czy nie można czegoś dla was zrobić. Nie ludźcie się zbyt, niczego nie gwarantuję.

Przybiega za kilka minut. Na twarzy ma wypieki.

- Wyrzucił mnie, nie chce o niczym słyszeć. Właściwie byłam tego pewna, takie tu teraz piekło. Przykro mi, naprawdę... Prywatnie wam powiem, że gdyby tak zakład pracy, który chce pana zatrudnić, ostatecznie się zdecydował i dał panu kontrakt, posunęłoby to bardzo do przodu całą sprawę. Niestety, zapewne dyrekcja będzie się obawiała związków zawodowych. Obecnie, przyjąć do pracy cudzoziemca to narazić się związkom. Ale może...

Już wiem, czego się boję - jedziemy dalej. Credit Parisien.

Rety, co za piękne biuro. Ameryka! I on, biedny mój stary marzy, że kiedykolwiek będzie tu pracował? Chłodny, zaciszny hall, czarne skórzane fotele, szklane ławy. Zostaję sama z Michałkiem, jest równie zmęczony jak ja.

Przez całą drogę wbijałam Andrzejowi do głowy, jak powinien rozmawiać, argumentować, jak prosić. Przede wszystkim musi ich przekonać, że wiele od nich samych zależy.

Andrzej poszedł, teraz mogę tylko czekać. Czuję, że zasypiam. Jedyne niepokój o Małego, aby czegoś nie zbroił, trzyma jeszcze moją świadomość na wodzy.

A może ci tutaj przymkną oko na te piekielne papiery. Powinni chyba docenić, że trafia im się, jak by nie było, specjalista, a nie byle chłystek... żeby zechcieli pomóc... żeby to wszystko jakoś się rozwikłało... żeby skończyła się wreszcie ta gonitwa... żeby z tej windy wysiadł za chwilę Andrzej cały rozpromieniony, szczęśliwy... żeby...

Budzi mnie głos męża:

- Spałaś?! Patrz, Mały wysypał wszystko z popielniczki.

Rzucam się gorączkowo do zbierania niedopałków.

- Zostaw - głos męża jest stanowczy. - Od tego jest sprzątaczką.

- Czekaj, mówisz jak dyrektor. Może cię przyjęli?

Rozdrażniony nieco małżonek spieszy rozwiać moje nadzieje:

- Zawracanie głowy, bez oficjalnej zgody na pracę nie mam tu czego szukać.

To za poważna instytucja na zabawę w chowanego. Obiecali tylko interweniować w Ministerstwie. Jeden z dyrektorów zna jakiegoś kombatanta, który ma tam chody. Będę też musiał skontaktować się jak najszybciej z Legrandem. I on obiecał mi przecież, że będzie próbował to załatwić. Nie wiem tylko, czy jest już w Paryżu, czy wrócił z wakacji... chociaż to już miesiąc, jak wyjechali. Jutro zadzwonimy do nich do domu. Teraz wracamy. Trzeba coś zjeść.

* * * * *

Wieczorem podczas kolacji wołanie z hotelowej centrali telefonicznej:

- Rozmowa do pokoju 21. Warszawa!

Biegnę na złamanie karku, żeby szybciej, po schodach na górę. To rodzice. Dzwonią od mieszkającego w ich pobliżu mojego stryjecznego brata. Sami przecież telefonu nie mają.

Wzruszenie odbiera mi głos. Zbyt duże napięcie mąci moją uwagę. Nie bardzo wiem, co mówię, nie jestem pewna, co słyszę.

- Mów, jak wam tam jest... jak żyjecie i jak ty się czujesz? A Michałek, Boże, jak tu za nim tęsknimy... Gdzie mieszkacie, co jecie i czy nie są już za ciasne dla ciebie te twoje ciężowe sukienki?

... Adam pyta, czy ma przyjechać. Wykupił już bilety, załatwił rezerwację. Jak myślisz, czy ma to sens?... Sprzedał już prawie wszystkie wasze meble i całą tę resztę. Naprawdę dzielnie się spisywał, miał z tym trochę zachodu. Co chcesz, aby kupić za te pieniądze, co może tam wam się przydać?

... U nas wszystko normalnie, jak zwykle. Mów o sobie, o was... Tak, tatuś też tu jest. Od czterech dni zamawiamy bez skutku tę rozmowę, od czterech dni czekamy na nią niemal do północy. Dlatego już się nie denerwuj i nie spiesz, i odpowiedz wreszcie na moje pytania.

... A przede wszystkim, jak ty się czujesz? Czy byłaś u jakiegoś lekarza, co będzie z twoim porodem? A w ogóle, mój Boże, dlaczego i po co to wszystko?!

... W takim razie pamiętaj, teraz musisz być dzielna... i tylko mi obiecaj, że jeżeli coś będzie nie tak, to... to wróćcie.

Z całej siły przyciskam zapoconą słuchawkę do ucha, czuję, że mam nogi jak z waty, strofuję się w duchu za zachrypnięty, łamiący się ze wzruszenia głos:

- Słuchaj, Babciu, o nic się nie martwicie. Na razie jest trochę ciężko - te cholerne papiery, ale walczymy i na pewno wyjdziemy na swoje.

... Opowiadać jak tu jest nie ma sensu, to trzeba zobaczyć.

... Adam - po co się pyta, co robić, jeśli i tak załatwił niemal wszystko do wyjazdu. Z pracą jest tu raczej krucho, ale ponieważ ma możliwość, o której tak długo marzył, niech przyjedzie i chociaż coś zobaczy.

... Nic się nie bój o mój poród, Babciu. Będę rodziła po amerykańsku w supernowoczesnym szpitalu... halo! Mamo, słyszysz mnie? Słyszysz?!

- Połączenie przerwane - głos telefonistki wdziera się w moją świadomość. -
Przykro mi, proszę pani.

* * * * *

Nazajutrz rano wszyscy czujemy się jakoś marnie, zmęczeni, zniechęceni. I to nie koniecznie, jak myślę, z powodu tak forsownego wczorajszego dnia. Ta beznadzieja brała się raczej z tego, że nie bardzo dzisiaj było co robić.

Nie widzieliśmy już więcej możliwości, nie mieliśmy środków, aby naszą sprawę posunąć do przodu. Wprost przeciwnie, zaczęły nas dręczyć wątpliwości. Tylko że teraz, kiedy z Michałkiem znaleźliśmy się w Paryżu na wszelkie wątpliwości i wahania jest już zdecydowanie za późno.

Po telefonie do swoich patronów od malowania mieszkania, Andrzej ma wolne na kilka najbliższych dni. Do ludzi zjechali się goście, nie ma więc mowy o żadnych robotach. Pana Legranda również nie zastał w biurze.

Jakoś to w końcu będzie. Korzystajmy więc z wolnego czasu, a i Małemu też to się należy - zbladł i posmutniał. Ruszamy w miasto. Głównie ze względu na Michałka decydujemy się na wycieczkę do Ogrodu Luksemburskiego. Trochę ruchu na świeżym powietrzu na pewno dobrze mu zrobi.

Jedziemy autobusem. W małej kasetce tuż przy kierowcy są wyłożone kolorowe broszurki informujące jak przebiega trasa danej linii i co ciekawego, ważnego można

na niej znaleźć, zobaczyć. Na dobrą sprawę można więc zwiedzać Paryż z okien miejskiego autobusu. Właściwie autobus jest droższy niż metro, jeśli się ma jednak *carte orange*, taki paryski bilet miesięczny, wychodzi na to samo. Nigdy nie zauważyłam tu tłoku.

Ogród Luksemburski to istne чудо. Szerokie aleje, piękne stare kasztanowce, fontanny, białe posągi, duży staw, a w nim ławice, nie bardzo wiem jakich, porządnie utuczonych ryb. I dzieci, dookoła dzieci... wózki, stateczki, rowerki, piłki, baloniki. Jest nawet cukrowa wata. Ogólnie miły, pogodny nastrój.

Zapuszczamy się w głąb parku. Mijamy liczne korty tenisowe, małe placzki, na których ludzie, przeważnie starsi, turlają nie wiem w jakim celu, żelazne wielkości pomarańczowe kule. Wszyscy wydają się być zrelaksowani, weseli.

A to, co widzę trochę dalej, w głębi, zapiera mi po prostu dech w piersiach: zjeżdżalnie, drabinki, labirynty, huśtawki. Są to wszystko drewniane, częściej plastikowe konstrukcje o najrozmaitszych formach i kształtach. Krótko mówiąc, jest to jakby nasz ogródek jordanowski, czyli plac zabaw dla dzieci.

Wszystkich tych atrakcji jest niezliczona ilość. Wykonanie, na oko widać, rzetelne, solidne, eliminujące wszelkie niebezpieczeństwo, a pomysłowość i estetyka tych urządzeń uderza wyobraźnię dorosłego, a więc tym bardziej dziecka.

Tu przypomina mi się natychmiast wąski odcinek trawnika przy mojej szkole i ile było zabiegów, starań, kombinacji, aby stanęły tam wreszcie dwa niezgrabne trzepaki. Z jednego zresztą kiedyś dziecko spadło i niestety złamało nogę.

Oczy Michała błyszczą jak ogniki. Na twarzy ma wypieki. Były i u niego w warszawskim przedszkolu małe samochodziki, tramwaj, była bodajże nawet rakietka, ale nie tak kolorowe, ani tak funkcjonalne, co tu dużo mówić, nie takie.

Dzieciak ciągnie mnie niecierpliwie za rękę, posuwamy się wzdłuż płotu. Płotek jest ażurowy, jaskrawozielony i może nawet niezbyt wysoki... ale jest. Tam, tam powinno być wejście. Nie mylimy się, dochodzimy do wejścia. A właściwie to rodzaj przejścia, bramka, gdyż przedtem jest kasa i można wejść do środka, okazując

zakupiony bilet. Pięć franków od osoby, bagatela. Trzy razy pięć to piętnaście, bez sensu. Patrzę na skrzywioną żałośnie twarzą Michalka.

- Z Małym musi ktoś wejść - odzywam się wreszcie. - Idź ty, ja pochodzę po parku. Chociaż ja też potrzebuję, wiesz na co... To kosztuje aż franka?

Chodzę po parku i szukam wiadomego przybytku. Moje wysiłki spływają na niczym. Cholera, żeby w tak uczęszczanym miejscu nawet nie było kibelka! Czuję się coraz gorzej i ten wspaniały ogród jakby mniej mi się podoba.

Po jakimś czasie wracam do placu zabaw, rozmawiam z chłopcami przez parkan.

- Wejdziesz tu, są tu toalety i pobędziesz razem z nami.

To jest argument, wchodzę. Obserwuję oszalałego z radości synka. I chociaż siedzę sobie na wygodnej ławce, chociaż już czuję fizyczną ulgę, moralnie jestem nadal raczej zdegustowana.

Kto widział, aby dzieci płaciły za swoją zabawę, za swój relaks i radość?.. A gdzie pójdą te wszystkie niebożęta, których rodziców na taki zbytek nie stać? Nie jest to sprawiedliwe. Komercjalizacja i tyle.

Może u nas dzieci nie mają aż tak fantastycznych atrakcji, ogródki jordanowskie są na pewno uboższe i brzydsze..., ale są przynajmniej za darmo.

* * * * *

Po powrocie do hotelu Andrzej raz jeszcze łączy się z domem państwa Legrandów. Skończywszy rozmowę, anonsuje mi najspokojniej, że udajemy się do nich dziś wieczór. Jesteśmy zaproszeni na kolację.

Pozostaje jeszcze tylko zadzwonić do biura pana Legranda, który, jak twierdzi żona, na pewno by sobie nie darował, że przyjechalibyśmy z Paryża do jego domu oddzielnie. Trzeba więc umówić się z nim co do godziny i miejsca spotkania.

Wrócili z wakacji przed kilkoma dniami. Nie bardzo wiedzieli, jak się z Andrzejem skontaktować. Madame Legrand zdawała się być zachwycona:

- Żona i synek są w Paryżu?! Koniecznie musimy się zobaczyć, bardzo pragniemy ich poznać. Jak najszybciej, a może po prostu dziś?

Monsieur Legrand jest pełen niedowierzania:

- Na pewno dzwoni pan z Paryża, nie z Warszawy? Kiedy widzieliśmy się przed miesiącem, był pan niemal zdecydowany wyjechać. Porozumiem się z żoną, kiedy moglibyśmy się spotkać. Ach, już ustalone - dziś wieczór? To wspaniale. Spotkajmy się w takim razie przy stacji metra na placu Trocadero o godzinie 18.30.

Mam więc zaledwie trzy godziny czasu. O upraniu i wysuszeniu jedynej mojej reprezentacyjnej sukienki, która obecnie jest w stanie raczej oplakany, absolutnie nie ma mowy. Nie zdążę.

Wpadam w panikę. Tak bardzo chciałabym na tych ludziach wyrzeć jak najlepsze wrażenie. Tyle o nich słyszałam miłego i wiem, że Andrzej w czasie, kiedy był jeszcze sam w Paryżu, spędził u nich kilka przesympatycznych weekendów.

Muszę chociaż coś zrobić z włosami, zamykam się w łazience. Po wyczyszczeniu plam i odprasowaniu moja sukienka uchodzi za wyjściową, po prostu musi.

Michałek w swoim jasnym letnim ubranku, elegancko "przylizany", wygląda ślicznie. Dobrze chociaż, że mam tak ładnego synka. Zawsze to parę punktów dla mnie.

Majaczą mi się po głowie jakieś kwiaty czy ciastka, które należałoby na tę pierwszą wizytę zanieść, lecz mój małżonek osadza mnie stanowczo:

- Na bilety wydamy kupę forsy. Oni mieszkają ponad 30 kilometrów za Paryżem, a tu pociągi są drogie. Weźmiemy przecież ze sobą podarunki, które przywozłaś z myślą o nich z Polski. Nie ma kwestii, bez kwiatów możemy się obyć.

Na spotkanie z panem Legrandem idę napięta i z obezwładniającą mnie trema. Będzie to właściwie mój pierwszy kontakt z Francuzami... i ta zdeformowana ciężą sylwetka, ten ich język, który mnie nic nie mówi i teraz jeszcze ta trema. Trema u mnie, co jest raczej wyjątkowe, gdyż zawsze świetnie znosiłam wszelkie stresy i nigdy nie czułam najmniejszego zażenowania w nowych sytuacjach, jak również przy okazji nowych kontaktów z ludźmi.

Usiłuję dodać sobie odwagi. To tylko parę godzin, pewnie je przeżyję, a zresztą jakaś tam wizyta to bagatelka wobec tego, co mnie najprawdopodobniej w tym nowym życiu czeka. Oddycham spokojniej, podchodzimy. Uściski rąk, powitanie.

Facet jest wysoki, elegancki, wygląd ma bardzo miły, lekko łysieje. Przygląda się nam w milczeniu. I czuję w tym spojrzeniu, którym ogarnia mnie i Michałka, jakby zdziwienie, zaskoczenie. Jest to wyraźne i dla mnie niezrozumiałe. A może to moja zaawansowana cięża tak go szokuje? Czyżby Andrzej zataił, że spodziewamy się drugiego dziecka?...

Idziemy w kierunku dworca. Pan Legrand rozmawia przez cały czas z Andrzejem, ja z Michałkiem idę w pewnym oddaleniu, ale i tak czuję, że jestem obserwowana.

Jesteśmy już w pociągu. My troje naprzeciwko naszego Francuza, Michałek oczywiście przy oknie.

Andrzej opowiada, jasne, że nie rozumiem co, ale chyba nasze ostatnie dzieje. Domyślam się, że mówi o naszej aktualnej sytuacji.

Francuz słucha, mam jednak świadomość, że nadal bacznie nam się przygląda. Słucha i wydaje się, że o czymś myśli, jak gdyby coś ważnego rozważał. Po pewnym czasie rozmowa urywa się, milknie i ja, która w pierwszym odruchu popadam w

panikę, widzę, że nie jest to cisza kłopotliwa. Monsieur Legrand zamyślił się nad czymś głęboko, od czasu do czasu jednak uśmiecha się do nas. Mimo wszystko przystanek docelowy przyjmuję z pewną ulgą.

Od dworca do domu Legrandów dochodzimy wąskimi uliczkami niewielkiego chyba miasteczka. Jedna za drugą piękne wille i piękne wokół nich ogrody.

Mieszkają w niezbyt wysokim, nowoczesnym bloku. Jest tu teren zabaw dla dzieci (ciekawe, czy wejście również po pięć franków od łebka?) i niewielki, ale zgrabniutki, na użytek mieszkańców basen.

Na balkonie tłumek ludzi. Wołają coś, wymachują, to pewnie na nasze powitanie. Dopiero teraz sobie uprzytamniam, że mają oni przecież aż czworo dzieci.

Nie przekroczyliśmy jeszcze pierwszego podestu schodów, kiedy drzwi u państwa Legrandów otwierają się na oścież i wesoły tłumek wysypuje się hałaśliwie na klatkę. Schodzą nam naprzeciw, szerokim gestem zapraszają do środka.

Do diabła, przecież ja to znam... to jest nasze, swojskie. Wypisz, wymaluj - przysłowiowa polska gościnność. U Francuzów. To po co tak mnie straszili, że ludzie tutaj nie są gościnni, że się izolują, zamykają?

Prezentacja, zresztą nie bardzo wiem, kogo mi prezentują. Każdy obejmuje mnie i ściska, usiłuję oddać te uściski. Michał fruwa w powietrzu, chwytają go liczne ręce, podnoszą, huśtają. Twarze rozjaśnione, serdeczne, życzliwe.

Boże, gdzie ja jestem i czy to ma być to, czego tak straszliwie się bałam? Skąd znam tych ludzi i dlaczego są mi oni tak bliscy? Jak to jednak pesymizm potrafi sfalszować wyobrażenia, nastawienia. Od dziś, postaram się już bardziej kontrolować.

Pani domu: bardzo wysoka, dobrze zbudowana brunetka. I śliczna twarz, nie ma co gadać, ta kobieta musiała być prawdziwą pięknoscią za młodu. Prosi, aby zwracać się do niej po imieniu - Odile. Bardzo sympatycznie z jej strony. Tyle że dla mnie pojawia się problem nie lada - imię jeszcze jakoś powtórzę, zupełnie jednak nie wiem, jak sobie poradzę z konwersacją.

Dzieci też bardzo wysokie, wesole, żywiołowe. Zawojowały zupełnie Michałka, coś mu demonstrują, tłumaczą. Nie wiem, jak mój synek to robi, ale wygląda jakby wszystko, co do niego mówią doskonale rozumiał.

Pan Legrand powrócił po chwili do salonu przebrany, zupełnie nie ten sam. Dżinsy, jakiś luźny sweter, zamazał mi się zupełnie obraz ważnego dyrektora.

Korzystając z tego, że dzieci się rozbiegły, a panowie rozmawiają na boku, wręczam pani domu niezręcznie i nieśmiało upominki z Polski. Jest oczywiście wódka, ludowo ustrojone laleczki, ręcznie haftowane serwetki, bo cóż by innego.

I tu po raz drugi ta rodzina mnie zaskakuje. Nagle wszyscy są znów wokół mnie, zlecieli się nie wiadomo skąd. Prezenty krążą z rąk do rąk, zachwyтом nie ma końca. Od nowa ucałowania, uściski. Wszystko tak, jak by to były jakieś cenne dary, a nie skromne głupstewka przywiezione z gnębionego kryzysem kraju.

Dzieci, chociaż to już nie dzieci, lecz młodzież, zabrały gdzieś Michałka. Zostajemy sami. Pani domu napełnia szklanki, jej mąż kręci się niespokojnie po pokoju. Widać, że leży mu coś na wątrobie.

- Pan musi zacząć zarabiać - zwraca się do Andrzeja. - To jest podstawowy problem.

- Pan przecież wie - mój mąż próbuje się tłumaczyć. - że chodzę do tych ludzi. Za dwa, trzy dni będzie pewnie znów jakieś malowanie.

Monsieur Legrand zdaje się być lekko zirytowany:

- Pan żartuje, ja myślę o poważnej pracy, o czymś, co zapewniłoby wam byt w tym najtrudniejszym, pierwszym okresie...

W głębokim zastanowieniu, wybijając odruchowo ręką każdą ważniejszą myśl czy słowo, kontynuuje:

- Pan zna język angielski. Kiedy spotkaliśmy się w Polsce, to z angielskiego tłumaczył pan moje wykłady? Bon. Miałbym dla pana propozycję... Jest takie angielskie opracowanie, wpadło mi niedawno w ręce, rzecz na temat japońskich

robotów. Bardzo interesujące, doprawdy, i warto by je przetłumaczyć na francuski. Zależy mi na tym, gdyż mógłbym to opracowanie doskonale wykorzystać.

Więc jak, czy pan się w tym widzi? Czy mógłby się pan tego podjąć? Pracowałby pan w moim biurze. Dałbym panu do dyspozycji jakiś pokój, jest u nas taki jeden na górze, i oczywiście wszystkie potrzebne słowniki. Potraktowalibyśmy to jako, powiedzmy, pracę zleconą. Co do wynagrodzenia, musiałbym porozumieć się z naszym księgowym. Więc jak?...

Tu milknie na chwilę, jakby dawał Andrzejowi czas do namysłu, sięga po szklankę i słone orzeszki. Po czym ciągnie dalej:

- Niech się pan nie wysila na skromność. Dobrze wiem, że doskonale pan sobie z tym poradzi. Inaczej bym nie proponował. I niech mi pan nie dziękuje, to śmieszne. To ja będę zobowiązany panu podziękować, jeśli oczywiście przetłumaczy mi to pan bez zarzutu... Kiedy może pan zacząć? A choćby jutro, jeśli nie ma pan oczywiście żadnych innych planów. Jeżeli o mnie chodzi, jest to nawet dosyć pilne, ale wszystko zależy od pana... Interes zatem ubity, możemy więc siadać do stołu.

Szarpię Andrzeja za rękaw, odciągam go na stronę:

- Co on ci mówił, przetłumacz. Powiedz mi wreszcie o co tu chodzi... I podjąłeś się? Myślisz, że dasz sobie radę? O rety, a jak nawalisz!... No i podziękuj mu, słyszysz... i powiedz, że ja też dziękuję.

Patrzę na tego poznanego dzisiaj mężczyznę, który teraz spokojnie nakłada na talerze jakąś kolorową sałatkę. Przebiegają mi przez głowę gorączkowe myśli. Przypominam sobie wyraz zaskoczenia, zdziwienia na jego twarzy przy naszym powitaniu, to jego głębokie zamyślenie się w pociągu... i powoli zaczynam rozumieć.

Nasz widok musiał wstrząsnąć tym człowiekiem. Widząc nas, uprzytomnił sobie powagę sytuacji. Dotąd widywał tylko Andrzeja - faceta, który chciałby znaleźć we Francji robotę. Teraz zobaczył rodzinę i to rodzinę w sytuacji mocno niepewnej, kiedy pępowina została już zerwana, a żadnych punktów zaczepienia jeszcze nie ma. Możliwe, że to go w jakimś sensie zbulwersowało. I facet się zamyślił... a było to, być może, usilne poszukiwanie sposobu, w jaki mógłby nam pomóc.

I znalazł. Mogą być z tego tak potrzebne nam przecież pieniądze, a on, jak gdyby nigdy nic, spokojnie nakłada sałatkę.

Patrzę na sympatyczną, szczerą twarz gospodarza, coś tam teraz gada i gada. Chciałabym bardzo wyrazić mu jakoś swoją wdzięczność, tylko po jakimu, a więc się uśmiecham, uśmiecham...

Jedzenie jest bardzo smaczne, kolacja trwa długo.

Rety, ile tego jest : przystawki, danie główne, sery, desery a wszystko w obowiązującej tu widać, ustalonej kolejności. Krótko mówiąc, wesele. I kiedy ta Odile miała czas to wszystko kupić i przygotować? Gdy zapraszała nas na kolację, było przecież późne popołudnie.

Czuję się coraz swobodniej. Wypijam nawet kieliszek pysznego różowego wina. Oni twierdzą, że nie może zaszkodzić. Jem też z apetytem, odważam się na skosztowanie nieznanym mi specjałów.

Wszyscy są ożywieni, weseli i gadatliwi. Nagle się orientuję, że i ja biorę czynny udział w ogólnej rozmowie. Oczywiście za pośrednictwem Andrzeja jako osobistego tłumacza, ale gadam i gadam. I nawet zła jestem na niego, kiedy zajęty jedzeniem zaniedbuje tę swoją rolę. Chciałabym jeszcze o tyle rzeczy zapytać i o tylu sama opowiedzieć. To jednak prawdziwe kalectwo - nieznanomość języka.

Czas płynie szybko. Musimy się zbierać. Dochodzi jedenasta, a przed nami jeszcze długa droga.

Przy pożegnaniu zbierają się znów wszyscy w korytarzu. Teraz już całuję się z każdym i tak jakoś dziwacznie, jak oni - w policzki na zmianę aż cztery razy. Obopólne podziękowania, dla nas najlepsze życzenia na nowej drodze życia.

Jean, tak ma na imię pan domu, wychodzi razem z nami. Odwiezie nas samochodem na dworzec. Starszy syn - Marc jedzie również. Reszta rodziny przechodzi na balkon. Gdy jesteśmy na dole, już nam stamtąd machają, przesyłają całusy.

Jedziemy jakoś długo, zdaje mi się, że za długo. Przecież z dworca do nich nie szliśmy więcej jak piętnaście minut?... I nagle rozumiem. Dworzec kolejowy został daleko za nami, a my jesteśmy już teraz na autostradzie - kierunek Paryż.

Wszystkie moje wykrzykniki : dlaczego, po co i że niepotrzebnie, gdyż mogliśmy pojechać pociągiem i jest już tak późno, a on rano przecież musi być w pracy - Jean zbywa lekceważącym machnięciem ręki. A kiedy nie ustępuję, naprzykrzam się nadal, nalegam wręcz, aby zawrócił, z uśmiechem uzasadnia: po pierwsze - ma ogromną potrzebę zobaczyć Paryż nocą; po drugie - Marek, który wynajmuje w stolicy studio, już dziś zostanie tam podwieziony; po trzecie - nie zawraca się na autostradzie.

Paryż nocą jest cudowny, te piękne oświetlone ulice, pomniki. Mimo późnej pory widzi się wszędzie tłumy rozbawionych ludzi.

To wszystko jest cudowne, cały dzisiejszy wieczór. Przepętnia mnie nastrój podniecającej i pięknej przygody. Mam wrażenie, że odgrywam rolę w jakimś wspaniałym filmie, którego scenariusz zachwyca mnie, porywa.

I tak sobie myślę, jakie to jednak dziwne... Spędziwszy dzisiaj zaledwie kilka godzin pośród ludzi jeszcze mi wczoraj nieznanymi, pośród ludzi, których języka nawet nie rozumiem, po raz pierwszy od przyjazdu zapomniałam, że nie jestem u siebie, zapomniałam, że jestem w obcym kraju.

* * * * *

Zaczęło teraz wszystko iść jakby lepiej.

Andrzej z pokojowego malarza wcielił się w swoją warszawską skórę ministerialnego urzędnika, do biura pana Legranda jeździ w garniturze i z teczką. No i

co najważniejsze, znów ma papiery i pióro, a nie brudną drabinę, kawałek ściany i pędzel.

Pracując stęka dużo, słowniki wertuje w tę i nazad, zresztą to przecież jego pasja, ale tłumaczenie posuwa się do przodu i nie wykluczone, że je kiedyś skończy.

Malowanie, czyli robota - w odróżnieniu od pracy, a więc tego, czym mój małżonek para się obecnie - prawdopodobnie dostanie się w spadku Adasiowi. Ludziom się nie spieszy i chętnie zobaczą na drabinie również szwagra, jak go Andrzej lojalnie zareklamował, bardziej niż on do takich prac przygotowanego.

Adam ma przyjechać po dwudziestym września, a więc nie jest to termin zbyt odległy. Jako pierwszego gościa z Polski będziemy witali jednak Bogusia. I szczęśliwie się składa, że przyjedzie właśnie on. Przecież to nasz bliski w Polsce przyjaciel.

Miło będzie pogadać o tym, co się dzieje w kraju, powierzyć komuś życzliwemu nasze aktualne problemy. Szkoda tylko, że nie mamy jeszcze czym się pochwalić. Trudne początki, oto co mamy.

Boguś przyjeżdża do swojego mieszkającego w Paryżu kuzyna. Zostanie być może nawet dłużej jak dwa miesiące.

Kuzyn Bogusia, Jędrus - tak go nazywamy, bo na imię ma Andrw - to Polak z pochodzenia i bardzo porządny gość.

Kiedy Andrzej był jeszcze sam w Paryżu, kontaktowali się często. Jędrus ze swoją dziewczyną, Francuzką, gościli go kilkakrotnie na kolacji.

To zresztą też on - Jędrus pośredniczył przy załatwianiu pracy w Crwdit Parisien. Dowiedziawszy się o wolnym etacie, rozmawiał o Andrzeju z tamtejszym dyrektorem, zaaranżował rendez-vous.

I miał ten chłopak jeszcze jedną, w tamtejszej sytuacji Andrzeja, poważną zasługę. Zrozumiawszy, że Andrzej płaci jak na swoją kieszeń drogo za hotel, wyjeżdżając wraz ze swoją dziewczyną na dwutygodniowe wakacje zaproponował, aby na ten okres Andrzej zamieszkał u niego. Dla Andrzeja oznaczało to

oszczędność paru setek franków. Ale najbardziej w tym wszystkim liczy się jednak ten Jędrusiowy gest. Teraz też robi dobrą robotę.

Zasugerowany przez mojego małżonka, że nasi rodacy chętnie widzą choć trochę zarobionych tu franków, a wielu wręcz marzy na przykład o winobranii, Jędrus wziął sobie sprawę poważnie do serca.

Sam na to nigdy by nie wpadł, po prostu nie mógł. Skąd mogło przyjść do głowy Francuzowi, że wykształconym ludziom, często na stanowiskach, chce się i się opłaca(?) przylecieć do Francji samolotem(!!!), aby popracować na czarno i do tego fizycznie na winobranii?

Wydzwania więc teraz chłopaczyna po wszystkich winnicach i po jego zapale można wnosić, że pewnie coś załatwi. Dobrze by było, bo i Adam mógłby się razem z Bogusiem na takie winobranie załapać.

Dziś rano Francoise - dziewczyna Jędrusia, zadzwoniła pod nieobecność Andrzeja do naszego hotelu. Coś mi szwargotała i z jej przejęcia mogłam się domysleć, że pewnie to coś ważnego.

I muszę się pochwalić, że stanęłam na wysokości zadania. Po pierwsze, dałam jej się wygadać, a potem cyfra po cyfrze z moich francuskich rozmówek podyktowałam jej numer telefonu do biura, w którym Andrzej płodził swoje dzieło. A niech tam sobie pogadają... A podyktowałam poprawnie, o czym świadczy to, że się dodzwoniła.

Chodziło o to, czy moglibyśmy wyjść pojutrze na Orly po Bogusia. Przylatuje o piątej po południu. Ona jest zajęta, a Jędrus pracuje. Trzeba by przetransportować chłopaka z lotniska do ich domu, oni już tam będą.

Nie ma problemu, wyjdziemy. I tak bylibyśmy tam z własnej inicjatywy. Przyjeżdża przecież nasz jakby brat.

* * * * *

Po południu wychodzę z Michałkiem do miasta. Muszę przyznać, że raczej niechętnie. Nęci mnie bardzo chłodny i przytulny pokój, ale doprawdy nie mam sumienia, by patrzeć, jak moje dziecko męczy się i nudzi. Nadal stroni od dzieci, one zresztą od niego też.

Najpierw idziemy na plac Trocadwro. Jest to najbardziej ulubiony i najczęstszy cel naszych wypraw.

Już po drodze eleganckie, przebogate sklepy ze swoimi fantastycznymi wystawami. Sam plac ogromny i od wysadzonych gęsto drzew bujnie zielony jest dla mnie jakby symbolem ruchliwego, ożywionego paryskiego życia - przystanki metra, z których falami wylewają się ludzie... sznury, a raczej kłębowisko trąbiących raz agresywnie, raz wesoło samochodów i te, tu chyba najładniejsze narożne, kolorowe uliczne kawiarenki... tłum ludzi kręcących się po chodnikach i depczących niemal po nogach konsumującym różne wspaniałości kawiarnianym klientom...

Zawsze lubiłam oddech wielkomiejskiego życia i mam wreszcie okazję chłonać go pełną piersią. Mogłabym tu chodzić, obserwować, myśleć i co tu dużo mówić - marzyć, marzyć bez końca. Bo w takiej wspaniałej scenerii myśli się jakoś inaczej, lepiej, bardziej optymistycznie. Znikają gdzieś wątpliwości i lęki. To tak, jak gdyby człowiek nie wierzył, że w dobrze prosperującym, w bogatym i sympatycznym świecie mogło się jemu przytrafić coś złego.

... I na pewno wszystko pójdzie dobrze. Jean obiecał porozmawiać z kimś ważnym. Andrzej może podobno zarobić na tym tłumaczeniu ponad pięć tysięcy franków. Przyjedzie Boguś, a potem Adam i od razu wszystkim będzie różniej...

Dwukrotnie okrążyliśmy plac. Michałek ciągnie mnie w stronę tarasów. To jego ulubione miejsce.

Faktycznie, ten piękny widok Paryża przysłonięty ogromną konstrukcją wieży Eiffla, szeroka wstęga Sekwany w dole, to robi wrażenie. Chyba właśnie tu musi być serce tego miasta, tu bardzo mocno czuje się jego puls.

Wymijając kręcących się bez pośpiechu ludzi, dochodzimy do samych balustrad. Widok stąd jest tak ładny, że niemal nierzeczywisty, symboliczny - ot taka malownicza pocztówka. Wieczorem jest jeszcze piękniej. Kiedy u podnóża tarasu tryskają w górę cudownie oświetlone fontanny, myślę, że i u gruboskórniaka, u prymitywa drgnęłoby coś. Ja dostaję dreszczy.

To tu przybiegają z całego świata turyści nie tylko po to, aby zachłysnąć się niepowtarzalnym widokiem, lecz przede wszystkim aby właśnie w tym miejscu się sfotografować. I takie zdjęcie na tle wieży Eiffla będzie wspaniałą pamiątką. Robimy komuś małe pstryki i już wiadomo, że był w Paryżu.

Michała najbardziej cieszą różne popisy i wyścigi licznych wrotkarzy. Smutny jest trochę, że jego wrotki zostały w Polsce, ale na pocieszenie rezolutnie sobie przypomina, że właściwie nie zdążył się jeszcze nauczyć na nich jeździć.

Chłopcy i dziewczęta, gdyż one tu jeżdżą z równym wigorem, ubrani są na sportowo, ale starannie i ładnie. Kolory biją w oczy, a wszystko estetycznie dobrane: bluzeczka, szorty, przepaska na włosy. Do tego sprzęt wysokiej klasy - wielkie magnetofony z nagłośnieniem, najróżniejsze radia albo malutkie, wielkości widokówki przytroczone do paska walk-many.

W każdym razie jest wesoło i hałaśliwie. Prawdziwe szaleństwo najnowszych przebojów. Jedne nagrania głośniejsze od drugich i przy takim to muzycznym harmiderze prezentowane są różne taneczne ewolucje lub brawurowe skoki. Oczy nie nadążają patrzeć, uszy bołą, głowa pęka. Nadmiar wrażeń.

A jest jeszcze jedna, może największa dla nas atrakcja na Trocadwro.

Zdarza się, że przychodzą tu różni artyści i na zasadzie "co łaska" demonstrują gromadzącym się natychmiast wokół ludziom najprzeróżniejsze występy.

Widzieliśmy żonglerów, magików, akrobatów, nie mówiąc już o popisach piosenkarskich czy muzycznych.

Najładniejszy jednak był miniaturowy kukielkowy teatrzyk, który pobudził Michałka do szczerego głośnego śmiechu. Ja się może aż tak nie bawiłam, raczej nie łapałam, co jest grane, ale spektakl też podobał mi się ogromnie.

Po skończonym występie przesympatyczny pierrot podszedł między innymi do Michałka. Wręczył mu kolorową reklamówkę teatrzyku, wesoło go poszturchiwał i coś gadał. Kilkakrotnie potrząsnął czapeczką do której, łatwo można się było tego domyśleć, należało wrzucić jakiś pieniążek.

I miałam wielką chęć, aby i od nas coś tam wpadło, ale nie wiedziałam ile dać: trzy franki, a może pięć? Nie mogłam się zorientować, ile wrzucają inni. Bałam się, że damy za mało i tylko niepotrzebnie zwrócimy na siebie uwagę. Stało więc na niczym, a Michałkowi przykazałam, aby przy następnych występach trzymał się raczej z tyłu.

Ostatnio pod względem finansowym poczułam się jakby swobodniej. To znaczy w dalszym ciągu robiłam wszystko, aby wydawać jak najmniej pieniędzy, ale zrobiłam się pewniejsza. Nie było tragedii z pójściem do toalety na mieście, nie popadałam już w panikę przed sklepową kasą.

Wprawdzie nadal pieniędzy było tyle, ile było, ale mieliśmy po raz pierwszy nadzieję, że ich przybędzie, podczas gdy przedtem widzieliśmy, jak ubywają, znikają podobnie jak zerwane ze sznurka korale. I baliśmy się zobaczyć pusty sznurek. Przerażało nas puste dno portfela.

A jeszcze niedawno przez te przekłete ceny, właśnie tu na Trocadwro mało nie wpędziłam dzieciaka i siebie w chorobę.

Łało i było zimno. Już z godzinę taplaliśmy się w błocie ogrodowych alejek. Przechodziliśmy dawniej koło mieszczącego się w głębi parku morskiego muzeum, nigdy jednak nie pokusiliśmy się, aby wejść do środka. Po co płacić, a zresztą i na zewnątrz mieliśmy zawsze tyle wspaniałych atrakcji. Teraz z powodu złej pogody postanowiłam tam się schronić.

I może to głupio, że ja ciągle o tych cenach - niby nic 12 franków za dwa bilety, ale wtedy było jeszcze tak, że naprawdę każda oddana komuś moneta napawała mnie lękiem.

Wchodzimy, a raczej schodzimy do środka - wielka, głęboka pieczara z zamontowanymi w ścianach różnej wielkości i kształtu akwariami. Półmrok, pusto, oprócz nas zaledwie kilka osób.

Ryby jak ryby - jedne małe, inne większe, były też, zdaje się, piranie. Opowiedziałam o ich krwiożerczych zwyczajach Michałkowi, ale wątpię, czy zdołałam go zainteresować. Chłopak się skulił, skurczył w sobie i dreptał bezradnie za mną.

W pieczarze-muzeum było piekielnie zimno i chyba jeszcze większa wilgoć, niż na zalanym deszczem świecie. Zdawało mi się, że z czarnych kamiennych ścian zwisają lodowe sople, z których prosto na nas kapie lodowata woda.

Wściekła na siebie za tak głupio wydane pieniądze, pełna dezaprobaty dla urzędnika wnętrza, karcąc Michałka za apatyczne podejście do świata natury, przemaszerowałam przez pieczarę z dużym samozaparciem jeszcze ze dwa razy.

Ciekawszy byłby w sumie zwykły stragan z rybami, tylko że mówiło coś we mnie - jak zapłaciłaś, to siedź. Ale kiedy Michałek zaczął kichać raz po raz i cały się zasmarakał, biegiem poleciliśmy do wyjścia i wyskoczyliśmy z tego przybytku nauki jak z procy.

Niebo przejaśniało. Przestało padać i wyjrzało słońce.

* * * * *

Następnego dnia przy kawie odbywam długą i rzeczową rozmowę z panią Stasią.

Powiedziała mi w zaufaniu, że dyrektor hotelu jest nieco zaniepokojony naszą sytuacją, a konkretnie obawia się, czy aby nie myślę wrócić tu z dzieckiem po porodzie.

Ostatecznie te kilka dni, no powiedzmy, tydzień może nas przetrzymać, ale potem - tu miał przybrać ton stanowczy - potem oni muszą sobie coś znaleźć.

I tak sympatyczny gość. Tylko co my właściwie możemy sobie znaleźć? Gdzie się po tym wszystkim udamy? Bez pieniędzy, bez papierów, strach pomyśleć, co nas czeka. A Malutki rwie się do wyjścia na świat, coraz częściej bombarduje mój brzuch niecierpliwymi nóżkami.

Pani Stasia jest konkretna.

Trzeba wynająć mieszkanie. Szukać na przedmieściu, tam jest taniej. Niech będzie i rudera, aby przetrzymać jakoś ten pierwszy okres. Aby do wiosny. Szukać umeblowanego, bo skąd weźmiemy na meble. Jeśli nie, to meble tylko używane, okazje. Przyniesie mi jutro taką specjalną gazetkę, gdzie mam szukać ogłoszeń. Agencji unikać, bo za pośrednictwo okrutnie zdzierają. Tyle Pani Stasia. Kropka.

Rzeczowa i konkretna jest pani Stasia i doprawdy bardzo ją lubię. Wdzięczna jestem jej również za te wszystkie rady... tylko. I bez końca to "tylko", bo to wszystko jednak jest postawione na głowie.

Jak mogę myśleć o mieszkaniu czy meblach, kiedy nie jestem pewna, na jak długo starczy na życie tego, czego jeszcze mój mąż jak dotąd nawet nie zarobił?

Bo też mógłby się jakoś sprężyć, coś zakuglować, nie wiem. Gdyby to ode mnie zależało, już dawno te japońskie roboty fruwałyby we francuskim leksykonie. No i

znowu, co z tymi pieniędzmi? Niechby już może po prostu Jeana zapytał, ile za to tłumaczenie dostanie.

Niech diabli wezmą te wszystkie wątpliwości, znaki zapytania! To nie dla mnie. Wyłazi ze mnie impulsywna, niecierpliwa, domagająca się konstruktywnych działań natura. Tylko co ja mogę? Pozostaje mi bierne czekanie i wiara w wielkoduszną Opatrzność.

Nie wiem, czy pani Stasia widzi moją zmienioną twarz, czy się domyśla, co się we mnie dzieje. Radzi jednak dalej: noworodkowi do picia podawać to, jako mleko tamto, a pieluszki najlepsze to takie. Ona wie, bo troje wnucząt we Francji wychowała. Zaraz mi to wszystko zapisze.

Przy tym temacie oddycham trochę swobodniej. Wszystko, co potrzebne dla Maluszka, całą wyprawkę łącznie z łóżeczkiem mam dostać wkrótce w prezencie.

Rzeczy te podobno są już w drodze aż z dalekich Alp, a załatwia je od swojej siostry, Marie-Claude, żona Bernarda. Żeby krótko o tym małżeństwie - najsympatyczniejsi ludzie na świecie.

Bernarda poznał Andrzej w Polsce wiele lat temu, kiedy jako student pilotował francuskie wycieczki.

Z taką wycieczką przyjechał do Warszawy Bernard. Trochę jeździli, zwiedzali i Polska bardzo się Bernardowi spodobała, a między nim i Andrzejem nawiązała się zażyła znajomość. Do tego stopnia, że razem z drugim kolegą, również uczestnikiem tej wycieczki, zaprosili polskiego przewodnika do siebie. Tak to po raz pierwszy Andrzej zobaczył Francję. I został nią oczarowany - latami ją wspominał i zawsze chciał tam wrócić.

Po naszym przyjeździe Bernard z żoną przyjęli nas miło. Zaprosili raz i drugi do siebie na obiad czy kolację. Natomiast ich inicjatywa załatwienia dla mającego się urodzić dzieciaka całej, gotowej wyprawki była czymś więcej niż miłym gestem. Była to dla nas w tych warunkach niezaprzeczalna, konkretna i jakże w porę przychodząca pomoc. Będzie miał nasz Mały gdzie i w czym sobie spać...

Gada tak do mnie ta pani Stasia i gada i nawet nie wie, o jaki przyprawia mnie lęk. Nie czuję się ani pewnie, ani bezpiecznie. Wprost przeciwnie.

Chociaż z drugiej strony, tak sobie teraz myślę - podczas krótkiego pobytu we Francji spotkałam tylu ludzi życzliwych i serdecznych, tyle gestów bezinteresownych i szczerych, że chyba i w przyszłości nie mam się czego obawiać.

To nie jest pustelnia lub kraj szakali i hien. Wystarczy tylko samemu wysłać impulsy serca, aby wokół stawało się cieplej i lepiej. Są zresztą na to dowody, te przejawy ludzkiej życzliwości, której w krótkim czasie wielokrotnie doświadczyliśmy.

- Jakoś więc to będzie, pani Stasiu. Zobaczy pani, wyleziemy z tego. I dziękuję za wszystkie wskazówki i rady, nie omieszkam się do nich zastosować. A... za głos pani pełen matczynej niemal troski, za czułe głaskanie po główce Michasia, to ja, pani Stasiu..., to ja panią ucałuję.

* * * * *

Po obiedzie wychodzę z Michałkiem do miasta.

Przewrażliwiona trochę na punkcie dzieci, u których coś nie w porządku, boję się, żeby to moje Michalisko nie popadło w jakąś, nie daj Bóg, melancholię.

Stał się małomówny i smutny, całymi godzinami potrafi się bawić kapslami lub samolocikami z papieru bez słowa i w kąciku. A przecież to był, gdzie był - to jest mały diabeł, nie dzieciak, taki żywotny, wesoły łobuziak.

Nie ma co się oszukiwać, on się bardzo nudzi. Poza niezbyt częstymi spacerami ze mną, nie ma żadnej innej rozrywki. Jest nieśmiały i chyba troszkę zagubiony. Wykluczone, aby nawet w hotelu chodził gdziekolwiek sam.

Trzymamy się z Michałkiem za ręce, rozmawiamy. Idziemy powolutku.

Jedyny temat, który go ożywia, to rozmowa o mającym się urodzić braciszku. Bo Michał jest pewien, że to będzie chłopiec i twierdzi najzupełniej poważnie, że ja na chłopca "wyglądam".

Rozmawiamy więc sobie, planujemy i pytania, pytania bez końca. Wyobrażamy sobie różne możliwe z Maluszkiem śmieszne sytuacje i jest nam dobrze i chcemy bardzo, żeby już było po wszystkim.

Dochodzimy do centrum handlowego. Odkryliśmy je niedawno w okolicy i jest to teraz po Trocadwro najczęstszy cel naszych wędrówek.

Centrum - i co ja mogę powiedzieć? Jest tu wszystko do kupy. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzyła, że istnieje taki handlowy kolos.

Jest tu jeden sklep przypominający Viniprix, tyle że pięć razy większy. I w środku różne działy, stoiska, towary - wszystko co najmniej pięciokrotnie większe, liczniejsze. A to tylko jeden ze sklepów.

W centrum jest tych sklepów bez liku. Ciągną się jeden za drugim po obu stronach szerokiego przejścia, z tym że w odróżnieniu od ogromnego wielobranżowego są to sklepy znacznie mniejsze, specjalistyczne, a asortymenty różne: pieczywo, owoce, sery, tam sama wełna, tam ubrania, gdzie indziej wyłącznie jakieś starocie, ryby, mięso i meble. To jeszcze nie wszystko. I zrób coś z tym i bądź tu klientem.

Wszystko oczywiście pod jednym dachem. Szkoda, że nie potrafię oszacować powierzchni całego centrum. W każdym razie jest to przestrzeń ogromna, imponująca. Jeden olbrzymi hangar.

Najpierw idziemy do sklepu wielobranżowego. Bardzo lubię go zwiedzać. Półki, towary, towary, aż maści mi się w głowie. A są tacy, co twierdzą, że od przybytku głowa nie boli.

Przy stoisku z garmażerią ekspedientka, starsza pani, wychyla się do nas spoza lady. Mówi coś do Michałka, uśmiecha się, zagaduje. Przypuszczam, że chodzi o jego włosy, gdyż miła pani robi gesty, jakby chciała dotknąć tych złocistych kręconych pukli. Uśmiechając się ciągle, wybiera ze sterty pokrojonych wędlin gruby kawałek szynki i najnaturalniej wręcza go małemu pogromcy babskich serc. Ten odbiera smakołyk bez żenady, dziękuje "żołnierskim dygiem" wyuczonym w warszawskim przedszkolu i spokojnie zaczyna zajadać. Bąkam coś po swojemu, popycham Michałka, on macha na pożegnanie.

Plaster szynki jest naprawdę gruby, a ja marzę, aby już zniknął w czeluściach michałkowego brzuszka. Czuję się niepewnie. A jeśli ktoś zobaczy, jak wyjaśnię, dlaczego dziecko konsumuje towar przed podejściem do kasy? A zresztą po jakimu?

- Jedz szybciej, Michałku. Pospiesz się! Proszę cię, jedz.

Kompletna głupota, przywołuję się do porządku:

- Opanuj się kobieto, bo jeszcze ci się dziecko udławi.

Idziemy długim, szerokim korytarzem, kręcąc głowami raz w prawo, raz w lewo. Przystajemy co krok.

Oglądam mijane wystawy i zapominając życiowe wskazówki pani Stasi, dopasowuję nowoczesne piękne meble do naszego przyszłego(?) mieszkania... I rzeczy dla Maluszka, takie słodkie śliczności i dla Michałka modne sztruksowe spodenki na szelkach z przypiętą czerwoną etykietką - "stop - oferta super" i z ceną obniżoną o połowę. Najwyraźniej więc to, o co Andrzejowi chodzi, tylko...

Przy stoisku z owocami zatrzymuję się jak zwykle. Nie tyle, żeby kupić, ale żeby pooglądać. Pachnące cuda kuszą, cieknie ślinka. Nie mam zbyt silnego charakteru, decyduję się na banany, które Michałek wprost pożera. Wybieram kilka sztuk, zrobimy sobie królewski podwieczorek.

Gdy mijamy kasę, podchodzi do nas jedna z ekspedientek. Trzyma w ręku jakiś papierek. Przykuca przy Michałku i wyraźnie mu go wręcza. Przypominam sobie w popłochu ostrzeżenie Andrzeja, aby niczego od ludzi nie brać, gdyż może się okazać, że trzeba zapłacić i to słono, a tu się płaci za wszystko. Jestem więc w kropce.

Inicjatywę przejął mój synek, który odebrał wręczony mu bilecik i zaczął go oglądać ze wszystkich stron. Na wszelki wypadek dziękuję, pewnie niezbyt wymownie, ale za to z uśmiechem.

I dopiero po opuszczeniu centrum handlowego orientuję się do czego służy niebieski kartonik Michasia. Przed głównym wejściem stoi miniaturowy, cudacznie kolorowy pociąg - lokomotywa jak żywa i sześć, no może siedem zgrabniutkich wagoników. Muzyka na całego, wszędzie reklamy sklepu, z którego wyszliśmy. Ludzie posiadający papierki takie jak my wsiadają do tego śmiesznego pojazdu. A więc to dla ciebie Michałku drugi dziś prezent, drugi życzliwy gest.

Tylko skąd to się bierze? Czyżbyśmy wzbudzali litość? Nie, to byłoby okropne. Staram się przecież bardzo, aby skromne nasze ubrania wyglądały zawsze czysto i schludnie. Są często prane w małej i niewygodnej hotelowej umywalce.

A może to właśnie ty, twoje śliczne niebiesciutkie oczy i kręcone blond włosy wzbudzają taką sympatię? Tak mi się nawet zdawało, że ta pani od szynki pokazywała na twoje kędziory. Tym lepiej, mój Mały - wsiadamy. Zobaczymy, gdzie nas ten pociąg komercyjnych reklam zawiezie.

Pociąg to zabawka, ale sam fakt przemieszczania się w przestrzeni daje pewien dystans do mijanego świata, ma się wrażenie prawdziwej podróży. I znów widzę znane mi ulice i place, a tam w dali widać nawet nasz hotel, ale wszystko to jest jak gdyby inne, jakby z filmu, a może z sennych marzeń.

Przed nami siedzi dziewczyna z chłopcem. Pewnie zakochani, gdyż cały czas obejmują się i całują namiętnie. W przerwach palą papierosy. Wnosząc z ich wyglądu, nie mają czternastu lat. Ona jest mocno wymalowana, on ostrzyżony na języka, po bokach łyse zakola, w uchu kolczyk.

Dziewczyna może widzi, że ich obserwuję, bo jakby chcąc mnie sprowokować, kieruje rękę swego partnera, ni mniej ni więcej, między swoje uda. Nie długo trzeba czekać, aby ten gest przeobraził się w wulgarną manifestację erotycznych zapędów. Teraz już oboje patrzą na mnie wyzywająco. Czuję się głupio. W popłochu, że mogą posunąć się jeszcze dalej, odwracam od nich wzrok.

Chyba się jednak starzeję. Te miłosne zapędy paryskich smarkaczy zdecydowanie mi nie pasują. To przecież jeszcze dzieciaki i poza tym są w miejscu publicznym, gdzie inne dzieci - młodsze patrzą i oswajają się z tego rodzaju zachowaniem.

Nie, w Warszawie by to nie przeszło. Jeszcze może romantyczne trzymanie się za ręce, jakiś dyskretny pocałunek, ale nie aż tak. Nie mówiąc już o reakcji bliźnich, o tak zwanej opinii publicznej. W podobnej jak ta sytuacji znalazłoby się natychmiast kilka dewotek, które taką "rozgrzaną parę" zdruzgotałyby swoimi jęzorami i nie powstrzymałyby się też pewnie przed wyrzuceniem jej z pędzącego pociągu.

I widzę, że byłam niesprawiedliwa. Tyle się nazrędziłam, nawydziwiałam nad naszą polską młodzieżą, poprawną i grzeczną, jeszcze tak wschodnią.

* * * * *

To już dziś, dziś witamy Bogusia.

Za kilka godzin będę już wszystko wiedziała: jak oni, jak ci nasi się czują; jak przeżyli nasz wyjazd; strajki - czym to się skończy, mój Boże; zaopatrzenie i pogoda tam jaka?

Układam w myśli taką listę pytań, ze zdziwieniem jednak stwierdzam, że właściwie na tym moja lista się kończy. Zapytałam już, co najważniejsze. Jest jeszcze cała reszta - kartki, limity, przydziały. Stwierdzam jednak z pewnym przerażeniem, że mnie jak gdyby mniej to wszystko interesuje. Zdażyły oddalić się ode mnie tamte prozaiczne problemy i kłopoty, zamazały się już w pamięci wspomnienia codziennych trosk. Te sklepowe podchody, te przepychanki o miejsce w kolejce, drobne zwycięstwa lub klęski przed ladą - taka mała powszednia batalia na własny, na rodziny użytek. Zaciera się to powoli i przestaje boleć.

Zastanawiam się nad tym i pewna refleksja nasuwa mi się niespodziewanie. Pewnie, że w tutejszym naszym życiu problem kolejek, trud zdobywania żarcia bezpowrotnie przestał dla nas istnieć, nie ma już ograniczeń, limitów. Natomiast inne aspekty, tak typowe dla polskiego życia - zdobywanie, przepychanie się - krótko mówiąc, walka, są również i tu, towarzyszą nam nadal. Tyle że dotyczą spraw innych, już nie tak codziennych. Tu chodzi w ogóle o przetrwanie.

Na lotnisku usiłujemy wyłuskać z tłumu Bogusia. Przewija się przed nami sznurek lotowskich pasażerów. I jest, widzimy go przy przejściu, lecz towarzystwo, w jakim się znajduje, osadza nas na miejscu.

Wychodzi nasz Boguś swoim zwykłym lekko bujanym krokiem, ze swoim nieodłącznym papierosem w zębach z nikim więcej jak... Danielem Olbrychskim - gwiazdą polskiego kina. Jak słyszę, aktorem bardzo wziętym ostatnio również i na Zachodzie. I słusznie.

Taki to już jest ten Boguś, nie podróżuje z byle kim.

Olbrychski jest swobodny, ściska nam dłoń. Wymieniamy grzecznościowe formułki. Nasz przyjaciel, widać po nim, że mocno przeżywa wylądowanie na francuskiej ziemi. Jest podniecony i najwyraźniej spięty.

Do Paryża jedziemy autobusem. Pasażerów sporo, trasa długa.

Andrzej nie traci minuty, nie da człowiekowi odetchnąć, rozprawia z zapamiętaniem: przepisy, zasady, podstawy i wyjątki, a wszystko na temat - Polak na Zachodzie. Nasz przyjaciel jest też przygotowany, on z całokształtem problemu na wszelki wypadek zapoznał się już w kraju. Dla mnie to drętwa mowa, w moim umyśle ten temat leży odłogiem.

Temat kolejny - sytuacja w Polsce. Główne zagadnienie - kto kogo, z kim, dla jakich racji i do czego to wszystko prowadzi?... Jeden wie lepiej, bo jest tam na miejscu, drugi wie lepiej, bo ma tu dostęp do "wolnych" (!) środków masowego przekazu.

Po wstępnej wymianie węzłowych argumentów, chłopcy przechodzą do absolutnego wzajemnego się przekonywania. Ich dyskusja zaczyna wzbudzać zainteresowanie pasażerów autobusu. Biorąc pod uwagę, że prowadzona jest po polsku, można się domyśleć, że to raczej żywiołowa gestykulacja i podniesiony ton dają się innym zauważyć. Tracę powoli nadzieję, że znajdę dziś odpowiedź na wprawdzie nieliczne, ale nurtujące mnie pytania. Dyskusja przeradza się w kłótnię.

I o co kruszy tu kopie? Od tego co dzieje się w Polsce my odeszliśmy już dosyć daleko i świadectwo tamtejszych przemian może do nas dotrzeć jedynie pośrednio, a z drugiej strony przekonać kogoś z kraju o prawdzie życia na Zachodzie - bezsens, każdy sam na sobie musi tej prawdy doświadczyć, poprzez własne przejścia reguły tutejszego porządku poznać i sprawdzić.

Ale oni kłócą się dalej. Zdania krzyżują się w powietrzu. Z chaotycznie rzucanych uwag udaje mi się wyłapać: rodzice tęsknią, nauczyciele dostali podwyżkę, pogorszyło się jeszcze w budownictwie mieszkaniowym, o papierosy trochę łatwiej...

A w ogóle, to nie ma jak zwiedzanie świata i co byśmy powiedzieli na małe, zimne, orzeźwiające... piwko?!

I co tu zrobić z takim gościem? Jestem szczęśliwa, że jest.

* * * * *

Mijają dni. Boguś wpada do nas od czasu do czasu, lecz rzadko. Przypuszczam, że kręci się za jakąś robotą. Andrzej wychodzi rano na prawie cały dzień i tylko kontrolnie dzwoni zawsze przed południem.

Chodzę z Michałkiem na spacerunki i kiedy on milczy i nie wymaga mojej uwagi, próbuję od nowa analizować to wszystko i szukać racji mojego tu bytu.

Za wszelką cenę chcę wierzyć, że się to jakoś ułoży - i urodzę naszego Maluszka... i Andrzej załatwi pracę... i będziemy mieli mieszkanie... Michałek będzie chodził do francuskiego przedszkola... Ale równocześnie zdaję sobie sprawę, że jest to wiara raczej irracjonalna, bo nie ma podstaw, nie ma jeszcze nawet żadnego punktu zaczepienia, aby ziściły się nasze nadzieje, wieloletnie niepoprawne marzenia.

Jedyny optymistyczny wyjątek w tych ponurych rozważaniach to zbliżający się poród. Wiem, że mogę być spokojna. Znalazłam się pod najlepszą medyczną opieką, przecież medycyna francuska nie ma na świecie równej sobie. Na pewno wszystko pójdzie jak z płatka, urodzę łatwo i bezboleśnie.

Kiedy przypomnę sobie tortury rodzenia Michasia... mój niekończący się krzyk - Michaś wychodź, wychodź, wychodź! - gdzie w czternastej godzinie intensywnych bólów partych, przy jakimś ujściu zamkniętym modliłam się już tylko o to, aby umrzeć i na pewno wszystko jedno mi było, czy w ogóle i w jakim stanie urodzi się dziecko. Dziecko tak chciane, oczekiwane od lat - Michałek, ten śliczny, kochany mój chłopczyk.

Rodzić pierwsze dziecko, gdy ma się 27 lat to już nie śmiechy. W warszawskim szpitalu nazwali mnie brzydko "starą pierwiastką" i pal ich licho. Ale dlaczego pozwolili tak cierpieć, kiedy błagałam o litość, dlaczego nie pomogli, kiedy byłam jak oszalała z bólu zwierzę?!

To już pięć lat, a mną jeszcze trzęsie i tamten ból znów boli. I kto wie, może i trochę stąd wynikła moja decyzja wyjazdu - chciałam rodzić "po zachodniemu", bezboleśnie.

Przechadzamy się z Michałkiem, rozmawiamy i wspominamy.

W egoistycznym odruchu ciekawości pytam go nagle, czy nie żałuje, że wyjechał z Polski, czy nie żał mu zostawionych zabawek i książek, a może kolegów z przedszkola. I tu ten pięcioletni dzieciak zdumiewa mnie przemyślaną i jakże dojrzałą odpowiedzią.

...On czeka, aż tata pójdzie do pracy... i to wszystko, co pokazywał mi na wystawach, to on będzie miał i już nawet sobie wybrał, co chciałby najbardziej. A ta zabawa w sznurki i kapsle, którą wymyślił, też jest wcale nie głupia, jest fajna i tylko szkoda, że nikt nie chce razem z nim grać... A babcia, dziadek i wszyscy przyjadą kiedyś tu do nas. Oni nigdy jeszcze we Francji nie byli i na pewno bardzo się im spodoba. A jak już będą pieniądze, to on kupi dla nich bardzo ładne prezenty, bo tu WSZYSTKO w sklepach jest...

Mój biedny, kochany Mały, doczekasz ty się jeszcze tych cudów z wystawy. Przecież, jakby na to nie patrzeć, podjęta desperacka decyzja wyjazdu z Polski była właśnie z myślą o tobie, dla ciebie.

I twoja cierpliwość, niejako pewność, że sięgniesz kiedyś po to, co jest odgrodzone teraz sklepową szybą i astronomicznymi dla nas cenami każe nam, twoim rodzicom, spotęgować wszelkie wysiłki, aby stać się to mogło faktem i aby ziściło się niewinne marzenie dziecka. Będę musiała przycisnąć ojca. Urzęduje w tym biurze, duma, odbiera telefony. Tylko kiedy będą z tego jakieś pieniądze?

- Wracajmy już do hotelu, syneczku. Dzisiaj zagram z tobą w twoje kapsle.

* * * * *

I znów upłynęło kilka dni. To był wtorek.

Obudziłam się ze straszliwym uczuciem, że umieram.

W głowie ucisk, bolesny skurcz w piersiach zaparty aż gdzieś o przeponę i jakieś niesamowite gorąco - jakby ktoś przypiekał mnie żywcem, tyle że od środka. Czułam się właśnie tak.

Pierwsza myśl - to już poród. Reguluję oddech i próbuję zmobilizować świadomość.

Michał śpi, Andrzej wyszedł już do biura. Mam nadzieję, że nie zamknął za sobą drzwi na klucz. Jest godzina ósma, może dziewiąta rano. W dole brzucha nie czuję żadnych sensacji, chyba żeby ten poród miał przebiegać inaczej.

Docieram do łazienki. Pragnę umyć się zimną wodą, gdyż czuję, że za chwilę mogę stracić przytomność. Spoglądam w lustro i to co widzę, przeraża mnie i cuci. Moja twarz jest purpurowa, co tam purpurowa - bordowa, a wszystkie żyły i żyłki nabrzmiały i dziko pulsują. Te palpacje czuję zresztą w sobie całej. Wyglądam okropnie. Puszczam strumień zimnej wody i studzę twarz, kark, szyję. I jakby lepiej. Wracam powoli do łóżka.

Budzi się Michałek. Na szczęście czuję się już niemal normalnie. Kiedy jednak dzwoni do nas jak zwykle po śniadaniu Andrzej, cała przejęta, gdzie tam, przerażona relacjonuję poranny incydent. Nawet nie musi się wysilać, aby mnie uspokoić -

przecież właśnie dziś o trzeciej po południu mam wyznaczoną wizytę kontrolną w poradni szpitalnej, tak więc wszystko się wyjaśni.

Faktycznie, zapomniałam. Jak szczęśliwie się składa, że to właśnie dzisiaj. Inaczej zagryzłabym się chyba z niepewności i obaw.

Z powodu wizyty w szpitalu Andrzej kończy swoje tłumaczeniowe wycieczki wcześniej i jedziemy tam razem. Michałek zostaje w hotelu u kolegi, którego poznał ostatnio. Marek, tak ma na imię ten chłopiec, jest wprawdzie o dwa lata od niego starszy, ale bawią się razem doskonale.

Moja pani doktor jest jak zwykle przeurocza. Comment ca va i jakie plany na przyszłość. Konwersacja bon ton, głębokie refleksje polityczne na temat sytuacji w naszym biednym kraju okraszone bukietem kokieteryjnych uśmiechów pod adresem mojego męża.

Kopię Andrzeja pod stołem chcąc, aby wytłumaczył, że byłam bordowa jak burak, że żyły nabrzmiały i takie gorąco.

- To normalne (podkreślenie dobitne), to jest już przecież końcówka. Nie można się tak ekscytować byle czym. A dziecko jest duże i silne i ponownie zobaczymy się z panią już pewnie piętro wyżej.

Wiem, co ma na myśli. Na pierwszym piętrze jest porodówka, więc prognozuje, że niebawem będę tam rodzić. Ale czy na pewno Andrzej przetłumaczył jej wszystko, tak jak trzeba i czy mogę wreszcie się uspokoić tym powtarzaniem przez nią wielokrotnie ca va?

Lekarka podnosi się zza biurka, najwyraźniej dając do zrozumienia, że wizyta skończona.

- Żadnych wątpliwości..., rendez-vous za tydzień..., jeśli coś będzie się działo, to proszę się zgłosić..., bardziej nad sobą panować.

I to było we wtorek.

* * * * *

W czwartek pod koniec porannej spacerowej rundki nagle poczułam się źle. Z budki telefonicznej dzwonię do Andrzeja, niby zapytać jak się pracuje, w istocie, aby wysondować, kiedy ma zamiar wrócić. O tym, jak marnie się czuję, nie wspominam nic, ale widocznie coś przecztał, gdyż wrócił znacznie wcześniej, około trzeciej. I dobrze, bo czuję się coraz gorzej, plamię już mocno.

Kapię się w pośpiechu i przygotowuję rzeczy potrzebne mi do szpitala. Marzy mi się jeszcze pojechanie pod adres, gdzie jest podobno po atrakcyjnej cenie mieszkanie do wynajęcia, ale okazuje się, że to daleko, a Andrzej na wszelki wypadek woli mnie od razu odwiedzić pod opiekę lekarzy.

Boguś jest już umówiony. To on ma się zająć Michałkiem na czas porodu. Uprzedziliśmy go telefonicznie i ma na nas czekać przed szpitalem. Ku memu niezadowoleniu, Andrzej będzie asystował przy porodzie. O rany, w Polsce nie do pomyslenia. Ale przecież tutaj jestem ciemna jak ta tabaka w rogu i potrzebny jest mi tłumacz. Bo skąd mogłabym wiedzieć, kiedy należy przeć, a kiedy głęboko oddychać?

Póki co trzeba jechać. Opóźniam wyjazd, jak mogę. Ciągle mi się zdaje, że nie wszystko jest jeszcze przygotowane, że na pewno pod moją nieobecność moi dwaj mężczyźni nie poradzą sobie.

Przydałoby się jeszcze coś przeprać; koniecznie muszę zajrzeć do lodówki; na śniadanie Michałek pije najchętniej kakao; na obiad macie mięso - już uduszone,

tylko podgrzać; i pamiętaj; i pomyśl; i żebyś koniecznie... a zresztą teraz to już sami się martwicie. Chociaż... i tylko... i obiecaj... Żeby tak Babcia mogła tu być z nami.

Może widać coś po mnie, że nie tak, a może to francuska tradycja, w każdym razie mój mąż wzywa pod hotel taksówkę.

Taksówkarz paryski, pierwszy, z jakim mam tu do czynienia, spogląda na mnie wilkiem. Przypomina mi od razu naszego warszawskiego "złotówę". Wzrok ma nieufny, o adres pyta opryskliwie, a kiedy dowiaduje się, że kierunek szpital, widać po nim, że najchętniej by nas wyrzucił.

Jedziemy długo, to znaczy nie wiem - pół godziny, czterdzieści minut, lecz dla mnie znacznie dłużej. Jest wczesny wieczór i na ulicach straszne korki. Kierowca boi się widocznie, że mu we wozie urodzę, bo trąbi jak do pożaru, wymuszając pierwszeństwo przy wymijaniu. Całym sercem solidaryzuję się z tym egoistycznie nastawionym człowieczkiem, aby mu w tej jego taksówce, broń Boże, nie urodzić, ale czuję się źle i modłę się w duchu, aby skończyła się wreszcie ta jazda i żebyśmy byli już na miejscu.

Nie ma jak modlitwa, jesteśmy pod szpitalem. Boguś macha na nas z daleka. Wchodzimy do środka, prosto na izbę przyjęć. Papierkowe formalności i mamy czekać. Za chwilę zejdzie z góry dyżurująca lekarka.

Lekarka? Przecież to dziewczuszka. No ile - 19, może 20 lat?

Dziewuszka w białym fartuszkach, spod którego wystają obcisłe, lecz mocno wypłowiałe dżinsy, jest przemiła: ... Jak długo we Francji... to będzie jej pierwsza Polka... skąd ma pan tak świetny akcent?...

Stwierdzam z niezadowoleniem, że nie nosi stanika. Jej zgrabne piersi rysują się ostro pod cienką tkaniną fartucha. W kielichu wypełnionym moczem, który jej przynoszę, liczne strużki jasnoczerwonej krwi.

- To nic, to normalne, wszystko jest jak najbardziej ca va. Tu jeszcze się nic nie dzieje. O, to kwestia co najmniej doby, na pewno nie wcześniej. Możecie spokojnie wrócić na noc do domu. To aż XVI dzielnica? Ach, to faktycznie daleko... Na dobrą sprawę, żona może zostać tu już dzisiaj. Tak czy inaczej, myślę, że jutro, zapewne

jutro powinno się wszystko rozegrać... Pan nadal jest gotów asystować przy porodzie? W tej sytuacji byłaby to dla nas pewna pomoc. Nie, oczywiście nic pilnego. Jak najbardziej, może pan iść do synka, zobaczymy się później na górze.

Andrzej odchodzi do chłopców, którzy czekają na zewnątrz. Musi im powiedzieć, że zostajemy, a na pewno też marzy o papierosie. Ja, również nałogowa palaczka, przestałam palić na początku ciąży, ale w ostatnich tygodniach załamalam się i pociągałam od czasu do czasu. Poczulałam teraz nieodpartą chęć na głębokiego aż po uszy dymka.

Podchodzi do mnie młoda dziewczyna i daje do zrozumienia, abym szła razem z nią. Zła jestem na Andrzeja, że zostawił mnie samą, kiedy ci cudzoziemcy zaczynają mnie gdzieś ciągnąć. Ale jak odszedł, nie minęło jeszcze nawet pięć minut, a lekarka powiedziała przecież, że nie potrzebuje się spieszyć.

Idę więc potulnie, zawsze byłam grzeczna. Kierujemy się do windy. No tak, porodówki są przecież na górze. Mimo woli, na samą myśl, serce ściska mi się z trwogi, jestem bliska wykonania zbawczego półobrotu do tyłu.

Długo nie jedziemy, to jednak pierwsze piętro. Wymiana zdań towarzyszącej mi pielęgniarki z jakąś panią w jakby recepcji i słyszę, że jestem skierowana do pokoju numer 20. Tyle zrozumiałam, zawsze podobało mi się francuskie brzmienie tej liczby.

Pokoik jest malutki, cały biały, taka izolotka. Nie ma w nim nic poza łóżkiem i jest to zapewne specjalne, rozkładane łóżko porodowe.

Pielęgniarka nawet się do mnie nie odzywa. Dowiedziała się pewnie na dole z kim ma do czynienia i najwyraźniej dała za wygraną. Teraz pokazuje mi na migi, że mam się rozbierać. Trzyma w ręku długą, wiążaną z tyłu na tasiemki bawełnianą koszulę.

Zsuwam z nóg sandały, sięgam po dół mojej reprezentacyjnej, butikowej sukienki i ciągnę ją przez ramiona do góry. I w momencie, gdy uniesione ręce zawisły na wysokości głowy, dzieje się coś nieprawdopodobnego - czuję jak gdyby wewnętrzne uderzenie, robi mi się gorąco, bardzo gorąco... i wszędzie jest krew. Moje ciążowe, ostatnio już za obcisłe majtki, których zdjęcie przez skromność

zostawiłam na koniec, leżą teraz pode mną zerwane tym jakimś dziwnym impetem całe czerwone, pokryte krwią. Patrzę bezradnie na pielęgniarkę. Nie zdążyłam się przecież jeszcze nawet rozebrać.

Dziewczyna podbiega do jakiegoś wózka, rozrywa w pośpiechu pudło szerokich podpasek. Ale i ona jest bezradna - krwi jest coraz więcej, jakby kubel jej się wylał. To już nie krwawienie, to krwotok.

Wybiega gdzieś, znika. Zostaję sama i wiem, że dzieje się coś straszego. Czuję śmiertelny, po prostu zwierzęcy strach.

I nagle leżę na tym stole-łóżku i wokół mnie jacyś ludzie. Jest lekarka z dołu. Wszyscy coś krzyczą, gestykują. Lekarka, która mnie przyjmowała, teraz mnie bada i nagle czuję, że głośno płaczę, taki zadała mi ból. Nie wiem, co mi zrobiła i czego teraz ode mnie chce, dlaczego tak mnie szarpie i skąd nagle ten tłum ubranych na zielono ludzi.

Boże, gdzie oni mnie wiozą? Jakieś twarze pochylają się nade mną.

- Gdzie jest mąż? Jaka ma pani grupę krwi? Gdzie mąż, do diabła, przecież miał tu być?!

... Grupa krwi, nie pamiętam, jest zanotowana w tych papierach na dole, a mąż poszedł do synka. I zlitujcie się, przecież ja nie mogę, ja nie umiem wam nic odpowiedzieć...

... O Boże, to operacja. A może to i lepiej, urodzę bezboleśnie. Ale dlaczego oni tak się spieszą, skąd ta panika? I nie zaczynajcie, ratunku, ja jeszcze nie usnęłam!

To jest cesarskie cięcie, ja wiem. Ja przecież czuję te wasze ręce wyszarpujące, wrywające ze mnie ten mój najdroższy kawałek ciała. Nie oddałabym go wam nigdy, ale wykorzystujecie, że jestem nie stąd i bezbronna, a jeszcze teraz to coś, co paraliżuje i tak już oszalałe uczucia i myśli... Bo ból fizyczny jest realny, jest żywy, jest mną. I niech będzie, niech trwa i niech zagłuszy ten demoniczny, dziki skowyt rodzący się we mnie.

- C'est fini, madame. C'est fini.

Otwieram oczy i widzę sylwetkę pochylonego nade mną pielęgniarza.

- To koniec, proszę pani. To już koniec.

Pielęgniarz klęczy nade mną okrakiem i próbuje przesunąć mnie na ustawione obok łóżko. Ktoś mu pomaga z drugiej strony, ale nie widzę kto. Gładzi mnie po twarzy, twarz mam zalaną łzami.

- Niech pani nie płacze, c'est fini.

Nie, Boże, to nie może być koniec. Spraw, odwróć to ode mnie, błagam! To jest tylko jakiś okrutny, straszliwy sen. Spraw, aby to był tylko koszmar operacyjnej narkozy. To niemożliwe, przecież to mój chłopczyk... Oddajcie mi mego synka!!!

Gdzie jest mój mąż, on wam przetłumaczy... To nieprawda, to się nie mogło stać.

- Niech się pani uspokoi, niech pani tak nie płacze. W tym pokoju czeka na panią mąż.

Pielęgniarz oddała się na palcach, dyskretnie zamyka drzwi. Patrzę na męża w milczeniu - wykrzywiona płaczem twarz. Nie mam już właściwie pytań, może tylko potwierdzać:

- Umarło? - tak, umarło... To był chłopczyk? - chłopczyk... I przez ten krwotok? - tak...

- A gdzie ty polazłeś, gdzie byłeś? Jak mogłeś zostawić mnie samą?

- Nie było mnie 15, no może 20 minut. Michałkowi zachciało się kupkę, a zresztą lekarka powiedziała, że nie ma potrzeby się spieszyć. Chciałem więc z Bogusiem omówić wszystkie szczegóły. Kiedy przyszedłem na górę, powiedziano mi, że jesteś na sali operacyjnej. Przeraziło mnie to i zdziwiło, ale jeszcze byłem dobrej myśli i kiedy usłyszałem krzyk noworodka pomyślałem, że to ty, że to już nasz Malutki krzyczy. Dopiero, jak wybuchła panika, gdy zobaczyłem, jak do sali, w której cię operują, wtaczają w straszliwym pośpiechu ogromną reanimacyjną szafę, zdałem sobie sprawę, że tragedia wisi w powietrzu... Reanimowali go ponad 20 minut, ale nic nie dało się zrobić.

Do sali wchodzi pielęgniarka. Jest w średnim wieku, ma wygląd osoby bardzo opanowanej i sympatycznej. Wita się z Andrzejem, podchodzi do mnie, poprawia kroplówkę.

- Czy powinienem już wyjść? - Głos mego męża jest dziwnie słaby.

- Ależ skąd, absolutnie. Chyba nawet lepiej, aby pan teraz z żoną został. Chociaż i tak będzie spała. Za chwilę dam jej zastrzyk, po którym zaśnie natychmiast. Jednak mimo wszystko, pan rozumie, byłoby lepiej, gdyby ktoś bliski czuwał przy niej. Pomogę panu jakoś się tu rozgościć.

Nie zrażając się biernością Andrzeja, życzliwa pielęgniarka żywo wkracza do akcji. Wychodzi, by za chwilę wtoczyć do sali duży, wygodny fotel z podnóżkiem, narzucając jeszcze na niego kolorowy, ciepły pled.

- Tak będzie panu wygodniej i może się pan również zdrzemnąć. Ta noc będzie długa. A jeśli by pan zasnął, czy trzeba pana rano obudzić? Zresztą już przed szóstą zaczyna się na oddziale duży ruch. Będę tu często zaglądała.

Czekam na odpowiedź Andrzeja. Chcę wiedzieć, jak długo ze mną zostanie. Wiem dobrze, że to i tak nic nie zmieni i właściwie jest mi zupełnie obojętne, ale nadśluchuję, co odpowie, muszę na czymś zaczepić swą myśl. Niech rozmawia ze mną o sprawach konkretnych, codziennych... że Bogusia trzeba zmienić przed siódmą, gdyż ma jakieś ważne spotkanie... że pierwsze linie metra ruszają pewnie przed piątą i byłoby dobrze, aby Andrzej o tej porze stąd wyszedł... i jaka miła ta pielęgniarka, że pomyślała o fotelu i pledzie... i że bym spróbowała zasnąć, przecież to już ponad godzina, jak dostałam ten zastrzyk...

- Za to ty, ty zasypiasz. Masz do mnie cały czas mówić. Wszystko mi jedno co - mów.

Jego głos cichy i monotony po jakimś czasie przechodzi w szept, potem w niezrozumiałe pomruki, wreszcie urywa się, ostatecznie milknie - mój mąż śpi. Nie budzi go nawet wejście pielęgniarki, która zmienia mi opatrunek, mierzy puls i regulując kroplówkę, głaszcze moją rękę.

- To nierozsądne, już północ, pani powinna spać. Niech się pani nie broni, sen przyniesie ulgę. Ma pani takiego ślicznego synka. Widziałam was przed szpitalem, kiedy szłam na dyżur. I dla niego musi być pani teraz zdrowa, dla niego musi pani żyć.

Patrzę na tę dobrotliwą twarz nieznanym mi kobiety, słucham i nie wiem o czym ona mówi i nie, nie z powodu obcego mi języka. Dziwna rzecz, od chwili, kiedy rozpoczęła się ta straszliwa walka, problem nieznanym mi języka, myślę o biernym odbiorze, przestał jakby istnieć. Rozumiałam niemal wszystko, co się wokół mnie dzieje i mówi. Na rok przed urodzeniem Michałka zaliczyłam przecież dziesięciomiesięczny kurs francuskiego. Ot tak, z sympatii dla tego języka. I może teraz, w tym ogromnym napięciu zmobilizowały się, odezwały jakieś stare ślady w pamięci. Ciekawe, co o tym mówi współczesna psychologia?...

A więc nie rozumiem i nie jest to problem języka. To we mnie jest wszystko drętwe i zamknięte, jestem psychicznie jak sparaliżowana, jakby w mojej świadomości zatrzasnęły się jakieś drzwi.

O czym tu jeszcze myśleć, żeby nie zwariować? A może już zwariowałam? Kiedy ostatnim razem przyszła tu moja biała pani, widząc mnie nadal przytomną, świeciła latarką w źrenice, ugniała zaciśnięte kurczowo szczęki. I nie była zadowolona.

Wiem, że zaciskam szczęki aż do oporu, na amen, bo czuję ból zębów i ostre klucie w uszach, ale na nic się nie zda mnie prosić, abym je rozluźniła, rozwarła, gdyż nie wiem jak to zrobić... i nie chcę.

Andrzej śpi. Już się rozwidnia, niedługo trzeba będzie go budzić. Nie wiem która godzina, zabrali mi przecież zegarek. Zasnąć, spać długo i głęboko, a potem obudzić się z męczącego mnie teraz snu. Jasnogranatowa ciemność zza okna jak gdyby się ze mnie naśmiewa, gdzieś mnie woła.

Wchodzi pielęgniarka. Andrzej podrywa się z fotela, szykuje się do odejścia.

- Zaraz tu przyjdzie lekarka - Głos pielęgniarki jest zafrasowany. - To bardzo niedobrze, że żona nawet na chwilę nie zasnęła tej nocy. Czegoś takiego, jeszcze

nie widziałam. Narkoza, bardzo silny zastrzyk i nic, a powinna się przespać. Tutaj tylko lekarz może jeszcze coś pomóc.

Lekarka bada to samo: źrenice, szczęki i puls. Pyta, czy nic mnie nie boli. Ale ja, ja jestem przecież drętwa, a drętwość to nie ból. Dostanę za chwilę jeszcze jeden zastrzyk, ale muszę psychicznie mu pomóc. Powinam chcieć, aby zadziałał, bo faktem jest, że i farmaceutyczne cuda są uzależnione od dobrej woli pacjenta.

Mądra ta pani doktor i proszę, znów psychologia, ale ostrożnie, uwaga. Z takimi uzasadnionymi, przekonywującymi gadkami to w tej chwili ode mnie wara. Ja muszę, ja chcę tak już zostać - nieobecna, sztywna i wewnątrznie pusta i mam gdzieś te wszystkie zastrzyki, jak również to, w czym mogłyby mi pomóc.

Andrzej wychodzi. Jest mi wszystko jedno. Wydaje mi się, że płacze i tylko jeszcze mnie tym drażni. Zostaję nareszcie sama. Po tym drugim zastrzyku dadzą mi może już spokój.

To chyba jakiś narkotyk. Wiem, że nie śpię, że mam oczy otwarte, podciągnęłam się nawet wyżej na łóżku i jestem teraz w pozycji półleżącej, ale zaczyna się dziać ze mną coś dziwnego, niesamowitego.

... Siedzę na jakiejś zielonej, przeuroczo ukwieconej łące. Grzeje słońce i jest cudownie. Nagle z zarośli wyłania się Mama. Podchodzi do mnie i siada tuż obok. Nie wiem dlaczego jest w białym lekarskim fartuchu i ma jakiś smutek, zaaferowanie w oczach. Przytula moją głowę do kolan i głaszcze mnie po włosach.

- Nie bój się, będzie dobrze. Teraz jestem już z tobą, wiem, jak chce ci się pić. Zaraz ci coś przyniosę, a ty odpoczywaj sobie i nie myśl, i nie martw się niczym.

Zapach trawy i kwiatów i ten ciepły, kochany głos, dotyk matczynej dłoni, wszystko to koi mnie jak balsam. Jest mi dobrze, słodko. Niech to nie zniknie, niech trwa.

- Nie wstawaj Mamo po wodę. Spójrz, zrywa się straszny wiatr... Nie chcę, żebyś odeszła. Oni znowu będą mnie bili. Zostań tu ze mną, zostań. Przy tobie nie grozi mi nic...

Ktoś szarpie mnie za rękę, jakiś obcy głos wdziera się w moją świadomość. Otwieram oczy, nade mną czarna kobieca twarz. O coś mnie pyta, lecz nie rozumiem. W ogóle nie wiem, gdzie jestem. Powtarza swoje pytanie, teraz właściwie krzyczy:

- Oi est votre bwbw?! - gdzie jest moje dziecko?...

- Umarło - odpowiadam - il est mort.

- Quoi?! - czarna zdeformowana zniecierpliwieniem twarz pochyła się jeszcze niżej.

Przecież jej odpowiedziałam. Czyżby głos nie dobywał się z mego gardła? Powtarzam raz jeszcze nie wiem przy jakiej okazji przyswojone przeze mnie i na pewno poprawnie teraz sformułowane po francusku zdanie - il est mort. Ale ona, nie rozróżniam - pielęgniarka czy salowa, jeszcze bardziej się denerwuje. Odrzuca prześcieradło, pokazuje na mój obandażowany brzuch i wrzeszcząc coś o operacji, pyta - oi est le bwbw?

Świadomość tego co się stało, tnie nagle mój mózg jak nożem. Zaczyna mnie trząść, to chyba jakieś drgawki. Zrywam się gwałtownie z łóżka, potracona kroplówka leci z hurkotem na ziemię. Ból przygwożdżonej igłą ręki stopuje mnie na sekundę i w tym momencie zdaję sobie sprawę, że krzyczę. Przerażliwie, dziko, do utraty tchu krzyczę:

- Umarło! Umarło! Umarłooo!!!... Niiiee!!!

Wbiegają jacyś ludzie. Chyba ktoś mnie uderzył. Krępują mnie czyjeś ręce. Rejestruję, że czarna pielęgniarka zostaje wypchnięta z pokoju. Pochylają się nade mną jakieś twarze, obłapują i próbują mnie zniewolić jakieś ręce.

A ja krzyczę... i już nie przestanę. Ja muszę zakrzyczeć tak siebie. Zatracić się. Zapamiętać. Ten krzyk niech zagłuszy mój ból...

* * * * *

Telefon ze szpitala do hotelu:

- Żona jest w stanie szoku, byłoby lepiej, gdyby mógł pan tu przyjechać.

Leżę w innej już sali. Obok łóżka siedzi moja nocna pielęgniarka. Coś zwija, chyba bandaż. Takie same krępują moje ręce. Próbuję podnieść tę wolną od kroplówki, ale stwierdzam, że jest przymocowana chyba do krawędzi łóżka.

W głowie huczący zamęt. Nie bardzo wiem, co się ze mną dzieje, straszliwie boli mnie gardło, jest mi niedobrze i chce mi się pić.

Zmęczenie, śmiertelne zmęczenie w całym ciele. Ta próba podniesienia ręki - to wyczerpało resztę moich fizycznych rezerw. I myśli, myśli też są zmęczone. Przebiegają gdzieś obok, chaotycznie, jak gdyby nie były to myśli moje, jak gdyby dotyczyły kogoś innego. Są niezależne i obce, nie łączy mnie z nimi absolutnie nic.

Nie wiem, jaka jest pora dnia i po co wchodzi do pokoju mój mąż. Nie mam mu przecież nic do powiedzenia. Nie chcę widzieć nikogo, nie chcę o niczym wiedzieć.

Pielęgniarka podrywa się z krzesła, podchodzi do Andrzeja i szepcze coś z nim na boku:

- Dziś rano żona miała dość ostry atak hysterii. Wczoraj po tym wszystkim została pomyłkowo umieszczona nie w tym pokoju co trzeba. Właściwie nie powinna była tam się znaleźć. Po tamtej stronie umieszcza się pacjentki po operacjach, które przebiegły pomyślnie i których dzieci znajdują się na pobliskim oddziale noworodków. Kobiety w takiej sytuacji jak pańska żona umieszczane są zazwyczaj dalej - tu, w tych pokojach. Przekonana o tym pielęgniarka, która przyszła na ranną

zmianę, pewna, że wszystko odbyło się normalnie, pytała żonę o dziecko. I to spowodowało atak. Oszołomienie narkozą, poza tym silne dwa zastrzyki i widocznie nagłe uświadomienie sobie nieszczęścia - i w rezultacie ciężki szok. Teraz jest lepiej. To stan apatii. Tu trzeba czasu, a doraźnie snu, ale zabiżnić tę ranę, załagodzić może już tylko czas... Szkoda mi jej bardzo, to nie powinno się stać.

Moja biała opiekunka wychodzi z pokoju, zostawiając nas samych. Andrzej siada na jej miejscu.

Usiłuje ująć moją rękę - szarpię napięte bandażę.

Mówi coś do mnie - odkręcam głowę, odwracam wzrok.

- Zostaw mnie wreszcie w spokoju i niech mnie wszyscy zostawia. Nie chcę już o niczym wiedzieć! Nie - i co Michałek, też nie. Zasnę, ucieknę stąd, uwolnię się od was i siebie... Tylko niech już nikt mnie nie budzi.

* * * * *

Musiałam spać bardzo długo.

Kiedy się budzę, znów jest ranek i wokół mnie jakiś ruch. Prześcielają moje łóżko, jestem myta, zmieniają mi opatrunki. Moje ręce są wolne, tylko kroplówka nadal pozostająca w przedramieniu nie pozwala energiczniej się ruszyć czy wstać.

Jestem zadowolona, że wokół mnie są ludzie, że mogę obserwować, jak wykonują swoje codzienne zawodowe obowiązki.

Boję się zostać sam na sam ze swymi myślami. Tak bardzo bym chciała móc się przed nimi gdzieś schronić. Przeczuwam, wiem co mi grozi i stąd przeraźliwy strach.

Czuję w sobie ból. Ten ból jest przyczajony gdzieś we mnie, czyhający tylko na moment, gdy będzie mógł opanować mnie bez reszty. On tam jest i czeka, ja wiem.

Za wszelką cenę pragnę się skoncentrować na fizycznych, konkretnych symptomach mojego zdrowia - gardło dalej boli... i ręka - skąd taki siniak... usta mam spieczone, to pewnie gorączka... i rana na brzuchu dokucza, coś mnie tam szarpie i ciągnie.

Dopóki wokół kręcą się ludzie, jestem chyba bezpieczna, nic mi nie grozi. Nie można przecież cierpieć, wariować, szaleć z rozpaczy w biały dzień, kiedy jest się na oczach innych.

A ci ludzie, czy oni wiedzą, co się stało?... Przekręcają mnie z boku na bok, wyprawiają ze mną te najróżniejsze cuda, śmieją się, zagadują, a wszystko to - jak gdyby nigdy nic.

Jak to?! Moje dziecko umarło, umarło tuż obok, pod tym dachem i mną szarpie rozpacz, a oni - jak gdyby nigdy nic?!

Odejdźcie stąd jak najszybciej, zabierzcie ode mnie wasze wstrętne łapy. Nie potrzebuję i nie zniosę już więcej żadnych waszych starań. Ja chcę, muszę zostać sama - płakać i cierpieć w samotności...

* * * * *

Koło południa drzwi otwierają się na oścież i pięć, może sześć osób wchodzi do mego pokoju. Przypuszczam, że to obchód, ale jest to taka jakby delegacja - cały zespół medyczny, który mnie w czwartek operował. Kończą właśnie swój dyżur, przychodzą zobaczyć, jak się czuję i wyjaśnić, co jest do wyjaśnienia.

Jeden z lekarzy podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką i przedstawia się - dr Mańkowski, Miśkowski, czy jakoś tak. W każdym razie nazwisko czysto polskie. Myślałam, że padnę z wrażenia. Z nadzieją wpatruję się w jego usta, modląc się w duchu, aby przemówił do mnie zrozumiałym - moim językiem.

Niestety, potoczyły się zdania wartką francuszczyzną. Polskie nazwisko to tylko pozostałość po przodkach, a jest on szefem prezentującego się zespołu i to właśnie on mnie operował.

- Comment ca va? - bo jakże, przecież nie można bez tego się obyć. Tu chyba i konającego pytają, czy aby dobrze się czuje. Moja twarz wykrzywia się w bolesnym grymasie, nie odpowiadam nic.

Zebrani lekarze przybierają pozycje bardziej wygodne. Przysiadają na łóżku i krzesłach, a jeden nawet na stole. Znosi się na dłuższe posiedzenie. No tak, będą wyjaśniać, po to podobno przyszli.

Do wyjaśniania zabrał się jako pierwszy ten z polskim nazwiskiem. Był wyraźnie przejęty, zdania skandował, wymawiał je głośno i dobitnie. Od czasu do czasu pytał, czy rozumiem. A ja mu - dlaczego? - pourquoi?

A on, że wypadek... że jeden na tysiąc... że nie można było zrobić już nic... łożysko przodujące... krwotok bardzo brutalny... A ja - pourquoi? pourquoi?

... Że chłopczyk był duży i silny... że się zadusił krwią... reanimacja była właściwie bez szans.

... I że to jak cegła, która na głowę spada, jak wypadek uliczny - tego nie mógł przewidzieć nikt.

... I że jest im przykro, doprawdy niezmiernie przykro... że jestem jeszcze młoda i następnym razem na pewno urodzę szczęśliwie. Po uzyskaniu wyników autopsji, być może będzie mógł powiedzieć mi coś więcej.

A ja swoje - pourquoi? i pourquoi?

Wyczerpał już pan doktor swoje argumenty i pragnie się jeszcze tylko upewnić, że mnie we wszystkim przekonał. Ale moje - być może nieadekwatne, lecz uparcie powtarzane pytanie - dlaczego, każe mu zważyć w skuteczność, i tu już nic nie rozumie, medycznie przecież uzasadnionych wywodów.

Przechodzi na niemiecki, klaruje jeszcze raz. I nie ma facet szczęścia, bo chociaż uczyłam się tego języka przez zmarnowane sześć lat, to nie tylko, że nic nie pamiętam, ale bardzo mi się on nie podoba.

To może po rosyjsku? - nie chce dać za wygraną. - Pani jest Polką, a ten język jest przecież u was w modzie.

- Dobra, wal pan proszę po ruski, chociaż zacina się pan. Mnie tam jest wszystko jedno, ja już to wszystko wiem. Niech mi więc pan jeszcze tylko odpowie - dlaczego tak się stało? Pourquoi?

* * * * *

Po południu mam gości. Pierwsza przychodzi Marie-Claude.

Jestem sama, nie mam tłumacza, nie mogę się więc z nią porozumieć. Ale może to i lepiej, bo i czego mogłaby dotyczyć nasza konwersacja.

Przedtem były to rozmowy żartobliwe, przyjemne i bardzo lubiłam słuchać, jak Marie-Claude opisywała łóżeczko, które jest metalowe, składane i z niebieską siatką, jak opowiadała, że jej siostra ma córeczkę, ale te wszystkie ciuszki dla noworodków są w zasadzie uniwersalne i że w tej wyprawce odziedziczymy również liczne wełniane i bawełniane słodkie głupstewka, które ona z myślą o siostrzenicy własnoręcznie zrobiła na drutach. I czy na pewno mi nie przeszkadza, że są to rzeczy używane? - jeszcze kilkakrotnie tak się upewniała kochana Marie-Claude.

A teraz nic mi nie mówi, czy ta wyprawka dotarła już do Paryża. Bo ona jest dyskretna - wie, że nie jest to temat na dziś.

Całuje mnie bez słowa, przytula się krótko i zaczyna rozwijać przyniesioną kolorową paczkę. To książki, polskie książki - dwa tomy wierszy Czesława Miłosza.

Pragnę bardzo, aby moja twarz potrafiła wyrazić ożywienie, była zdolna zobrazować radość, gdyż zależy mi, aby tej dziewczynie sprawić przyjemność, okazać jej w jakiś sposób moją wdzięczność.

To bardzo miło z jej strony, że pomyślała o czymś takim. Musiała przecież zadać sobie trud znalezienia w tym przepastnym Paryżu specjalistycznej polskiej księgarni. Poza tym upominek wybrany z dużym wyczuciem. Wiadomo, książka to najwierniejszy pocieszyciel i przyjaciel.

Dziękuję jej gorąco, przyciskam do siebie te książki, ale wiem, że ich czytanie będę musiała odłożyć na niewiadome POTEM.

* * * * *

Niedługo po wyjściu Marie Claude do pokoju wchodzi Boguś.

Podbiega do mnie, całuje i płacze ze mną, a po prawdzie nade mną, bo pozostaję pusta i bez łez. Ten oszalały ból przycupnął znów gdzieś tam.

Jestem jakaś śnięta, uczuciowo bezwładna, wyprana, nie zdolna chyba do żadnych wzruszeń. Nie bardzo śledzę, co Boguś mówi, o czym opowiada. Milczę, nie jestem pewna swoich słów. Jedno jest pewne - nie interesuje mnie absolutnie nic.

* * * * *

Andrzej, który wchodzi zaraz po Bogusiu, namawia mnie, abym zobaczyła się choć przez chwilę z czekającym przed szpitalem Michałkiem. Rzucam się gwałtownie, protestuję stanowczo:

- O Boże, nie, tylko nie to! Nie wiem kiedy - może pojutrze, może nawet jutro, ale jeszcze na pewno nie dziś.

Nie czuję się jeszcze na siłach, aby spojrzeć w tę kochaną, ufną twarzączkę, aby wytrzymać jego niewinny, pytający wzrok.

I co mu powiem i jak wytłumaczę, przeproszę - przecież straszliwie go zawiodłam... Boję się siebie i swojej reakcji. Na jego widok ta okrutna rozpacz może zaskoczyć mnie znów.

- Ucałuj go ode mnie, powiedz mu, że go Kocham, a najlepiej kup mu coś ładnego... A zresztą, przecież i tak dzieciom wchodzić tu nie wolno. I tym mu uzasadnij, że na razie nie możemy się widzieć.

Mąż stara się mnie uspokoić i perswaduje cierpliwie.

Rozmawiał już z dyżurującą lekarką, która zgodziła się, aby Mały wszedł na górę. Wyjątkowo przymkną na to oko.

Michałek zniósł to wszystko właściwie nie najgorzej. Był bardzo smutny, na pewno zawiedziony i troszkę nawet popłakał, bo przecież tak czekał na tego "francuskiego" braciszka, a tutaj nagle nic. I kiedy padło pytanie, dlaczego i jak się to mogło stać, przerażonemu ojcu z pomocą przyszedł niezawodny Boguś.

Sięgnął po garść zebranych przez nich wspólnie pod szpitalem kasztanów i wybierając jeden z nich, który był tylko pustą skorupką, bez brązowego owocu pod kolczastą powłoką, wyjaśnił, że podobnie było właśnie z mamusią.

Brzuszek rósł i wszyscy byli pewni, że w środku jest dzidziuś, a tu otworzyli i okazało się, że to pomyłka - jak ten kasztan jest pusty i niestety nie ma w nim nic...

Kochany ten Boguś i co za pedagogiczna intuicja. Bo czy można było łagodniej i bezpieczniej wytłumaczyć ufnemu pięcioletniemu dziecku tak przecież brutalne wydarzenie, wydarzenie, w którym ujawnia się śmierć?...

* * * * *

Michałek wchodzi do pokoju, trzymając się kurczowo ręki ojca. Zatrzymuje się zaraz w progu niepewny, wyraźnie wystraszony.

Widocznie to wielkie szpitalne łóżko, dziwny stelaż z kroplówką, a może i ja - pewnie bardzo blada i przygwożdżona do pościeli - to go tak płoszy, konsternuje.

Wołam go pieścotliwie, podchodzi do mnie wolniutko. Unosi się na palce, abym mogła go ucałować. Widzę jednak wyraźnie, że bardzo się stara, aby mnie nie dotknąć. Pytam więc, o co chodzi. I okazuje się, że on tak bardzo się boi, aby nie sprawić mi bólu, aby niechcący gdzieś mnie nie urazić. Wystająca z mojej żyły podłączona do kroplówki igła wydaje mu się monstrualnych rozmiarów i według niego musi sprawiać "strasny, ale to strasny" ból.

Przycupnął więc blisko na krzeselku - spokojny, greczny jak trusia. Wpatruje się we mnie uporczywie i czeka, co mu powiem.

Wbrew moim obawom, rozmowa, która zaczyna się toczyć, jest jak najbardziej swobodna. Zwykła rozmowa o sprawach praktycznych, codziennych. Śmiejemy się nawet kilka razy i co chwilę odcinając się od taty naszymi wspólnymi małymi sekretami, mrugamy do siebie porozumiewawczo.

Dopiero przy pożegnaniu wraca raz jeszcze problem mojego stanu zdrowia. Michałek prosi mnie nieśmiało, abym mu pokazała tę ranę na brzuchu. Bo on jest niespokojny i musi sprawdzić, czy chociaż jest dobrze zaszyta, gdyż przecież z taaaką dziurą, to jak mogłabym żyć?

* * * * *

Następnego dnia rano budzą mnie dwie pielęgniarki. Jedna odłącza kroplówkę, druga ściąga ze mnie prześcieradła.

- No, dosyć leniuchowania! - jej głos jest rażny, energiczny. - Dzisiejszą poranną toaletę zrobi pani już sama. - Wiara w człowieka i entuzjazm. - Allez-y, madame! Śmiało.

Podtrzymują mnie cztery ręce, podnoszą, windują do góry.

- Niech pani mocno postawi nogi, wyprostuje się bardziej i ręce do przodu... Niech pani nie siada, nie cofa się, nie ucieka. Przecież pani powinna tam dojść.

Jeszcze jedna próba i następna:

- Doprawdy, pani musi współdziałać. Trzeba się wysilić, trzeba chcieć... Nie zrobiła pani nawet kroku, a dobrze wiem, że panią na to stać... Zrosty, skurcz mięśni... i kiedyś trzeba wreszcie normalnie zacząć żyć.

I jeszcze raz, i od nowa. Prośby krzyżują się z groźbami - co ze mnie za uparciuch, żeby nie utrudniać, że muszę zmobilizować się, przełamać wewnętrzny opór. Bez tego nie zrobię ani kroku.

A ja siedzę na tym łóżku oklapnięta, bezwładna i bierna. I nic nie robię sobie z ich amatorskim, aczkolwiek belferskich chwytów.

To ja? To o mnie mowa - nie mam ambicji, silnej woli, zbyt słabo demonstruję instynkt życia?

A wiesz ty, ty strofująca mnie teraz wszechwiedząca pani, na co zdobyłam się, co poświęciłam, na co gotowa byłam się narazić - przedtem, zanim?

Czy pani, chrrre madame, podejmując desperacką decyzję, opuściłaby kraj swego dzieciństwa, porzuciła rodziców i braci?

Czy przekreśliłaby pani jednym wyjazdem dorobek kilkunastoletniego małżeńskiego życia?

Czy zdecydowałaby się pani pójść w nieznane, aby walczyć o lepsze jutro dla jednego już odchowanego i drugiego, mającego dopiero się narodzić dziecka?

Byłam jak lwica walcząca o swoje małe - zaborcza jak ona i gotowa dla nich na wszystko.

A że teraz nie jestem w stanie o własnych siłach podnieść się z tego łóżka i jesteśmy zgodne, że to kwestia woli, tak - to wolę, instynkt życia zabito we mnie nie gdzie indziej, lecz tu, właśnie tu.

* * * * *

Po obchodzie, jeszcze przed obiadem ktoś puka do moich drzwi. Trochę dziwne, bo z personelu nie puka przecież nikt. Ale kobieta, której drzwi otwiera obecny akurat Andrzej, jest najwidoczniej pracownicą szpitala - brązowy firmowy fartuch i znany mi już emblemat.

Obrzuca nas niespokojnym wzrokiem, zbliża się do męża i zaczyna coś mówić konfidencyjnym szeptem.

Ona o coś pyta, on nie wie co odpowiedzieć i w bezradnym, wyczekującym geście zwraca się ku mnie, która wiem. I ja natychmiast wiem, o co pyta i jest to dla mnie jak cios.

W jednym momencie, gdy mój mózg wyświetla sens postawionego pytania, każe odpowiedzieć ustom, cała krzyczę - nie!!!

- Czy chcecie zobaczyć wasze dziecko? Jest to w zasadzie zabronione, ale życie jest tylko życiem, tak więc wyjątkowo mogłabym wam to dyskretnie umożliwić.

Niepotrzebne, spóźnione tłumaczenie tego pytania nic już nie może zmienić. Już odpowiedziałam, wyrok zapadł - nie. To był odruch, samoobronny impuls, ale sens jest jednoznaczny, że nie. Kobieta wychodzi, nie dostanie napiwku.

Rzucam się na łóżko. Poduszka dusi mój szloch.

Płaczę, wręcz wyję z nieutulonego żalu i bólu. A przecież jeszcze wtedy nie wiem, że za to jedno bezpowrotne, nieodwracalne "nie" przyjdzie mi płacić długie bolesne lata, że to wspomnienie mojego zachnięcia wobec możliwości spojrzenia na ciało nieurodzonego synka będzie mnie gryzło jak najcięższy wyrzut.

Jak mogłam nie chcieć widzieć swego dziecka? Dlaczego uległam chwilowej egoistycznej słabości?

Tym moim "nie" wydałam wyrok na niego i siebie, jakbym nie nosiła go wcale przez uciążliwych dziewięć miesięcy pod swym sercem, jakbym nie rejestrowała dzień po dniu oznak jego we mnie życia. Jakby nigdy nie istniał ten mój ukochany, ten tak wyczekiwany przeze mnie Maluszek.

To tak mój biedny, mój słodki Mały, jak gdybym się ciebie wyparła...

A to "nie", czy można mnie zrozumieć, to najzwyczajniejszy strach przed cierpieniem, ucieczka przed tragiczną jawą. To ból skonkretyzowania tego, co jest już bezpowrotnie stracone.

Nie chciałam cię widzieć, mój Maleńki - nie mogłam, wierz mi, nie mogłam...

Ostry krzyk noworodka wdziera się w ciszę pokoju. I jest to jak lont podpalający granat. Zwierzęcy skowyt szarpie moje piersi, poduszka dusi mój szloch.

* * * * *

Musiałam się zdrzemnąć. Kiedy otwieram oczy, widzę jakby ogród - piękny, przepaścisty bukiet kwiatów. Jest ogromny, kolorowy, cudny. Madame Legrand i jej syn Marc wynurzają się zza niego z serdecznymi uśmiechami.

Cieszę się, że ich widzę. Pierwszy raz przed wizytą nie czuję żadnego napięcia ni lęku. Tak jak gdybym przed tą kobietą zaledwie raz widzianą, nie musiała niczego ukrywać i nie starała się grać.

Wszystko jest proste - pocałunki, uściski, wesołe poszukiwanie wazonu. Tu jednak niespodziewane komplikacje. I jedna, i druga nagabywane przez Odile pielęgniarki prześcigają się w uprzejmościach, chcą pomóc. Przepis jest jednak jednoznaczny - kwiatów na oddział wносить nie wolno ze względu na mikroby. Bezradnym gestem wskazują informujące o tym wywieszki, dziękują za zrozumienie i już.

Biedna Odile, przykro mi za nią. Bardzo miły gest, piękne kwiaty, a okazuje się, że nie mogę ich przyjąć. Chciałabym móc ją przekonać, że to nie ma znaczenia. Choćby zabrała ten pachnący bukiet z powrotem, i tak będę czuła się obdarowana.

Do pokoju wchodzi pielęgniarka i jest to akurat pani, która spędziła przy mnie całą pooperacyjną noc. Teraz już jej nie podlegam, ale jakoś tak się składa, że często, gdy przychodzi na oddział lub gdy schodzi z dyżuru wstępuje do mnie na słowo. Po prawdzie to tylko ona coś mówi, zapytuje mnie pewnie o zdrowie i tak miło się do mnie uśmiecha. A ja potwierdzam skinieniem głowy lub zaprzeczam wzruszeniem ramion i też się uśmiecham. Dobrze, że chociaż to potrafię.

Pielęgniarka patrzy na leżące na stole kwiaty i mówi, że za chwilę przyniesie jakiś wazon, co tam przepisy, tu nikt nie może zabronić, już ona to bierze na siebie. Zabiera się właśnie do wyjścia, aby bezzwłocznie swe słowa przekuć w czyn.

I tu ją stopuję, przywołuję do siebie, wymownym gestem prosząc Odile, aby kwiaty przyniesione z myślą o mnie ofiarowała w moim imieniu pielęgniarce - właśnie tej, tylko jej.

Odile rozumie w mgnieniu oka. Bukiet jest w rękach mojej białej pani, a ja się tylko uśmiecham. Jej obiekcje są bardzo żarliwe - i znów ten wazon, który natychmiast przyniesie, bo powinnam te jakże piękne kwiaty zatrzymać koniecznie dla siebie.

Muszę ją jakoś przekonać. Nie mam niestety zbyt bogatego repertuaru środków. Podrywam się więc na łóżku, przykładam ręce wymownym gestem do piersi, chcąc jej okazać jak bardzo jestem wdzięczna i że jej z całego serca dziękuję za troskę i serdeczność okazane mi w tę najstraszniejszą w moim życiu noc.

I widać wreszcie ją przekonuję, bo uściskawszy mnie i rzuciwszy kurtuazyjne "merci" w kierunku Odile, wychodzi z pokoju wraz z bukietem.

Odile mówi coś do mnie. Przysiadła na brzegu łóżka i tym swoim spokojnym, łagodnym głosem coś mi opowiada, a może tłumaczy.

Nie rozumiem, co do mnie mówi, ale nie szkodzi. Jest tyle serdeczności w jej oczach, tyle ciepła w jej głosie, że niech mówi, przynosi mi ulgę.

Z jej słów, których sensu mogę się tylko domyślać, emanuje życiowa mądrość, kobiece zrozumienie i wielka dla mnie życzliwość. I chociaż to tylko domysł, tylko moje przeczucie, jestem pewna, że się nie mylę, że taki właśnie jest sens jej słów i jej intencje. Troszkę już ją poznałam, a raczej psychicznie wyczułam - to cała ona. Właśnie taka jest Odile.

I żadna bariera języka nie ma tu nic do rzeczy. To się czuje, to się po prostu wie.

Czuję, że mnie rozumie. Może sama poznała, co to matczyzny ból? Przy niej mogłabym nawet zapłakać, narażając się na współczucie, na litość - tak jak można okazać słabość wobec osoby bardzo bliskiej.

* * * * *

Następnego dnia rano, przed dziesiątą, do pokoju wchodzi mąż razem z panem Legrandem. Obaj w garniturach, z teczkami, chociaż na dworzu podobno upał.

Jean wstąpił tu przed pójściem do biura, gdyż przede wszystkim pragnął mnie zobaczyć, a poza tym - tu zrobił mocno zafrasowaną minę - mamy wspólnie pewną sprawę do omówienia.

Miło ze strony Jeana, że zechciał mnie odwiedzić w szpitalu, chociaż szczerze wątpię, abym w obecnym stanie mogła się na coś w tej rozmowie przydać, cokolwiek do niej wnieść.

Sprawa jest taka - Jean referuje - dziś o godzinie jedenastej macie rendez-vous w prefekturze policji. Andrzej właśnie się tam wybiera.

Ach, to stąd ten garnitur i teczka, pewnie z papierami

- Wiem, jak długo na to rendez-vous czekaliście - kontynuuje Jean, a ja usilnie się staram śledzić jego tok myślenia - i zdaję sobie w pełni sprawę, jak bardzo jest ono dla was ważne, jako że stanowi pierwszy krok do uzyskania statusu uchodźcy. Ale osobiście bym wam te starania o azyl odradzał. Nawet stanowczo odradzał. Po

co komplikować dodatkowo swoje życie, które samo (tu gest w moją stronę) wystarczająco się już skomplikowało. Pomyślcie o swojej przyszłości, o przyszłości Michałka. A w końcu w imię czego odcinać sobie drogę do ojczystego kraju? Wierzcie mi, moi drodzy, radzę wam jak brat, to nie ma żadnego sensu. A że pan musi pracować i jest to w tej chwili najważniejsze, spróbujemy załatwić to inaczej. Potrzebna jest oficjalna zgoda na pracę. Załatwienie tego biorę na siebie. Dziś po południu, o piętnastej jestem umówiony z kimś ważnym, kto już wcześniej obiecał mi pomoc. Jest to osoba, która... a zresztą, co ja wam będę mówił. Być może uda mi się załatwić sprawę jeszcze dziś. Nie ma oczywiście stuprocentowej gwarancji, istnieje pewne ryzyko. Jestem jednak dobrej myśli i sądzę, że powinno się udać. Lepiej poczekać i zrezygnujcie raczej z tej drogi, która nie ułatwi wiele, a za to może pogmatwać wasz i tak już trudny byt.

Tyle rozsądny Jean, nasz życzliwy przyjaciel.

Andrzej kręci się jak w matni. Naprawdę nie wie, jak postąpić, co robić. Jeśli nie zgłosi się dziś na to rendez-vous, tamta droga, droga uzyskania pozwolenia na pracę przez azyl, zostanie zamknięta.

A jeśli Jeanowi się nie powiedzie i nie wyrażą zgody na pracę w tym wszechmocnym, niechętnym zatrudnianiu cudzoziemców ministerstwie?... Chyba, żeby zaryzykować.

Bo gdyby tak, gdyby miał się ten zamysł udać, to nie należy chodzić do prefektury i stwarzać pretekst, by tam niepotrzebnie założono dossier. Ta cała biurokratyczna maszyna ruszy i następnym urzędem będzie dla nas tylko OFPRA - francuskie biuro do spraw uchodźców. Po co nam taka etykieta, lepiej tego uniknąć. Jacy z nas zresztą uchodźcy?...

A praca, Crwdit Parisien? Nie, teraz tym bardziej teraz on nie chce i nie może zrezygnować. Tak, było by idealnie, gdyby Jean mógł coś w tym ministerstwie wskórać, gdyby załatwił dla niego tę zgodę na pracę. Ale on nie jest idealistą i musi liczyć się z tym, że to się może nie udać. A wtedy co?...

Mój mąż zadał to pytanie sobie, a teraz patrzy wyczekująco na mnie.

- Wtedy wrócimy do Polski. Mam dosyć, rozumiesz, dosyć!

Ta idea przyszła niespodziewanie, głośno wypowiedziana myśl uderzyła panującą w pokoju ciszę jak grzmot. Po raz pierwszy od wyjazdu z Polski, myśląc o przyszłości, zobaczyłam tę przyszłość znów u siebie, w swoim kraju.

Nieco skonsternowany Jean reaguje na moje słowa natychmiast, niemal automatycznie:

- Zanim zdecydujecie się na powrót, trzeba zrobić wszystko co możliwe, abyście jednak tutaj mogli urządzić sobie życie. Po to przecież przyjechaliście... Pani po tych przejściach jest rozczarowana, zmęczona i w pełni zrozumiała jest pani niechęć do podejmowania ryzyka, do walki... Zrobię wszystko, co tylko będę mógł, żeby wam pomóc - głos Jeana jest cierpliwy, perswadujący.

Zdaje się, że teraz obaj czekają, co powiem, co zdecyduję. Zastanawiam się chwilę i mówię:

- Więc niech tak będzie, niech tak zostanie. Daj sobie spokój z tym rendez-vous. Zresztą wszystko jedno. Wkrótce i tak się przekonamy, co jeszcze trzyma dla nas w zanadru los.

Dyskusja zamknięta, nakreślony zarys naszych najbliższych życiowych planów. Tymczasem każdy musi robić swoje - Jean idzie do biura, Andrzej ma kontynuować tłumaczenie, ja mam się kurować i dochodzić do siebie.

Już wychodząc, mąż oznajmia mi, że od wczoraj Michałek jest u państwa Legrand. Wracając ode mnie ze szpitala, Odile wstąpiła do hotelu i namówiła moich chłopców, aby pojechali z nią do ich domu. Nocowali tam obaj, a teraz Mały został. Jest zachwycony. Nareszcie ma coś więcej, niż rozgrzane mury miasta.

Odile zaproponowała, o ile oczywiście nie mam nic przeciwko temu, aby Michałek pobył u nich dłużej. Pozwoli to Andrzejowi na swobodniejsze odwiedzanie mnie, da mu też możliwość pracy nad tłumaczeniem, a przede wszystkim uwolni dziecko od wegetowania w hotelu lub męczącego wyczekiwania na tatę pod szpitalem. Zresztą, Andrzej, jak zapewniła, po skończonych zajęciach w Paryżu

może przyjeżdżać razem z Jeanem i również nocować u nich, przez co i Michałek będzie się czuł pewniej, swobodniej.

I co, nie miałam racji? Proszę, jaka jest ta Odile.

* * * * *

Zaledwie za moimi gośćmi zdążyły zamknąć się drzwi, gdy do pokoju znów ktoś wchodzi.

Kobieta przedstawia się, wyjaśnia obszernie z jakiego jest oddziału czy urzędu. Wyjaśnienie to nie mówi mi jednak absolutnie nic. Widząc moją kompletną językową ignorancję, zastanawia się, czy w ogóle warto wprowadzać mnie w sprawę, z którą z urzędu tu przyszła. Nie mając wyboru, wyjaśnia:

Chce zobaczyć się z mężem, bo z nim wcześniej już rozmawiała - zgodził się, a raczej był zainteresowany. Teraz chodzi tylko o dopełnienie formalności: podpis, wypełnienie papierka. Domyśla się, że oczywiście jestem au courant.

Kremacja - sprawa jest dosyć pilna, nie można z tym czekać bez końca. Więc tylko ten papierek, nasza zgoda musi być jak najbardziej formalna.

Zostawia swój numer telefonu, numer pokoju, w którym można ją zastać i prosi męża o bezzwłoczne skontaktowanie się z nią. Chyba, żebyśmy zmienili decyzję i pragnęli odebrać ciało. Ale w takim przypadku jej już to nie dotyczy, ona się tym nie zajmuje...

Ona zajmuje się swoim. Załatwiła to swoje i wyszła, a we mnie znów budzi się ten rozpaczliwy krzyk.

- To za dużo!... Nie wytrzymam tego więcej... i za co?!... Dlaczego mnie tak szarpia okrutnymi pytaniami, które uderzają prosto w serce, prowokują bezsilną rozpacz, zmuszają do wyboru równie trudnego jak śmierć.

Jestem au courant, o tak. I wiem, że mamy dwie możliwości. Albo weźmiemy Małego i urządzimy mu normalny pogrzeb, albo szpital załatwi to we własnym zakresie - kremacja - spalenie zwłok, mój Boże.

I po co zadrećzać mnie takim pytaniem. Przecież muszę odpowiedzieć - tak. Bez papierów, bez pieniędzy, przy takim zaskoczeniu, gdzie moglibyśmy dla niego znaleźć, zasypać i ukwiecić grób?... Łzy gorącym strumieniem płyną po mojej twarzy.

Nie pytajcie mnie już o nic. Ja i tak za udzielone wam odpowiedzi zapłacę bardzo ciężko.

Raz dałam odpowiedź "nie", nie chcąc oglądać ciała mego synka... teraz muszę powiedzieć "tak", aby zniknął w pustce na zawsze i bezpowrotnie.

I to się dla mnie już nigdy nie skończy. Wiem, że te dwie fatalne, okrutne odpowiedzi pójdą za mną na zawsze w moje przyszłe okaleczone życie...

* * * * *

Mijają dni. Chociaż monotonne, bezsensowne i głupie, przepływają jeden za drugim.

Już chodzę, przestałam się dłużej opierać. Codzienne uporczywe wysiłki pielęgniarek, aby wreszcie postawić mnie na nogi, męczyły mnie okrutnie, obmierzły ze szczętem. I zaczęła się budzić również motywacja, aby wstać z łóżka, opuścić cztery ściany. Wyjść z pokoju stało się teraz ważne - papierosy ciągnęły bardzo. Musiałam zapalić.

W tak zwanej palarni jest kabina telefoniczna. Mogę z niej teraz dzwonić do państwa Legrandów i porozmawiać z Michałkiem. Jakakolwiek rozmowa z nimi, szczególnie przez telefon, zdecydowanie przerasta moje możliwości.

Konwersacje z Michałkiem niestety też nie są bardzo długie, gdyż ciągle gdzieś się spieszy, ktoś na niego czeka, albo właśnie robi coś bardzo ważnego. Cmoka więc pospiesznie w słuchawkę, że niby mnie całuje... i do następnej rozmowy.

Wnoszę z tego i wiem od Andrzeja, że jest mu tam bardzo dobrze. Podobno się zaróżowił, poweselał, je z dużym apetytem. Wszyscy go wychwalają, podziwiają, rozpieszczają. Jednego dnia, gdy Andrzej przyjechał do państwa Legrandów wieczorem, zastał Odile stojącą nieruchomo i cierpliwie pod drabinkową konstrukcją dla dzieci, po której wspinał się właśnie nasz synek. Z późniejszej rozmowy wyniknęło, że uprawiał tę wspinaczkę, zresztą z ogromną uciechą, godzinę, a może dłużej. A ona tak przy nim sterczała, ta Odile, i jeszcze się wydawała bardzo zadowolona.

Innym razem Andrzej zastał Michałka, gdy asystował Jeanowi. Jean porządkował, segregował i wyświetlał slajdy, ale najważniejszy w tym wszystkim był Michałek, główny jego pomocnik. To nic, że najprawdopodobniej przeszkadzał, że robił bałagan. Jeden i drugi bawili się wyśmianicie.

Co za ludzie i dlaczego to robią? Bardzo chciałabym znaleźć na to pytanie odpowiedź. Jak ja się im odwdzięczę, czym zrewanżuję? Jeszcze jeden nowy problem.

Poza potrzebą palenia i chęcią zadzwonienia do Michałka, była jeszcze jedna racja, która kazała mi się podnieść i uwolnić od łóżka. To noce - moje koszmarne, bezsenne noce.

Trzeba przez to przejść, aby zrozumieć, co to za udręka. Kiedy jest się przykutym do łóżka, kiedy na oszalałą głowę wałą się wciąż te same zamknięte cztery ściany - od tego można zwariować, naprawdę można się wściec.

Teraz pochylona, skulona drepcę w nocy po szpitalnych korytarzach, docierając w najdalsze zakamarki. Wyglądam jak stara babcia, mimo ściągniętych szwów rana ciągnie do dołu i w asekuracyjnym odruchu każe zginać mi się w pałąk.

Zatrzymuję się często w palarni. Palę coraz więcej, bardzo dużo. Tyle, że niewiele mi to pomaga, a już na pewno nie przynosi upragnionego snu.

Kiedy pierwszej czy drugiej nocy w bezradnej, bezsennej męce zapukałam do oddziałowej dyżurki, pokazując na migi, że chciałabym dostać coś na sen, dyżurująca pielęgniarka zbyła mnie tłumacząc, że środki nasenne są w mojej kuracji przewidziane. Ale kiedy po kilku godzinach, była już chyba czwarta, zobaczyła mnie nadal drepczącą i zapalającą kolejnego papierosa, sama do mnie podeszła z jakąś pastylką i butelką syropu. Pewnie miało to być na sen. Spiesznie wróciłam do pokoju, aby jej nie sprawić zawodu. Nie zasnęłam jednak do rana.

I tak już było co dzień, a raczej każdej nocy. Bo w dzień było łatwiej i często zdarzało mi się niespodziewanie zdrzemnąć na krótko. Dodatkowa pastylka i syrop weszły jednak na stałe do mojego farmakologicznego menu.

I to była dobra strona podniesienia się z łóżka - ucieczka z zamkniętego pokoju, oszukiwanie "spacerami" beczynnej bezsenności. Tyle tylko, że zamknięta w pokoju, przykuta do łóżka byłam jednocześnie odcięta od reszty szpitala, a przez to bardziej bezpieczna.

Nie widziałam rozbawionych pielęgniarek czy dowcipkujących salowych, a muszę przyznać, że taki widok zaczął niesamowicie mnie drażnić. Beztroska i zadowolenie innych działały mi na nerwy. Sprawiały, że czułam się jeszcze bardziej samotna i nieszczęśliwa.

Ale to tylko głupstwo, nic nieznacząca błałostka. Co innego bolało bardziej, wciskało się w serce jak grot... Małe, oszklone wózeczki, a w nich - domyślałam się tylko, gdyż natychmiast na ich widok odwracałam głowę - drzemiące słodko noworodki... Obraz matek przygotowujących się do karmienia... Żalony, skomliwy płacz dziecka w oddali... Szczęk chirurgicznych instrumentów... Uśmiechnięta kobieta wywożona na wózku z sali porodowej - te właśnie migawki tak typowe na oddziale położniczym raniły mnie dogłębnie, budziły we mnie za każdym razem niepowstrzymany, bolesny spazm.

Wygląda więc na to, że ni jedno, ni drugie nie idzie mi na zdrowie. Coraz bardziej pragnę stąd wyjść. Stało się, co miało się stać i wszystko jest skończone, przesądzone. Nie rozumiem, po co jeszcze mnie tu trzymają. Może chcą się w ten sposób zrehabilitować lub nie mogą mnie po tym wszystkim tak po prostu wyrzucić, bo głupio.

Za pośrednictwem Andrzeja targuję się z lekarzami o wypisanie mnie ze szpitala. Powołują się na jakieś nie wiadomo komu potrzebne badania, uśmiechają się mile zapewniając, że to kwestia zaledwie kilku dni.

Lekarze są wobec mnie nad wyraz mili.

Ten pseudo-Polak przyszedł kiedyś do mnie. Mówił coś zdaje się o odwadze, o potrzebie silnej woli, o wierze w lepsze jutro i takie tam dyrdymały. Gadał z pół godziny. Sensowna jedynie była informacja, że zostaniemy poproszeni na powypadkową komisję lekarską, ale dopiero po uzyskaniu wyników autopsji, już z domu. Zwracał się do mnie tylko i wyłącznie po francusku, z innych języków zrezygnował. Skreślił mnie widać, jako lingwistycznego partnera. Tym lepiej, niech mówi po swojemu, aby tylko zdołał wytłumaczyć, skąd wzięło się to nieszczęście. A może być pewien, że jeszcze do tej sprawy wrócimy.

Innym razem, gdy siedziałam w palarni, podeszła do mnie młoda lekarka, która mnie przyjmowała i od której się to wszystko zaczęło. Mówiła, że ładnie wyglądam i najważniejsze, że z moim zdrowiem jest już wszystko O.K. Zapytała, jak miewa się dziecko. Musiałam zmienić się wyraźnie na twarzy, najpewniej był to wcale nie

wystudiowany, choć histeryczny wyraz, bo w panicznym popłochu sprecyzowała natychmiast, że chodzi o tego ślicznego chłopczyka, co ma takie niebieskie oczy i kręcone włoski. Widziała go tu kilkakrotnie jak do mnie przychodził.

Na tym rozmowa utknęła, lekarka była speszona, najchętniej wycofałaby się pewnie z nieostrożnego pytania. Musiała wyczytać z mej twarzy, że dla mnie słowo dziecko, po francusku - "un enfant", kojarzy się jeszcze tylko z tym, które na jej oczach, a czy również nie za jej przyczyną straciłam.

I takie to są te szpitalne kontakty towarzyskie. Jeden wielki smutek. Natomiast weselsze już było ustalanie mojego całotygodniowego menu.

Przysłali do mnie faceta z kuchni, w białym fartuchu, w typowym kitlu. Trzepnął przede mną jak talią kart jakimiś papierami i mówi, że trzeba wybierać. Druczki jak druczki, trochę jak krzyżówka, tyle że nie wiem, co poziomo, ani co pionowo. A on mi oznajmia, że muszę zdecydować - ryba, kurczak czy pieczeń. Są też do wyboru trzy przystawki, inne na każdy dzień. Jakie sery i preferencje, jeśli chodzi o deser. Bo ze śniadaniem nie ma problemu, właściwie nie ma wyboru - może być kawa, mleko, herbata, kilka rodzajów pieczywa, no a do tego oczywiście masło, miód albo dżem... Uf, a więc wybór prawie żaden.

I on z tym wszystkim do mnie. Wyciągnął już długopis, gotowy zakreślać co trzeba. A ja mu na to, że jest mi obojętne. Przypadkowo znałam ten zwrot po francusku, walę więc prosto z mostu - ca m'est wgal.

Zbaraniał chłop, zgłupiał, poplątał swoje kartki, a mnie chciało się śmiać. Nie daje za wygraną, atakuje ponownie. I znów: wołowina czy królik, wyciąga wszystkie swoje kulinarne atuty, próbując mnie sondować dzień po dniu.

A ja mu swoje, że nic nie rozumiem, więc niech krzyżyki postawi po prostu za mnie. I tu sprawa pękła. Nie było więcej złudzeń, co do naszej jednomyślności względem smakowych gustów i wymogów. Raczej źle żeśmy się zeszli.

On - facet, który lubił pewnie dobrze pojeść, do tego urzędowo przysłany ze szpitalnej kuchni, a ja - dziewczyna nie rozumiejąca niemal słowa z prezentowanego

przez niego menu. I nie głodna. Na pewno nie mająca zupełnie ochoty na nic z tego, co można było wyczarować krzyżkami.

I ten prawdziwy Francuz, kochający żarcie, znający się na potrawach i ceniący sobie możliwość ich wyboru, nie mógł, nie był po prostu w stanie zrozumieć, że komukolwiek może to być obojętne, że mnie jest jednak faktycznie wszystko jedno, najzupełniej - wgal.

* * * * *

Andrzej wpadł zaraz po obiedzie i tylko na moment. Miał coś do załatwienia w szpitalnym biurze. Przyjedzie do mnie jeszcze raz wieczorem z Adamem. Doczekałam się. Nareszcie dziś przylatuje mój brat.

Ktoś z rodziny po raz pierwszy po tym wszystkim, w sytuacji nabrzmiałej żywym bólem. Jak przyjmie to on i jakie uczucia wywoła we mnie jego przyjazd, jego obecność? Czuję niepokój, jestem spięta. Jakoś ostatnio nie bardzo mogę być pewna siebie, pewna swoich reakcji, zachowań.

Kiedy nazajutrz po operacji Andrzej zadzwonił do Warszawy, jako pierwszy wiadomość odebrał właśnie Adam. Podobno bardzo rozpaczał, a potem się upił. A teraz nie wiem, z czym przyjeżdża. Jaka jest jego i rodziców reakcja?

Andrzej pojechał na lotnisko, ja czekam niecierpliwie. Minęła kolacja. Wychodzę i palę. Wracam do pokoju, za chwilę wychodzę znów. Nie mogę znaleźć sobie miejsca, a ten cholerny czas chyba na złość stanął w miejscu i ani drgnie.

I nagle słyszę, gdzieś na dole ten chropowaty, swojski język, dla mnie tak pełen ekspresji - to moi, są już nareszcie!

Rzucamy się sobie na szyję. Braterskie powitanie. Jemu głos się podejrzenie załamuje, a we mnie ze wzruszenia wszystko drży. Chaotyczne pytania i okrzyki mają odwrócić uwagę od ostrożnych, kontrolnych spojrzeń.

Walizki, podręczne bagaże, wszystko rzucone bezładnie w pustej palarni. Ale personel czuwa, pewnie to nasze słowiańskie powitanie dało się zauważyć. Do palarni zagląda lekarz - poliglota. Chyba jest zawsze tam, gdzie powinien być:

- Ktoś do pani, z Polski? Rodzina, nawet brat? To bardzo szczęśliwie dla pani, lepiej nie mogło się stać. W tej sytuacji obecność kogoś bliskiego na pewno dobrze pani zrobi...

Tylko patrzę na pana doktora, widząc tuż za nim pobladłą twarz dopiero co powitanego brata i pytam się w duchu, chociaż z góry znam już odpowiedź: co biedny Adaś, w ogóle ktokolwiek, może mi w czymś ulżyć, może w czymkolwiek pomóc?... Tu nikt, nawet tego pragnąc, nie może dla mnie nic zrobić. Wydźwignąć się z tego mogę, muszę jedynie sama.

Padają pierwsze pytania: jak w domu, co u nas, jak przeżyli to wszystko rodzice? Adam opowiada, że przerażenie, rozpacz i bezsilność, bo przecież to taka odległość. Przywiózł listy, kilka najnowszych zdjęć, no i ucałowania, do diabła - od tego powinien przecież zacząć. Opowie też, z jakimi kłopotami likwidował nasze mieszkanie...

Bo to właśnie Adaś po naszym wyjeździe został obarczony zaszczytną misją spieniężenia lub unicestwienia całej tej naszej warszawskiej "stedy". Rozdawał więc lub sprzedawał drobny domowy sprzęt i meble, woził workami ciuchy i książki na bazar, a co nie poszło, wynosił do śmietnika. Trudna robota, niewdzięczne

zadanie, ale spisał się mój braciszek na medal - puste mieszkanie, bez jednego papierka przejął z powrotem właściciel. A teraz zdaje relację...

A ja słucham, jak Adaś opowiada i pochłaniam, można powiedzieć, pożeram każde jego słowo. Te słowa są dla mnie jak źródło. Chcę wiedzieć o wszystkim, ważny jest każdy szczegół. Przeżywam na nowo przygotowania do wyjazdu, wracam pamięcią do warszawskiego życia.

Kiedy tak słucham pochłonięta bez reszty, ogarnia mnie jakieś nowe, budzące się ot, tak nagle uczucie. I ono wzbiera, nasila się i już wiem - to tęsknota, która coraz bardziej mną owłada, zniewala. Jako emocja jest to na pewno trochę bolesne i cierpkie, ale jednocześnie jest w tym też jakaś słodycz, tkliwość.

Pierwsze uczucie, jakie doszło do głosu po wyłącznej do tej pory w moim sercu rozpacz, uczucie, które jak gdyby wytrąciło z marazmu moją obolałą duszę, to tęsknota, ogromna tęsknota. A przecież jeszcze wtedy nie wiem, co to nostalgia, co to płacz na widok nisko nad wodą pochylonej wierzby czy czerwonych polnych maków. Jednak zaczęło się to właśnie tu.

Wtedy po raz pierwszy pozazdrościłam Adamowi, że jeszcze przed kilkoma godzinami był TAM - w mojej ukochanej Warszawie, w kraju. I zapragnęłam z powrotem znaleźć się w Polsce, przekreślić to wszystko, co od naszego wyjazdu zaistniało. Kilka miesięcy zaledwie, a dla mnie jak długie lata.

Jednak tak musi zostać. Czasu się przecież nie cofnie, raz podjętych i wprowadzonych w życie decyzji nie wymaże i nie odwróci tego, co stało się niestety faktem.

* * * * *

Dzisiaj nareszcie wychodzę ze szpitala.

Solidni, skrupulatni, rzetelni jak cholera lekarze opóźniali swoją medyczną akceptację, czekając rzekomo na wyniki badań. Jakby to było potrzebne, jakby to mogło jeszcze cokolwiek zmienić - nonsens, pretekst i tak zwane mydlenie oczu.

Ostatecznie O.K. - Francuzi lubią styl amerykański. Tym lepiej, już mnie tu nie ma. Czternaście dni to trochę dużo, jak na pobyt w szpitalu. A przy tym dni tak dramatycznych.

I jest wszystko ca va i jest wszystko O.K. Pakuję więc swoje drobiazgi. Na dobrą sprawę już od dwóch godzin jestem gotowa i marzę tylko o tym, aby nareszcie stąd wyjść.

Tylko że moich jeszcze nie ma. Do diabła, co oni robią, na co czekają? Przecież mieli z samego rana tu być. Pewnie wczoraj popili, wiadomo. Dwa stęsknione siebie szwagry, psiakrew! A tak ich przecież prosiłam, że nawet na powitanie, nawet na pierwszy w Paryżu wieczór, błagam: wódki - nie! Wyglądałoby to trochę na stypę, a tego nie chciałam za nic.

Narasta we mnie gorycz. Zmuszać mnie do czekania, tak mnie lekceważyć, kochany mężulek, nie ma co.

Siedzę w palarni. Palę papierosa za papierosem. Nie nadążam osuszać głupio płynących łez. Kręcące się obok baby, wścibskie prukwy gapią się na mnie, pokazują palcami. Zwęszyły sensację, cieszą się moim widokiem. Jestem wściekła, rozdrażniona do ostatnich granic.

Widzę, że coś nie w porządku z moimi nerwami. Tracę nad nimi kontrolę, nie potrafię ich trzymać na wodzy. Byle co mnie irytuje, byle powód może wywołać napad płaczu lub sprowokować histeryczny wybuch. Jestem jak wyrzucona na

piasek meduza, którą każde najdrobniejsze ziarenko niesamowicie drażni i wżerając się w to galaretowate, wrażliwe ciało, powoduje bolesny kurczliwy spazm.

A oni, że ca va. Niech ich diabli, jeśli to jest w porządku! Racja, że powinnam chociaż próbować trochę nad sobą panować. Starać się przynajmniej kontrolować, hamować emocje, nie ulegać tak łatwo nastrojom. I może kiedyś spróbuję, być może nawet mi się to uda, ale dzisiaj jest to jeszcze za trudne.

Wreszcie przychodzą. Jest prawie jedenasta. Wychodzi na to, że Michałek opóźnił. Nie wierzę nawet w jedno słowo. Robię obrażoną minę, nie odzywam się, bierny opór, zimny bojkot, cichaczem przelękam łyzy.

- A właściwie po co ten pośpiech? - Stoicki spokój męża, jak zwykle przychodzi w samą porę. - Nawet u ciebie nikt jeszcze dziś nie był, a przecież przed wyjściem powinni cię zbadać, wystawić receptę lub dać do domu lekarstwa, które powinnaś dalej zażywać. Nie wspomina o formalnościach, bez dopełnienia których nie będziesz mogła wyjść.

Tyle przewidujący małżonek. Przyznaję niechętnie w duchu, że jednak ma sporo racji. Dobra, jeśli tak, to niech idzie przywołać lekarza i przekona go, że czekać nie możemy, bo muszę wyjść natychmiast, zaraz.

Andrzej odnalazł lekarza i wyjaśnił mu w czym rzecz. Tamten potakiwał, pewnie na zasadzie - znamy te babskie humory i obiecał się zjawić za maleńkie pięć minut. Dobra nasza.

Czekamy godzinę, teraz to już półtorej... i nic, a w oddali szcękają talerze. Kiedy zatrzymano się z obiadem przed moim pokojem, odmawiam opryskliwym "merci". Nie będę jadła, możecie się wypchać. Obrzydło mi doszczętnie to wasze eleganckie żarcie. Ciekawe, ile za nie policzycie? Na pewno wystawicie za to wszystko niezły rachunek.

A lekarza nie ma i pies go trącał. Nie wytrzymuję nerwowo i sama idę poszukać, zdecydowana za wszelką cenę stąd wyjść. I widzę go w dyżurce. Trzeba mu oddać sprawiedliwość: nie poleciał do michy, chociaż prawie pierwsza i wybił już dawno ten tak ważny dla Francuzów - "f table", "do stołu" dzwon.

A on sobie siedzi wygodnie rozparty w fotelu, noga na nogę, w ręku słuchawka. Trochę słyszę, bardziej się domyślam, że właśnie się z kimś umawia na dzisiejszy, sobotni wieczór.

A pal licha, bracie, ten twój zasłużony weekend! Zapomniałeś o mnie, to jasne. Nie wyjdiesz stąd jednak przede mną. Przedtem musisz mnie stąd wyprawić. Nie ustąpię.

Demonstruję zagadanemu lekarzowi spoza szyby moją obecność. Jestem bliska tego, aby w nią mocno załomotać. Kiedy na mnie spogląda, a jakże, z uśmiechem, potrząsam papierami, które musi podpisać, abym wreszcie mogła stąd wyjść. Bo bez wyników badań, recept czy lekarstw doskonale się obejdu, bez łaski. Niech się już więcej nie wysilają tutejsi lekarze. Mogą się wypchać.

Wychodzę stąd - wyleczona i zdrowa. Oni dali mi już wszystko, co mogli, co zachodnioeuropejska placówka medyczna może pacjentowi dać. Jest jedno "ale". Oskarżenie, wręcz zarzut.

Przyszłam tu urodzić - po kontrolach, badaniach i o czasie, w dziewiątym miesiącu ciąży, a wychodzę stąd sama - bez dziecka...

Do hotelu wracamy metrem.

Jest gorąco, duszno. Łażenie długimi pasażami męczy, wspinanie się po schodach sprawia ból. Ocierający się i potracający mnie ludzie drażnią, doprowadzają do pasji. Mam chęć krzyczeć, opędzać się od nich ślepym wymachiwaniem rąk. A jak na złość schody, schodeczki, co i rusz przejścia i tunele bez końca. Wokół mnie ogłupiałe mrowisko.

W wagonie ścisk i smród. Tak, jeszcze i to. Przyciskający się do mnie zapoceni ludzie najróżniejszych ras i kolorów przyprawiają mnie o fizyczny wstręt, o mdłości. Jestem podminowana, za chwilę eksploduję:

- A idź do cholery z tym twoim śmierdzącym metrem! To nie lepiej było jechać autobusem? Przecież tu można się udusić, zdechnąć... To labirynt dla szczurów, to piekło, tu się można wściec!

Andrzej nawet się nie odzywa. Przy pierwszej jednak sposobności tak manewruje, aby jeszcze bardziej odgradzić się ode mnie ochronną ścianą współpasażerów.

O, jaki sprytny, patrzcie... ale to świństwo, bo powinien stać tu murem przy mnie, chronić mnie i oddzielać od tej wstrętnej ciżby. Już mu to popamiętam, jeszcze pożałuje...

Poprzez dzielące nas głowy wrzeszczę w jego kierunku, gdzie wczoraj zaprowadził Adama, co mu zdążył pokazać. Jest w tym pytaniu zaczepka, a w moim głosie groźba, bo niechby tylko spróbował zwiedzać coś z Adamem beze mnie.

Od samego początku odkrywając Paryż cieszyłam się na myśl, że za kilka tygodni będę pokazywała go bratu. Układałam w głowie plan zwiedzania z wyszczególnieniem tych wszystkich miejsc, które wywarły na mnie największe wrażenie i tam chciałam teraz zaprowadzić Adama ciekawa jego reakcji, jego przeżyć.

Na pierwszy ogień miała iść oczywiście Dzielnica Łacińska, potem Sacrw Coeur, Centre Pompidou, La Dwfense, ulica Saint Denis. I było ważne, abym wszędzie tam poszła razem z nim. To się nam należało - tyle projektów, planów takich wspólnych wypraw po wymarzonej Paryżu pamiętają nasze przegadane warszawskie noce.

Szczęśliwie nigdzie sami nie byli. Andrzej ma czyste sumienie, zaprzecza uspokajająco. Wczoraj wypili po piwku, pogadali o wszystkim i o niczym, wcześniej położyli się spać. Tak więc otwarcie przed Adasiem wrót cudownego miasta, zgodnie z naszą cichą umową, pozostawili mnie.

Daję za wygraną, rezygnuję z dalszych zjadliwych uwag. Nie bardzo mam do czego jeszcze się przyczepić. Ale czuję się fatalnie. Jestem rozgoryczona, zła. Nawet Michałek przymilający się do mnie, nie jest w stanie mnie rozbroić, rozchmurzyć. Mam tylko nadzieję, że powrót do domu przyniesie mi ulgę.

Pewnie, że to nie dom, to hotel. Mimo wszystko to tego domu namiastka, jego symbol. Czułam się w nim tak dobrze przez te kilka tygodni i będąc w szpitalu, bardzo chciałam tam wrócić.

Teraz rozpaczliwie łapię się tej nadziei. Tak, będąc już w hotelu, na pewno poczuję się lepiej. Usiłuję wyobrazić sobie moje przyszłe dni, codzienne obowiązki, zajęcia. Widzę siebie idącą po zakupy, to zawsze sprawiało mi przyjemność, albo pichcącą coś w kuchni. A może by się wziąć za robienie na drutach?... Magnetofon, kilka taśm z polskimi nagraniami, parę książek - tak, to jest mój dom.

Jak wiadomo, nadzieja dodaje skrzydeł - zmuszam mięśnie twarzy do uśmiechu, siłą woli każę oczom stracić posępny swój wyraz, zagadując chłopców, wysilam się na koleżeński ton, a w każdym razie przestaję atakować.

To już była ostatnia przesiadka, przed nami jeszcze tylko dwie stacje. Czuję wewnętrzny niepokój. Niepokój wędrowca, który po długiej, morderczej wędrówce ma nadzieję ujrzeć wreszcie swój dom. Dom, który da mu wypoczynek, schronienie, nasyci jego pragnienie i głód.

Wchodzimy. Przy bramie rozmawia kilka osób. To jacyś nowi, wymijamy ich bez słowa.

W hallu kierownik odrywa się od grupki ludzi, podchodzi do nas. Wita się uściskiem ręki, cieszy się, że jestem z powrotem, że jestem zdrowa. Mruczę coś pod nosem, oddalam się w pośpiechu. Andrzej i Adam zostają z nim, omawiając jakieś materacowe czy pościelowe problemy.

Ach, więc tak. O tym nie pomyślałam, tego nie wzięłam pod uwagę - ludzie, mieszkańcy hotelu, szczególnie ci zasiedziali, którzy znali mnie przedtem - tak dawno, choć zaledwie dwa tygodnie temu... Boję się tych kontaktów, wiem, że mogą być bolesne, bardzo przykre.

Czekam, aż Andrzej otworzy drzwi "mojego domu". Wchodzę. Rozkładam rzeczy, rozglądam się dookoła. I wiem, natychmiast czuję, że to fałszywy adres i płonne były moje nadzieje - tu nie znajdę dla siebie nic. Ani schronienia, ni wypoczynku, ni ulgi. To tak, jakby umęczony wędrowiec na miejscu domu zastał ograbioną ruinę lub spopieliałe zgliszczca. A zamiast strawy - zapach spalenizny.

Mój dom oparł się grabieży, szczęśliwie ominęły go też płomienie - pokoik jest jak zwykle czyściutki, wysprzątnany i nawet na stole bukiet świeżych kolorowych kwiatów, ale... ale coś z kataklizmu, coś z życiowej klęski zawisło w tych czterech ścianach. Skąd to się bierze? - chwila rozpaczliwej refleksji...

Już wiem - to pogorzelsko jest we mnie, to ja je tu wnoszę.

* * * * *

Michałek wyszedł do kolegi. To ciągle ten sam chłopiec - Marek mieszkający piętro wyżej. Jego rodzice to nieźle ustawieni tu ludzie. Ojciec pracuje, znakomicie zarabia, jeżdżą nowym białym polonezem. Matka, nie wiem, chyba w moim wieku. Zawsze pachnąca i elegancka.

Widywałam ich w kuchni przed pójściem do szpitala. To ludzie wyjątkowo dyskretni, co znaczy, izolujący się, zamknięci. Poza ogólnym kurtuazyjnym pozdrowieniem, nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Będąc w kuchni, oni i do siebie ledwie się odzywali, bacząc widocznie na wścibskie uszy współrodaków i węsząc ich

nieczyste intencje. A teraz słyszę, że Michałek u nich przesiaduje. Nie bardzo wiem, co o tym sądzić, ale zostawiam ten problem na jutro.

Wyciągamy się w fotelach, aby odzignąć. Zbieramy siły na podbój miasta; atak na miasto Paryż. Chłopcy pokrzepiają się piwkiem, mnie proponują lemoniadę.

- Lemoniadę wsadźcie sobie w buty. Dajcie mi wina, jeśli oczywiście cokolwiek jeszcze jest. I darujcie sobie te rozsądne gadki, nasłuchałam się tego w szpitalu. Jeśli wyszłam stamtąd zdrowa, to mogę, to będę pić jak wy.

Znalazła się w zapomnianej butelce jakaś marna resztką różowego wina. Chociaż mnie odrzuca, wypijam ją chciwie.

Zbliża się piąta, trzeba wychodzić. Andrzej kręci się niespokojnie.

- A może byś została. Lekarz przecież mówił, że musisz na siebie uważać. Pokażę Adamowi to wszystko, co zaplanowałaś i opowiemy ci wieczorem, jak było. A sama widziałaś jak wygląda jazda metrem. To jest męczące. Już lepiej zostań w domu.

O, jaki słodki głosik, co za troskliwość i czułość - obłuda. Ale nie dam się tak łatwo zbyć, spławić. To dla mnie ważne i idę z wami, czy ci się to podoba, czy nie.

Ruszyliśmy znów do metra. Dzielnie dotrzymuję chłopcom kroku. Biedny, zdezorientowany naszymi sprzeczkami Adam, najpewniej wolałby wyzwolić się od takich przewodników, zwiedzać to nowe miasto sam. Ale ja jestem i czuwam. Wszystko musi być tak, jak być miało, jak kiedyś zaplanowałam. Jedziemy więc według mojej marszruty do Dzielnicy Łacińskiej. Pierwsza przesiadka - Les Halles.

Tłum ludzi i zaduch, mordercze przejście przez jakiś automatycznie przesuwający się, ale nieskończenie długi chodnik. Ktoś mnie potrącił i czuję, że tracę równowagę. Nogi uginają się pode mną, w głowie szum, obrzydliwe mdłości, w całym ciele potęgująca się słabość.

Chyba mdleję - próbuję krzyknąć - mój głos jest niemrawy, a zagadani chłopcy są gdzieś daleko w przodzie. Rozpaczliwym wysiłkiem woli, aby nie upaść, nie dać

się przewrócić, chwytam metalową poręcz ruchomego podestu, mając nadzieję, że tak zawieszona jakoś w końcu dotrę do nich.

Poręcz jest zimna i to mnie cuci. Powoli dochodzę do siebie. Kiedy ich spotykam na końcu tej pięcio, może dziesięciominutowej, a piekielnej drogi jestem szczerze skruszona, pełna wyrzutów, czuję się jak zbity pies.

-Przepraszam was, muszę wracać do domu. Nie czuję się najlepiej. Odwieźcie mnie z powrotem, boję się, że nie dam rady sama. Doprawdy strasznie mi przykro, taka niepotrzebna strata czasu. Ale możecie polecieć w miasto zaraz po odstawieniu mnie do hotelu. I niech już Andrzej będzie twoim przewodnikiem, on wie, co trzeba i warto pokazać. Chociaż, czy w tym okrzyczanym Paryżu jest faktycznie tyle rewelacji do oglądania, zwiedzania?...

Nic specjalnego - ot, miasto jak miasto. To żaden siódmy cud świata. Dla mnie nie ma tu nic ciekawego. Zniknęły gdzieś ślepe zachwyty. Snobizm, przesada i tyle.

* * * * *

Dziś rano pokonując wewnętrzny opór po raz pierwszy od powrotu ze szpitala zesłam na dół do hotelowej kuchnio-jadalni.

Dłużej nie sposób się ukrywać. Ile można pozostawać w zamknięciu? Na nieszczęście jest niedziela, dzień, kiedy w hotelu kręci się najwięcej ludzi.

Spostrzegam wiele osób zupełnie nowych, są również ci, których znam od naszego przyjazdu. Z ulgą stwierdzam, że nie ma nigdzie pani Stasi.

Niektórzy z dawnych mieszkańców podchodzą do mnie, witają się, zdawkowo pytają o zdrowie. Jasne, że zdawkowo. Bo po co pytać o zdrowie kogoś, kto wprawdzie był w szpitalu, ale już z niego wyszedł? A więc jest zdrowy, gdyż inaczej pozostawałby tam nadal. Ani słowa na temat tego, co się stało. Oddycham spokojniej - żadnych wyrazów współczucia, kondolencji.

Wszyscy się tylko dziwią, że tak bardzo schudłam. Piętnaście kilo w przeciągu kilkunastu dni, to nie do uwierzenia, wyglądam zupełnie inaczej. I to jest prawda, i ja to widzę, przyjrzałam się sobie dziś w lustrze.

Nie jest to jednak komplement, że się zmieniłam, że tak schudłam. Miły komplement, za który mogłabym podziękować uśmiechem. Nie mam co szukać w tych uwagach uprzejmej aprobaty dla mojego wyglądu, bo i skąd.

O, dawniej byłam bardzo łąsa na takie komplementy. Oj, tak. Od lat obarczona kompleksem grubasa, z ogromnym zadowoleniem przyjmowałam wszelkie uwagi, że być może tu albo tam trochę schudłam. A jeśli jakiś śmiałek twierdził, że wprost przeciwnie, ostatnio wyraźnie przybrałam, traktowany był przeze mnie jako wstrętny złośliwiec i mój osobisty wróg.

A teraz patrzę na siebie i nie mam powodów do zadowolenia: cera ziemista, oczy zapadnięte, podsiniałe, obwisłe jak u rachitycznego buldoga policzki wyciągające do dołu całą twarz i mięśnie zwiotczałe, fałdy niepotrzebnej skóry i nawet włosy zmęczone, wyblakłe jakby posypane popiołem.

Nielichy portrecik, nie ma co gadać. Mogłabym straszyć nieposłuszne dzieci. I tylko na pocieszenie przypominam sobie, że przecież nigdy nie byłam seks-bomba, żadne słodkie urodziwe dziewczątko. Nie ma to teraz, tym bardziej teraz najmniejszego dla mnie znaczenia...

Zostaję poinformowana, że w hotelowej kuchni rozszalały się ostatnio kradzieże. Gina zupy w proszku, jajka i jogurty z lodówek, kogoś poszkodowano mocniej - skradziono mu trzylitrowy zapas wina oraz młotek do mięsa.

Na razie prowadzone są baczne obserwacje. Niewykluczone, że dojdzie do wprowadzenia społecznych straży. Są pewne podejrzenia, ale jeszcze niewystarczająco sprecyzowane. Jestem proszona o wnikliwe kontrolowanie swoich spożywczych rozchodów i sygnalizowanie wszelkich podejrzanych ubytków.

Delegacja mieszkańców udaje się za chwilę do dyrektora w celu omówienia tej przykrew kwestii i zobowiązania go do uważniejszej selekcji napływających gości.

Tyle hotelowy aktyw. Skończyłam szczęśliwie swoją kawę, wycofuję się więc z pośpiechem w chłodne zacisze pokoju.

* * * * *

Przyszła do mnie jednak pani Stasia i było to zaraz po obiedzie. Jestem już sama, gdyż chłopcy polecili w miasto. Michałek bawi się z dziećmi w świetlicy.

Pukanie do drzwi napawa mnie lękiem - podrywam się z fotela i zamieram w bezruchu. Z moich ust nie pada żadne "proszę wejść".

Pani Stasia wbiega do pokoju tym swoim drobnym kroczeniem, przypada do mnie i łapie w objęcia. Próbuje ogarnąć mnie ramionami, chce ucałować czy przytulić.

I to jest śmieszne, bo ona jest bardzo niska, a ja stoję na środku pokoju jak słup soli wyprostowana i sztywna. Ale ona nie daje za wygraną, nie zraża jej najwyraźniej, że figura, którą w tej chwili tworzymy, jest tandetna, niezręczna.

Ściskając niemal do bólu moje bezwładnie zwisające ręce pani Stasia płacze. Jej przyduszony głos wpiera się w moją szyję:

- Co za nieszczęście, mój Boże. I za co to panią spotkało?...

Z trudem przełyka ślinę, nabiera oddechu i zawodzi:

- Płacz dziecko, wypłacz się. To ci przyniesie ulgę... Mam trzy córki, też wiele w życiu przeszłam i wiem, co to znaczy nie mieć w takiej chwili przy sobie nikogo bliskiego. Taka tragedia, a twoja mama daleko - płacz moje dziecko, płacz...

I dobrze w tej chwili dla pani Stasi, że jest ode mnie znacznie niższa. Czuję teraz jej głowę opartą o me piersi. Ona nie może zobaczyć mojej twarzy, nie może ocenić reakcji na ten jej szlachetny, wzruszający pełen współczucia gest.

A moja reakcja jest jednoznaczna - zamiast krwi w żyłach beton, te niby zwiotczałe mięśnie, twarde w tej chwili jak kamień, narastająca niechęć w oczach, zawzięte skrzywienie ust. A wszystko to mówi - odejdz, a wszystko to mówi - precz!

Oderwała się ode mnie pani Stasia. Zmęczyła się swoim wzruszeniem. Ociera teraz zapłakane oczy, poprawia włosy, spogląda na mnie pytająco, jakby z lękiem.

I już odchodzi niezaspokojona, zawiedziona. Okazała tyle wyrozumienia, serdeczności - wszystko na nic. Taka niewdzięczność. Niepotrzebnie się tylko wzruszyła.

Odwraca się jeszcze od drzwi, może licząc na rozpacz zaburzoną, w opóźnieniu. Ale ja stoję, tak, jak mnie zastała - na środku pokoju, sztywna, wyprostowana jak drąg, w oczach zawzięta niechęć, przepelnia mnie upór i niesmak, a to uczucie, które mną w tej chwili tak ostro szarpnęło to nienawiść.

I ona tego nie wie - to nienawiść.

* * * * *

Dzisiaj po raz pierwszy mam spokój. Od rana jestem właściwie sama.

Michałek nie rozstaje się ze swoim kolegą, przesiaduje u niego godzinami. Marek ma kilka dużych zestawów klocków "Lego" i one dla mojego Malucha stały się teraz wariacką wręcz pasją. Przylatuje niekiedy rozgoryczony, splakany, że Marek do jego konstrukcji czegoś mu nie dał albo w ogóle konstruować zabronił. Jednak po jakimś czasie zapominając o urazie, wraca tam zniewolony jak ćma.

Najważniejsze są teraz konstrukcje kosmiczne - i to jest super, mówię ci mama, to się nazywa espace. Z wypiekami na twarzy opisuje mi te wszystkie platformy, pojazdy, urządzenia radarowe i roboty, ale on wie, że te klocki są bardzo drogie i tylko Marek może je mieć.

Andrzej pojechał do biura, będzie kończył tłumaczenie. Sytuację życiowo-rodzinną uznał za ustabilizowaną - trzeba zacząć normalnie pracować i żyć.

Adasia wezwali do malowania. Ludzie boją się, że nadejdą deszcze i pragną zakończyć remont domu jak najszybciej. To chrzest bojowy dla Adama - pierwszy dzień pracy na Zachodzie. A pod względem językowym, tak jak ja, sierota nie kapuje ani w ząb. Trochę się niepokoję, czy sobie poradzi. On sam nie widział problemu, był jak najlepszej myśli.

Zresztą miał rację. Potem opowie, jak świetnie poradzili sobie z jego językową ignorancją inteligentni patroni. Przed każdą puszką farby ustawili tabliczkę z wyrysowaną strzałką ukierunkowaną na określoną płaszczyznę. Farba brązowa - strzałka - drzwi; puszka z białą farbą - strzałka w górę - sufit itp. Jasno i wyczerpująco. I Adaś wymalował pokój bez zarzutu. Tyle tylko, że już po tym

pierwszym doświadczeniu pracy na Zachodzie zaczął poważnie wątpić, czy w ogóle warto uczyć się trudnego języka francuskiego.

Zostałam więc sama i dobrze. Ode mnie nie oczekuje się niczego. Chyba słusznie, bo nie bardzo siebie widzę jako realizatorkę ważkich życiowych zadań.

To już trzecia godzina, gdy tak siedzę: bez żadnego zajęcia, nieruchoma, bezmyślnie obgryzając paznokcie. Wyłączyłam radio, odłożyłam na półkę wszystkie kolejno brane do ręki czasopisma i książki, zatrzasnęłam bałagan w szufladach...

Więc może wyjść? Trzeba kupić coś na kolację. Przecież dawniej tyle radości mi sprawiały te wszystkie drobne sprawunki.

Wychodzę i jestem w jaskrawym świetle wczesnego upalnego popołudnia. I ulica ta sama, i sklepy - tu "moja" piekarnia, dalej znane już jak własna kieszeń Viniprix i ten rzeźnik na rogu, który zawsze mile się do nas uśmiechał.

I wszystko niby to samo... ale wiem, że to nie jest, to już nigdy nie będzie to. Tak jakby nagle pojawiła się jakaś luka, jak gdyby w moim życiu wytworzyła się dziura - piętnaście zwykłych kartek w kalendarzu, a zaburzyło się wszystko. I nie ma już pomostu między przedtem a teraz. To miasto jest inne, ci ludzie. Wszystko jest już nie takie. A może to tylko ja?...

Widzę tę rozpadlinę czy przełęcz i wzruszam bezradnie ramionami. I tylko coś we mnie złowrogo ostrzega, złorzeczy - jeśli jej nie przekroczę, jeśli zostanę tak jak jestem, to już się nie wydźwignę, jestem zgubiona. I ja to wiem.

Kieruję się ku centrum handlowemu. Tyle tam sklepów, zaaferowanych ludzi, zwykłego rozgardiaszu, że może to pozwoli mi się otrząsnąć z bezsilnej apatii.

Krażę wśród stoisk, kręcę się wzdłuż gablot, świadomość rejestruje wszystkie atrakcyjne dla mnie dawniej towary. I teraz wiem, że mam je przed sobą, niektórych nawet dotykam, ale na wrażeniach zmysłowych się kończy, nie ma wartościowania, przeżycia. To wszystko jest mi obojętne, dalekie, poza mną.

I co z tego, że dobrobyt puchnie na półkach, w swojej obfitości przelewa się przez witryny, przez lady? Ile można to oglądać, podziwiać? Przychodzić do sklepu jak na wystawę, do muzeum? Dobrze chociaż, że nie pobierają opłat za wstęp.

Dla mnie są jedynie te wszystkie oferty, przeceny, okazje, do których wyszukiwania tak skrupulatnie przysposobił mnie mąż.

A mnie chce się już rzygać od tych czerwoniutkich karteczek. Niekiedy jak otworzę lodówkę, to aż się pstry, aż się mieni ten sympatyczny, bijący w oczy kolorek.

Przecież to jest żalosne, ta konieczność oszczędzania na wszystkim, to ciągle liczenie się z każdym zakichanym frankiem, to odmawianie sobie i dziecku.

I w imię czego - tej wiary w bliską świetlaną przyszłość, nadziei, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nasze mdlawe życie zmieni się, poprawi? O, ludzka naiwności! To tak, jak w tej anegdocie, gdzie na pytanie, kiedy będzie lepiej, pada odpowiedź - już było. I na co czekać i po co się łudzić? Nie wiem, co w ogóle robię wśród tego bogatego bazaru.

Wezmę jeszcze tylko żołądki z drobiu. Jak uduszę z cebulą, to wyjdzie najtaniej. I tę półtoralitrową buteleczkę wina. Wino też tu wypada taniej, taniej niż woda mineralna, niż lemoniada. Wypiję sobie wieczorem kilka szklanek. Może to poprawi mi nastrój?

* * * * *

Oj, smętne i niemrawe jest to moje życie i tylko jakaś siła bezwładności pozwala mi je kontynuować, ciągnąć. Bierna rezygnacja zastąpiła rozpaczliwy bunt i bolesną rozpacz.

Moja obecna egzystencja sprowadza się w zasadzie do trzech zajęć: bezmyślne siedzenie, gotowanie bez żadnej przyjemności, wychodzenie po zakupy na siłę. I zamyka się ona w trzech pomieszczeniach; są to pokój, winda i kuchnia. Popijam coraz częściej, ale po tak zwanym skończonym dniu, w pokoju wieczorami.

Niektórzy mieszkańcy piją wino w kuchni. Większość siatki z butelkami zanosi cichcem do siebie. I tylko ci najbardziej "francuscy" rodacy stawiają swoje butelki na stole jawnie, z paryskim wdziękiem, nie mogąc się obyć, bo jakże, bez wina do posiłków.

Tak, oni są faktycznie "francuscy". Bardziej pewnie niż rodowici Francuzi. W rozmowach tych Polaków całe zwroty, wyrażenia, ba, sentencje wypowiedane są w pięknym języku Balzaka. A słownictwo (oni powiedzą - vocabulaire) też zapewne znajdują u siebie w porównaniu z pisarzem bogatsze i oczywiście żadnego accent. Godzinami potrafią rozprawiać o polityce wewnętrznej i zagranicznej goszczącego ich kraju, krytykują chętnie, w ogóle znają się na wszystkim.

A jak usiłują celebrować posiłki, zapijając je najtańszym, ale francuskim przecież winem! I jajko na twardo jest na przystawkę, nie zapominają też o serach, owocach. Śmiesznie to jednak wygląda, gdy tej całej francuskiej obiadowej fasadzie towarzyszą jako danie zasadnicze najzwyczajniejsze, skromne polskie kanapki. W każdym razie - bon ton - obserwuj, przyswajaj, naśladowaj.

Lubię tak, siedząc w kuchni, poobserwować siebie, posłuchać tych "zagranicznych" rodaków. Nieraz mi ich żal, często za nich wstyd, bywa, że śmieję się z nich w duchu.

Coraz więcej czasu spędzam w kuchni. Jest wiele osób takich jak ja, które do kuchni przychodzą tylko po to, aby posłuchać, dowiedzieć się czegoś (bo tu się mówi

o wszystkim, i jest się au courant) lub też po prostu, aby pobyć wśród ludzi, zamiast siedzieć w pokoju samemu.

Od pewnego czasu wszyscy żyją sprawą powtarzających się kradzieży. Chociaż na dzisiaj jest to już sprawa zamknięta, właściwie nieaktualna - od wczoraj nie ma już winowajców wśród nas.

Okazało się, że to dwaj młodzi chłopcy, zresztą nad wyraz sympatyczni, uczynni i weseli. Na ich widok aż serce się radowało, że tak dorodną (chłopcy byli przystojni, wyrosnięci) i tak ułożoną mamy młodzież. A tu paf - kradli. I jaka konsternacja?

Miano już dobrać się im do skóry. Prowadzący śledztwo hotelowy aktyw uznał, że nie można tych kradzieży dłużej tolerować. Byłoby to wysoce niewychowawcze, prawda? Ale zanim ich namierzono, sprecyzowano zarzuty, obmyślono najbardziej "wychowawczy" sposób interwencji, weseli studenci spakowali plecaki i chyłkiem opuścili niegościnnie hotel. Najważniejsze, że wyjechali.

Kradzieże ustały jak nożem uciął. Mieszkańcy odetchnęli, zaprzestali znaczenia bagietek i gorączkowego przeliczania jajek. Dyskusje, komentarze o dwóch takich, co ukradli młotek też urwały się dziwnie szybko. Tej historii towarzyszyła atmosfera jakiegoś wstydliwego zażenowania, niesmaku. Spokój jednak nie trwał długo.

Od wyjazdu studentów nie upłynęła jeszcze nawet doba, gdy naszą kuchnię wstrząsnęła nowa sensacja. Dziś podczas obiadu gruchnęła wiadomość, że w czasie porannej kawy profesor zasłabł.

Profesora nie znałam, gdyż zjawił się w hotelu, kiedy już byłam w szpitalu. Miły, starszy pan, do Paryża przyjechał, zdaje się, na jakieś naukowe odczyty. W jadalni siadywał zawsze na stałym miejscu pod oknem, w najbardziej oddalonym kącie, gdzie z istic profesorską kontemplacją przez długie kwadransy maczał bagietkę w kawie. Odzywał się mało, ale jak mówią, dawniej bywał bardzo ożywiony i z ogromną pasją potrafił opowiadać o najnowszych, rewelacyjnych (!) ekologicznych odkryciach. Ostatnio jakby osowiał, przycichł. A dziś rano zemdłał.

Rozszalały się komentarze, domysły. Wszyscy lubili profesora. Wieczorem osłabionego staruszka obejrzał mieszkający w hotelu lekarz. I kiedy lokator dzielący z profesorem pokój powierzył zainteresowanemu ogółowi postawioną diagnozę, zaskoczenie, niedowierzanie zafalowało w kuchni - szok współrodaków sięgnął szczytu.

Profesor zasłabł z wycieńczenia, krótko mówiąc, z głodu. Polska kawa "Inka" z paryską bagietką od dłuższego czasu stanowiły jedyne jego pożywienie. Kawa bez cukru, bo po co dla jednej osoby kupować cały kilogram? Szczupłe fundusze, którymi profesor dysponował, rozeszły się zaraz na początku - może za dużo wydał na te wszystkie skrypty, albumy, ale to przecież unikalne, bezcenne materiały. I przejazdy drogo tu kosztują, a on chciał być w tylu laboratoriach, zakładach. A jeść to może w Polsce, przecież i tak niedługo będzie musiał wrócić...

I to był szok dla wszystkich. Znow oburzenie, niesmak.

Jak to, naukowiec tej klasy i taki brak środków? Kto finansował jego przyjazd, kto jest odpowiedzialny za jego nędzę? I dlaczego nie dał nic poznać, nie zwrócił się o pomoc, przecież jest tu wielu życzliwych mu ludzi?

Jak musiał cierpieć, będąc świadkiem częstych wystawnych kolacyjek organizowanych przez tych najbogatszych, siedzących na placówkach w Afryce, a przyjeżdżających do Paryża na zakupy Polaczków.

Nie wiem, jak czują się ci polscy turyści z Rabatu lub z Algieru, którzy nas - zwykłych zjadaczy chleba - kłuli w oczy łososiem, szampanem, świeżym ananasem, ale i mnie, specjalistce od flaków po warszawsku i duszonych na okrągło podrobów, jest jakoś niemilo i ciężko.

Zaparzam sobie kolejną kawę - to woła o refleksję.

Wyjazd Polaka na Zachód jako dobrodziejstwo. I proszę, już mam ośnowę. Nic rewelacyjnego pewnie nie wymyślę, ale porozmyślać zawsze mogę.

Nie jestem we Francji długo, a widziałam już tylu rodaków w najróżniejszych sytuacjach, układach. Tylu nasłuchiwałam się historii, a często były to dramaty. Francja to gościnny kraj...

Przyjeżdżają tu z Polski studenci, jedni aby zwiedzać, inni aby uczyć się języka. Przyjeżdżają tacy, którzy chcą zarobić lub jak ci z Algierii, wydawać pieniądze. Są Polacy na wyjazdach służbowych, młodzi ludzie na stypendiach lub chcący się tu osiedlić, tak jak my. Są tacy, którzy robią wszystko, aby przedłużono im wizy, tacy co siedzą na czarno, inni przyjechali tylko na wystawę i wracają po kilku dniach.

Przyglądam się rodakom "na wyjeździe", obserwuję ich zachowania, reakcje i jedno spostrzeżenie narzuca się nieodparcie - w większości to ludzie cholernie zadowoleni, że się tu znaleźli, że wreszcie(!) tu są. Oni się czują wyróżnieni. Doceniają, że mogli przyjechać, jakby to była niepowtarzalna szansa. W większości to ludzie zafascynowani Zachodem. Według mnie, jest to zafascynowanie a priori.

I kiedy zadaję sobie pytanie, skąd się bierze ta apoteoza, ta euforia nawet u ludzi, którzy dopiero co przyjechali i nie mieli jeszcze okazji zobaczyć tych wspaniałości, a już pieją z zachwytu, z góry na wszystko reagują bezkrytyczną aprobatą, zapartym tchem, przypomina mi się jedna z warszawskich prywatek.

Były to imieniny Żermeny, już samo imię mówi za siebie, centrum stolicy, duże eleganckie mieszkanie. I wystrój wnętrza też elegancki, bogaty. Tatuś - prywatny przedsiębiorca, pracując przez jakiś czas w USA dorobił się tam renty. Miał jakąś przypadłość przy pracy, nie wiem co, w każdym razie napływ zielonej gotówki był stały.

Towarzystwo ze strony solenizantki doborowe. Pretensjonalność i szpan. Wszystko pewnie prywatna inicjatywa - młodzi ludzie przy dużych pieniądzach. Stroje amerykańskie, dżinsowe, a jeśli jest coś bardziej amerykańskiego jak dżinsy, to oni byli w to ubrani.

W ogóle Ameryka, amerykańskie, po amerykańsku, coca-cola i dolar to motto tego wieczoru. Nie wspomnę już o menu, bo byłoby to świństwem wobec gościnniej pani domu.

Butelka perfum w kształcie klozetu, plakatowy dolar z podobizną właściciela mieszkania w miejsce Waszyngtona i te płyty przywiezione stamtąd - powąchaj, jak one pachną, no czujesz, one pachną, no jak?... one pachną Zachodem. Ach!

Wącham te płyty - to raczej stęchlizna. Na wszelki wypadek nie komentuję. Wolę się nie przyznawać, że po prostu nie wiem, jak rozpoznaje się ten "Zachodu zapach". A ten klozecik w serwantce, te gołe baby na szklankach, dla mnie to odpustowa tandeta, a dla nich to AMERYKA, to Zachód.

I kiedy patrzę na polskich turystów, szczególnie młodych, którzy są tu po raz pierwszy, a skowyczących z zachwytu zanim jeszcze zeszli z ostatniego stopnia lotowskiego samolotu, widzę, że to całe zafascynowanie Zachodem bierze się, nie z konfrontacji z tą drugą stroną medalu - ono ma początek już u nas, w Polsce, w kraju.

To tam rzesze ludzi marzą, kombinują, dopłacają, aby tylko wyjechać, zobaczyć ten "inny świat", a daj Boże, jeszcze skorzystać, zarobić. I czy to będzie wyjazd służbowy, kilkudniowa delegacja, stypendium czy dwutygodniowa wycieczka - co by to nie było - jest to dla Polaka przywilej, dobrodziejstwo, wyróżnienie i szansa. Niemal każdy tak to traktuje, czy wie, co to jest ten Zachód, czy nie.

Bo jest legenda w narodzie. Jeden z drugim był i opowiadał, ten i tamten nieprawdopodobnie się dorobił. Przeciekają zewsząd fantastyczne plotki, informacje i wszystko to się składa na mit Zachodu. Mit utarty i jakże popularny.

Niemal każdy Polaczek śni o Zachodzie, krainie wiecznej szczęśliwości. Marzy mu się dobrobyt, wolność i beztroska. Jest to męczący, uporczywy, lecz jakże urokliwy sen. A droga do ziszczenia sennych marzeń jest trudna, bardzo trudna.

Kiedy wiosną 1981 roku podjęliśmy już ostatecznie tę naszą wariacką decyzję wyjazdu, rozpoczęliśmy starania o paszport. A był to okres pod względem polityczno-publicznym największej odwilży, demokratyczny luz. Pootwierali granice - chciecie, to jedźcie, oglądajcie.

Sceptycznie nastawiona do takich "odwilży", denerwowałam się teraz jak diabli. To niemożliwe, krzyczały moje czarne myśli, w tym kryje się jakiś podstęp. Nie wypuszczą nas, dwojga pracujących ludzi razem z dzieckiem, a nie zamaskuję też, bo jak, zaawansowanej ciąży.

- Dlaczego mają nie wypuścić? Tyle ludzi wyjeżdża, a ty musisz zawsze histeryzować. Tak czy inaczej, próbować trzeba.

Andrzej był zawsze chłodniejszy w przewidywaniach, osądach. W gruncie rzeczy chyba nie wierzył, że jestem zdecydowana na ten desperacki krok. Pamiętał mnie z okresu poprzedniej ciąży i wiedział, że miewałam zwariowane inicjatywy, jak nigdy w normalnym stanie. A nawet teraz, gdyby nie to ostatnie rozczarowanie, tak głupio i tak boleśnie stracona szansa na uzyskanie wreszcie mieszkania, nigdy by pewnie nie zrodził się pomysł wyjazdu. Psiocząc, klnąc i płacząc, siedzielibyśmy na swoich śmieciach, w kraju. Ale mieszkania nie dali i pies ich drapał, wypełniliśmy więc wnioski paszportowe.

Komenda MO była blisko mojej szkoły, toteż odpowiedzialne zadanie złożenia papierów spadło na mnie. I mało, że odpowiedzialne - niewykonalne. Kiedy dotarłam tam około godziny jedenastej, nawet nie wpuszczono mnie do środka. Strzegącym podwoi ludziom naiwnie perswadowałam, że mam do załatwienia drobnostkę, chciałabym tylko położyć dwa małe arkusiki u odpowiedniego funkcjonariusza na biurku. Złośliwy rechot był odpowiedzią, po czym dosadnie mnie oświecono, że jeśli przyjdę jutro o piątej rano, to też może już być za późno.

Wycofałam się więc jak zmyta. Niestety jutro z samego rana Andrzej będzie musiał pofatygować się sam. Ale mój mąż to niedowiarek. Pomyślał, że jak zwykle przesadzam i zjawił się przed komendą dopiero około szóstej. I nie wiem, czy nie było mu głupio, bo wyszło, że miałam rację i słusznie go ostrzegałam. Okazało się oczywiście, że jest za późno, społeczna lista oczekujących na złożenie wniosków paszportowych zamknięta. I to był drugi stracony dzień.

Trzeciego dnia mój mąż zdążył. Załapał się na listę jako numer 147, ale wyniknął problem tak zwanej weryfikacji nazwisk, co oznaczało konieczność zgłaszania się do społeczników co dwie godziny celem poświadczenia, że jest się nadal zainteresowanym, że się czuwa albowiem tego wyjazdu na Zachód po prostu cholernie się chce.

Do południa miał zgłaszać się Andrzej, potem urywając się ze szkoły, ja. I tu znów mój szanowny małżonek nawalił, nie zgłosił się na którąś ze zbiórek i kiedy przyszedłam o swojej godzinie, nasze nazwiska były już skreślane. Nie pomogły mi wyjaśnienia, ni skrucha, ni jednoznaczne wyrażenie opinii, co ja o takich społecznych listach i ich weryfikowaniu myślę.

Cóż było robić, jak mówią Paweł i Gawęł, następnego dnia zaparliśmy się już oboje. Andrzej do południa praktycznie nie pracował, non-stop warował przy społecznikach na wypadek, gdyby zachciało im się wykrzyknąć nasze nazwisko. Potem ja wykradałam się ze szkoły jak złodziej, narażając się na gniew srogiej dyrektorki, to jedno. Musiałam też bardzo uważać, aby się nie wydały moje wyjazdowe plany. Wolałam, by nie wiadano w szkole, co knuję.

Tego dnia nasza gorliwość i rzetelność starań zostały nagrodzone. Późnym popołudniem stanęliśmy przed odpowiednim funkcjonariuszem, który kosym okiem zerknął na papiery, po czym rzucił je niedbale do przepastnego, ale już zapełnionego po brzegi metalowego pudła.

Termin oczekiwania na decyzję - miesiąc, sześć tygodni. Urzędnik uprzedził nas lojalnie, że może być opóźnienie. I opóźnienie było. Czekaliśmy bez mała trzy miesiące. A przyłaziliśmy tam, sprawdzaliśmy - a nuż coś drgnęło, aż do znudzenia, naprawdę wiele razy. I zawsze taki sam dziki tłum, ten sam zagęszczony nastrój oczekiwania, napięcia.

Lubiłam, stojąc na zewnątrz, obserwować wychodzących z komendy "rozpatrzonych" już ludzi i po ich wyglądzie, ich zachowaniu zgadywać, czy dostali paszport, czy nie. Widziało się ludzi szczęśliwych i rozczarowanych, ludzi zrozpaczonych lub złoźeczających.

Najbardziej jednak utkwiała mi w pamięci już nie tak młoda pani, której wniosek o paszport został załatwiony pozytywnie. Pani wybiegła z urzędu z impetem. Schody zaatakowała z dziką furją, omal nie upadła, kilka razy niebezpiecznie się potknęła i rozpychając niecierpliwie oblegający wyjście tłumek, cisnąc do piersi paszport, histerycznie krzyczała:

- Wyrwać się z tego piekła! Nareszcie! Wyrwać się stąd!!!

Ewidentna była zatem reakcja eleganckiej pani. Już tu nie wróci, o nie. Ale co za odwaga, a może desperacja, tak reagować. Ja bym się bała, że mi jeszcze paszport odbiorą.

Zrobiłam się jakaś bojaźliwa. Kiedy nadszedł wreszcie dzień naszych numerków, gdy mieliśmy poznać wydaną przez władzę wyrok-decyzję, od rana zachodziłam w głowę, co zrobię z tym moim nieszczęsnym, już dużym brzuchem. Wciągnąć się nie da - i po co, idiotka, aż tyle przytyłam?... A może babcinym sposobem obwiązać go do oporu jakimś bandażem lub taśmą? Tylko problem, gdzie znaleźć ten deficytowy przecież artykuł? Chyba nie odważę się tam pójść.

Wydawało mi się, ba, byłam przekonana, że ciężę muszę zamaskować, ukryć. Coś mnie ostrzegало, straszło - jeśli się zorientują, że wyjeżdżamy tak familijnie, to na pewno się domyślą, że uciekamy, wyjeżdżamy na stałe. A taki urzędnik, wiadomo, bywa wszechmocny i zapadłe już "tak" jednym ruchem nadgarstka może zmienić na "nie".

Co tam, do odważnych świat należy. Z braku laku stanęło na najobszerniejszej sukience. Niech wygląda, że jestem taka modna. Pietra miałam jednak solidnego.

Na okoliczność tak ważnej decyzji Andrzej wziął w pracy wolny dzień. Pan milicjant długo szukał w szufladach, na mnie nawet okiem nie rzucił. Z szuflady wyjął dwa paszporty. Chciał tylko wiedzieć, ile dolarów mamy do dyspozycji, kazał podpisać i cześć. Ach nie, jeszcze jedno pytanie zadał - na jak długo wyjeżdżamy? Padła odpowiedź - dwa tygodnie.

Wychodząc z komendy, nie daliśmy poznać po sobie, jak zostaliśmy załatwieni. Znaliśmy zabawę w obserwowanie petentów. Andrzej schował paszporty do portfela, przybraliśmy miny nijakie. I dopiero w samochodzie zaparkowanym dosyć daleko daliśmy upust naszemu szczęściu, radości. Ściskaliśmy się jak wariaci, bez końca wertowaliśmy tę naszą przepustkę do wolności, do nowego życia. Chociaż pamiętam, że już wtedy miałam jakieś mdlawe odczucie, że kogoś oszukałam,

nabrałam. Nie chciałam jednak zastanawiać się nad tym. Przecież świat stanął przed nami otworem...

Mój Boże, jakie to ode mnie odległe. Siedzę w paryskim hotelu dla Polaków, zupełnie już wystygła moja zapomniana kawa.

Gdzie się podziały wszystkie tamte nadzieje, co zostało z tamtych pięknych, obiecujących marzeń?... Ja, to przypadek szczególny - moja osobista tragedia jednym cięciem przekreśliła wszelkie marzenia, położyła się również cieniem na przyszłość. Ale tam, przed komendą dzielnicową, jedną z wielu, stał przecież tłum starających się o paszport tak jak my. W tym okresie wyjechało z Polski tysiące, tysiące ludzi.

Czy im, jeśli już otrzymali to zezwolenie na wyjazd, powiodło się lepiej? Czy, gdy znaleźli się wreszcie na wymarzonym Zachodzie, są chociaż szczęśliwi?

Przyglądam się Polakom, których we Francji poznałam, z którymi mam tu do czynienia. To zaledwie mała garstka i okres obserwacji niezbyt długi, a ile jednak spotkałam najprzeróżniejszych problemów, życiowych powikłań, dylematów, nie mówiąc już o dramatach, o ludzkich klęskach.

Jak więc funkcjonuje ten przywilej, gdzie jest to dobrodziejstwo bycia na Zachodzie?... Do diabła z nim!

Profesor głoduje - ma swój honor. Studenci, żeby nie głodować, kradną.

* * * * *

Adam z Bogusiem wyjeżdżają na winobranie. I wyjeżdżają już dziś. A telefon od pana winiarza był wczoraj i to późnym wieczorem. Jędrusia nie zastał w domu, miał też numer do naszego hotelu. I szczęśliwie, bo inaczej z mozolnie organizowanej imprezy wyszłyby pewnie nici - facetowi potrzebni są ludzie do zbierania tego szlachetnego owocu od zaraz, natychmiast, na gwałt.

Jednym tchem rzucił w słuchawkę zdezorientowanemu Andrzejowi, że jeżeli są tam gdzieś te dwa chłopaki, co chcą przyjechać, to on ich bierze. Pod warunkiem, że stawią się u niego jutro. Niech przyjeżdżają pociągiem, ktoś będzie czekał na nich na dworcu. Za przejazd w jedną stronę on im wyrówna, zwróci.

Mój lubiący jasne sytuacje małżonek próbował wydobyć jeszcze od swego rozmówcy, na jak długo przewiduje winobranie, jakie myśli dać wynagrodzenie. Chciał poznać, jak to się mówi, warunki.

I omal nie zdenerwował producenta znakomitego szampana. Bo gdzież, on się tak spieszy, wokół niego wszystko się gotuje. Trzeba jeszcze naoliwić traktory, przygotować koszyki na owoce, a tu zawracają mu głowę jakimiś głupstwami, nudzą pytaniami o detale.

To wszystko nie jest w tej chwili ważne. Zdążą się dogadać, gdy dwaj panowie będą już u niego na miejscu. Teraz najważniejsze to zacząć, jak najszybciej zacząć. Słyszał o dwóch takich, co szukają roboty, no i robota jest.

Bah oui. Ależ tak. To się nazywa patron: zdecydowanie, pośpiech, konkretny pułap wymagań. Tak to widać wygląda kapitalistyczny pracodawca - on chce, on może zatrudnić i już za samo to należy mu się gromkie merci. Swoją drogą niezły jednak tupecik.

Chociaż z początku zazdrościłam chłopakom tej wyprawy, wołałabym u takiego zagonionego za swoim musującym źródłem dochodu patrona winogronek nie zbierać. Ale widać, że tu się nie marudzi. Tu się patronów nie wybiera. To oni są łaskawcy, jeśli ich wybór padł właśnie na nas. No i chłopcy jadą.

Adam się zastanawia, czy ma zabrać garnitur. Szwagier mu odradza, ja nie mam wyrobionego zdania. Chociaż tak sobie myślę, że jeżeli będzie tam ciężko, to mógłby w tym garniturze pójść przynajmniej do kościoła w niedzielę i o bliski koniec winobrania się pomodlić.

Boguś też się denerwuje, on się boi dźwigania ciężkich koszy. Ma po temu powody.

Jeszcze w okresie studenckich swawoli, kiedy pojechaliśmy wesołą gromadą do jednej z podwarszawskich miejscowości, aby nad brzegiem przeuroczej rzeczki piec nad ogniskiem kiełbaski, Boguś postanowił zagrać rolę Tarzana, wlaź na wysokie drzewo, po czym z niego zleciał i porządnie obruszył sobie kręgosłup.

Dobrze, że było to zaraz na początku imprezy, zanim nie wypiliśmy jeszcze przewidzianych na ten wieczór alkoholi. Bo kto by wtedy do poszkodowanego wezwał pogotowie?

Leżał chłopczyzna pod tym drzewem, w błocie i z żabami, gdyż akurat tak niefartownie wypadło. A karetka jechała długo. Grzędzawiska i wertepy wokół, a my jak na złość wybraliśmy miejsce najbardziej odludne, zagubione wśród krzaków i łożin.

I chociaż tyle przysłużyliśmy się koledze, że nie zaszкодiliśmy mu jeszcze bardziej troskliwymi, gorliwymi próbami wyciągnięcia go z tej obrzydliwej, błotnistej mazi. Jak poinformował nas lekarz z pogotowia, mogło to być fatalne. A tak musiał nas pochwalić i Boguś prosto od żabek został przeniesiony już po fachowemu na nosze.

Zabrali go do pobliskiego miasteczka do szpitala. A my, świnię, wprawdzie z pewnymi oporami, ale w końcu rozpaliliśmy to pechowe ognisko. Kiełbasa by zzieleniała, a i pełnych butelek nie warto było wieźć z powrotem do Warszawy. Ale Boguś nie miał o to żalu i kiedy nazajutrz rankiem z uchowanym dla niego piwkiem odwiedziliśmy go w szpitalu, zdawał się być nawet zadowolony.

Chociaż prawdę mówiąc, powodów do radości to raczej nie miał - złamane dwa kręgi w kręgosłupie, trzy tygodnie szpitala, kilka miesięcy w ciężkim gipsowym

gorsecie. Ale takie to były studenckie czasy: piękne, wesołe, lecz jakże często lekkomyślne.

Boguś teraz boi się przeciążonych winogronami koszy. Natomiast Adam ten problem lekceważy, on się czuje silny jak tur. I po namyśle proponuje koledze interes: on tam podniesie co trzeba, ale za to, jak będzie na stole coś dobrego do żarcia, niech Boguś i jemu nałoży na talerz. Bo Adam jest łakomczuch, lubi i może dobrze zjeść, ale w sytuacji, gdy trzeba sobie nakładać pod obstrzałem licznych spojrzeń, natychmiast staje się nieśmiały, ręce mu się trzęsą, gubi jedzenie po drodze. Udaje więc brak apetytu i w rezultacie odchodzi od stołu głodny.

Poza tym Boguś będzie musiał pełnić rolę tłumacza, jako że on zna ten obcy zupełnie dla Adasia, a obowiązujący pewnie i w Szampanii język. Adaś po francusku ani w ząb - on ma muskuły, Boguś głowę.

Umowa zawarta, chłopcy uścisnęli sobie ręce. Odważniej spojrzeli na rozkład jazdy. Ich pociąg odjeżdża za godzinę.

I proszę, tylko Polaków wysłać do pracy, nawet u francuskiego patrona - zaraz kooperatywa, spontaniczna pomoc, przetasowanie sił.

Dworzec Gare de l'Est jest ogromny. W głównej hali dziki tłum ludzi. Chyba w całej Francji nagle winogrona zaczęły sypać się z krzaków, bo widzi się liczne grupki młodzieży jadącej najwyraźniej w tym samym celu, co Adam z Bogusiem. Wprawdzie sekatorów przytroczonych do pasków nie zaobserwowałam, ale kalosze, czapki od słońca oraz porozstawiane z wypisaną pewnie nazwą winnicy tekturowe afisze, wokół których gromadzą się młodzi ludzie. Polaków też spotykamy, nie zagadujemy jednak nikogo.

Przyglądam się radosnemu ożywieniu wyjeżdżających. To pewnie perspektywa bliskiego zarobku tak rozjaśnia te młode twarze.

Ale słyszało się już przecież niejedno, jak bywają organizowane takie winobrania, wyjazdy na zbiór orzechów, kukurydzy przez mniej lub bardziej oficjalnych pośredników, jak również różne samozwańcze agencje wyszukujące napływającym turystom lub tak zwanym wiecznym turystom tego rodzaju pracę.

Tyle, że wielu już się sparzyło.

Na miejsce pracy dotarli, często zostali nawet dowiezieni i piękne orzechowe gaje były również. Wystarczyło włączyć na drzewo i rwać.

Orzechy były dorodne - lasek należał do bogacza co się zowie, ale samochód, który zapalonych do pracy ochotników przywiózł na miejsce już odjechał, a jako aprowizację pozostawiono kilka bagietek i dwa litry wody "Evian". Na tyłu chłopca nie starczyło na długo. I nikt nie sprecyzował, jak widać to tu nie obowiązuje, za jakie wynagrodzenie pracują, co z wyżywieniem, z noclegiem.

A oni nawet nie zapytali. To się tak jakoś samo przez się rozumiało, że przecież ktoś tu po nich przyjedzie, pracę wynagrodzi i albo ich stąd zabierze, albo nakarmi i położy spać. Ale samochód odjechał i już się tego dnia nie pokazał, ani następnego też.

Byli podobno tacy, co się zaparli. Żywili się orzechami (co zjedli, to zjedli; resztę skrzętnie wrzucali do skrzynek anonimowego bogacza), pili wodę ze szlauchu, spali w szałasie z narzędziami. Być może doczekali się również zapłaty za swoją oddaną i sumienną pracę, ale ja nic o tym nie wiem. I nie wiedział też tego młody Polak, który mi o tym "orzechobraniu" opowiadał, a który uciekł stamtąd wygłodzony, brudny, za własne środki po trzech dniach.

Sceptycznie więc patrzę na to skrzykiwanie w dworcowej hali przez różnych cichociemnych organizatorów garnących się jak do miodu, chętnych pracy i franków młodych ludzi.

Ilu z nich wróci stamtąd bez grosza? W większości będzie to przecież praca na czarno i w razie jakiegoś świństwa, złodziejstwa, gdzie mogliby złożyć reklamacje, dochodzić swoich praw?

I to mnie tylko uspokaja, że nasi chłopcy nie jadą z taką grupą. Ich praca jest jak gdyby pewniejsza, warunki bardziej zabezpieczone. Chociaż i ten ich patron był taki dziwny, tak się spieszył. W ogóle nie szło z nim porozmawiać. Ale to widać taka szampańska gorączka złota. A zresztą, gdyby się tak nie martwił o to, co zbierze, z

czego by im zapłacił? Trzeba przyjmować reguły gry, jakie są. W każdym razie oni powinni trafić lepiej. Jest to przecież wyjazd załatwiony indywidualnie.

Więc jeszcze tylko - bon courage - odwagi. To im się należy i na pewno przyda. Tego im jednak trzeba. A kiedy wrócą, dadzą nam świadectwo i wyobrażenie o tym, jak się pracuje u kapitalistycznego patrona - daj Boże, nie krwio pijcy.

Zbliża się pora odjazdu pociągu. I dobrze, bo czuję się marnie. Ta godzina spędzona na zatłoczonym dworcu zmęczyła mnie ogromnie.

Chodzenie jest męczące, ale to jeszcze jakoś znoszę. Najgorsze jest jednak stanie. Gdy muszę utrzymać ciało w jednym miejscu, w jednej pozycji nawet przez kilka minut bez ruchu, zaczyna kręcić mi się w głowie, tracę orientację i równowagę.

Coraz częściej mi się zdarza odczuwać realne zagrożenie, że stracę za chwilę przytomność. Przysiadam więc w panice, gdzie by to nie było - mdły ciężar na piersi, gumowy skurcz wokół warg, drętwienie rąk i zimny pot strumieniem spływający od szyi po całym ciele.

Nie jest ze mną dobrze. Psychicznie jestem do niczego, a jeszcze somatyczne dolegliwości coraz bardziej dają mi się we znaki. I kiedy wieczorami pociągam winko, tu się mówi różyk (spolszczenie od rouge - czerwony), wydaje mi się, a raczej jestem przekonana, że to nie tylko dla podniesienia ducha, dla morale, to również pewna ulga i dla ciała. Jakoś po kilku tych szklaneczkach zapominam o skurczach, drętwościach i potach. Może alkohol podnosi ciśnienie, czy ja wiem?

Zdecydowanie straszna jednak ze mnie mizerota. Samopoczucie jak wypluty przez hipopotama kapeć - przygnębienie, rozdrażnienie lub apatia. Fizycznie, wprawdzie jeszcze się kręcę: jem, chodzę i jakoś śpię, ale jest to bezsprzecznie zaczynający się już psuć mechanizm.

Dla mnie to dobrze, że ja tak trochę na zdrowiu nie domagam, że jest coś fizycznego, co dokucza, boli. Bo inaczej... Jest coś takiego jak psycho-fizjologiczny aspekt zdrowia. Sprawdziłam to na sobie ostatnio wielokrotnie.

Zdarzało się, że w momencie zadowolenia z powodu zaspokojenia którejś z prostych życiowych potrzeb, kiedy zjadłam coś z apetytem, wypłam z pragnienia, dobrze przespałam noc - nagle poczuwałam się źle.

Jak gdybym była winna, jakby to mi się nie należało, jakbym urażyła mojemu Małemu, któremu nie było dane poplaskać się kiedykolwiek w ciepłej wodzie, czy zasnąć błogo po mozolnym trudzie opróżnienia swojej butelki z mlekiem.

I to, że cieszy szklanka gorącej kawy z rana, że mam wrażenie pieśczoły, gdy muśnie mnie łagodny promień słońca, że miła jest dla ciała wieczorna ciepła kąpiel, staje się jakąś zdradą i wraca rykoszetem jako bolesne upomnienie i wyrzut. I to boli. Boli każdym nerwowym włóknem, każdą komórką mego mózgu, zresztą nie wiem, gdzie to jest.

Nigdy nie myślałam, nie uwierzyłabym nawet, że dusza może dokuczyć aż tak. Idę jej więc na ustępstwa, jak mogę. Pragnąc ją udobruchać, zaczęłam konsekwentnie zaniedbywać ciało - wino, coraz więcej wina, kawa, papierosy, ciągle nerwy, jem bez apetytu, byle co. Może to przyniesie mi ulgę?...

* * * * *

Jutro miną dwa tygodnie, jak wyszłam ze szpitala, a na dzisiaj otrzymaliśmy stamtąd wezwanie.

Otwierając szpitalny druczek, Andrzej mocno pobladł. Wystraszył się pewnie, że przysyłają już rachunek do zapłacenia. Okazało się jednak, że chodzi o zapowiedziane nam wcześniej powypadkowe konsylium czy komisję.

Szpital chce sprawę zakończyć, postawić kropkę nad i, rozstrzygając ostatecznie wszelkie ewentualne zastrzeżenia, wątpliwości, a teczkę z dokumentacją zamknąć i odesłać do szpitalnego archiwum.

Póki co,teczka jeszcze otwarta leży przed lekarzami na biurku. Kiedy zostajemy poproszeni do pokoju, oni wszyscy już tam są.

Nie mogę powiedzieć, że sprawia mi przyjemność ponowne zobaczenie tych ludzi. Są niemal wszyscy lekarze, którzy się mną opiekowali. Tylko tego, co wertuje papiery i wygląda na przewodniczącego szanownego grona, widzę po raz pierwszy. Nie ma jedynie uroczej pani doktor, która troskliwie prowadziła mnie do porodu, widocznie być tu nie musi.

Lekarze też nie wydają się być zachwyceni moim widokiem. Nie ma żadnego rąsja-rąsia, patrzą raczej na boki, miny takie bardziej zasępione. A, i nie padło, to muszę absolutnie odnotować, nieśmiertelne "comment ca va?". Od razy przystępujemy do rzeczy.

A rzecz ma się następująco: - lekarz przewodniczący wodząc ołówkiem po leżących przed nim papierach, zaczyna referować - autopsja nie przyniosła żadnych rewelacji, nic w zasadzie nie wniosła do wyjaśnienia tej przykrej i jakże smutnej sprawy.

To co zostało ustalone - lekarz zakreśla jakieś zdanie w orzeczeniu z przeprowadzonej sekcji zwłok, a ja zamieram ze strachu, że może zacznie mówić jak to dziecko było duże i silne... i tylko zadusiło się krwią. Ale nie.

Okazuje się, że to co ustalono dzięki autopsji, zebrani tu lekarze wiedzieli już przedtem, właściwie od razu: szczególnie brutalny przypadek porodu z łożyskiem przodującym, gwałtowny krwotok nie tylko zewnętrzny, ale i w głąb pępowiny. Zamykając to jednym słowem - wypadek.

Słowo-definicja przebrzmiało. Rzuciłam się jakby mnie dźgnięto rozpalonym drutem.

Ach, a więc tu jest ta wasza kropka? Tym chcecie mnie splawić, zamknąć usta? Ale nie ustąpię dzisiaj tak łatwo. Nie wyjdę stąd pokornie i potulnie, jak wychodziłam dwa tygodnie temu.

A wasze wyjaśnienie, że był to przypadek jeden na tysiąc, niespodziewany i gwałtowny jak kolizja w ulicznym ruchu, a więc powiedzmy sobie otwarcie, wyłącznie moje fatalne przeznaczenie, osobiste złowrogie fatum, ignoruję, odrzucam, nie wierzę...

Jak to, nie można było tego "wypadku" przewidzieć? A kto próbował, kto zrobił w tym kierunku najmniejszy wysiłek?

Dlaczego, kiedy na dwa dni przed nieszczęsnym porodem alarmowałam prowadzącą mnie lekarkę, że stało się we mnie coś dziwnego, straszego, zlekceważyła sprawę, a jeszcze raczyła mnie zganić, że przesadzam, że się ekscytuję byle czym?

Nie jestem lekarzem, to prawda. Tyle jednak wiem, że jeżeli to było łożysko przodujące, to ono odkleiło się lub może tylko zaczęło się odklejać właśnie wtedy. Kiedy więc byłam przez panią doktor badana, ten wasz "wypadek" nabierał biegu, przyoblekał swój śmiertelny kształt.

I dlaczego w tych wszystkich papierach - drżącą ręką potrącam rozłożoną na biurku teczkę - nie ma wyników zrobionej natychmiast wtedy echografii? Dlaczego - bo nikt mi jej nie zrobił, jasne. Nie sądzę jednak, że tego badania nie znacie, gdyż nawet w Polsce, w nielicznych wprawdzie szpitalach, taką formę kontroli się praktykuje, a więc co mówić - tu.

I mimo że nie jestem lekarzem, wiem jednak, że takie wejrzenie w ciążę, skonsultowanie stanu jeszcze przecież wtedy żywego dziecka mogło wszystko zmienić, zażegnać tragedię. Wystarczyłoby interweniować natychmiast, cesarskie cięcie wykonać dwa dni wcześniej - wcześniej o te fatalne dwa dni. Ale brak dostatecznej uwagi ze strony uroczej lekarki zdecydował o wszystkim. Mimo

śmiertelnego zagrożenia, zostałam wypuszczona jeszcze do domu na te właśnie dwa dni. To ona dała tragedii szansę, aby stała się faktem.

I dalej, znów chyba coś nie w porządku?

Kiedy zgłosiłam się już z "donoszonym wypadkiem", zgodnie z umową, na izbę przyjęć w czwartek, dyżurująca lekarka po przeprowadzeniu rutynowego badania chciała odesłać mnie do domu. A krwawiłam przecież już mocno.

I to był PRZYPADEK, że zostałam w szpitalu. Ach tak, dobra wola sympatycznej dziewczyny w białym fartuchu. Jest faktem, że od lekarskiego badania do momentu rozpoczęcia się tego tak brutalnego, jak twierdzicie, krwotoku nie minęło nawet dziesięć minut. Czemu więc służyło to badanie? I jaki byłby finał "wypadku", gdybym za te dziesięć minut znalazła się poza szpitalem - w metrze, w taksówce, nie wiem, na ulicy?!...

Przebrzmiało ostatnie zdanie tłumaczącego na francuski Andrzeja. Cisza, która zapadła, jest niezręczna, ciężka. Przerywa ją jeden z lekarzy pytając, czy nie zechciałabym napić się wody. Odmawiam, zresztą niechętnie - dobrze by to mi pewnie zrobiło, ale się boję, że w drżącej dłoni nie zdołam utrzymać szklanki.

Lekarz, który przewodzi naszej miłej wspólnej pogawędce, przejmuje inicjatywę i znów próbuje sprawę uklepać, zaszufładować. Zwraca się do mnie ojcowskim tonem, zapewniając, że wszyscy tutaj ubolewają nad tym co się stało, doskonale rozumieją moje rozgoryczenie, mój ból.

Jednak szukanie winnego jest bez sensu, nie powinno być nawet takiej kwestii. Natomiast wydaje mu się słuszne, aby prowadząca mnie przed porodem lekarka złożyła teraz nam wszystkim swoje wyjaśnienie i to jego przeoczenie, gdyż faktycznie ona powinna tu również być. Ktoś wyszedł, aby sprowadzić panią doktor.

W międzyczasie Andrzej jakby mnie usprawiedliwia, tłumaczy. Głównie opisuje jaka się zrobiłam ostatnio nerwowa, jakie mam kłopoty ze snem.

Tu się medycy ożywiają, każdemu słowu przytakują zgodnie, ze zrozumieniem - tak, tak, rozstrój nerwowy. W takiej sytuacji trudno się dziwić. Ale oni wiedzą, co mi potrzebne, najgorliwszy wrywa już z bloczka receptę.

Odbierając z rąk lekarza przepisana litanie lekarstw, mój mąż uśmiecha się dziękczynnie. Nareszcie będzie miał babę spokojną, wyleczoną, normalną. Najwidoczniej moje zszarpane nerwy i jemu na nerwy szkodzą.

I voilf, jest już "moja pani doktor". Wejście robi dystygowane - lekkie skinienia, przyjazne gesty na wszystkie strony. Jest jak zwykle starannie, chociaż za jaskrawo na swój wiek wymalowana, elegancka, tylko jakby mniej szczebiocząca i uśmiechnięta.

Siada, nonszalancko zakładając nogę na nogę, kokieteryjnie poprawia przykrótką spódniczkę. Wyraz skupienia w oczach, uosobienie skoncentrowanej uwagi. Ona naprawdę chce wiedzieć, w czym może być użyteczna, jak mogłaby pomóc w naświetleniu tej smutnej sprawy.

Na pytanie przewodniczącego o przebieg mojej ostatniej przed porodem wizyty, lekarka sięga do przyniesionej koperty, czyta zanotowane wskaźniki: tętno, waga, obwód brzucha, z podkreśleniem - obstrukcja.

A co do interpretacji tych zgłoszonych przez pacjentkę na pewno niemiłych, ale zupełnie niegroźnych sensacji, to uważa, że pacjentka - tu gest w moją stronę - mylnie przypisuje im aż tak katastroficzne znaczenie.

Ona w swoim zawodzie pracuje od lat i wie, że są to bardzo częste symptomy w końcowym okresie ciąży. Według niej, opisane objawy nie miały, nie mogły mieć z tym smutnym wypadkiem nic wspólnego. I przykro jej, będzie się przy tym upierać.

Swoją profesjonalną, opartą na długoletnim stażu (patrz wyżej) opinię lekarka, która z natury rzeczy jest urocza, okrasza przesłanym pod moim adresem współczującym i pełnym wyrozumienia spojrzeniem. Kończąc wyraża nadzieję, że wystarczająco jasno sprecyzowała swój punkt widzenia. Nie bardzo też wie, jak jeszcze mogłaby w czymś pomóc...

Tak, tu się już nic nie da zrobić. Wszystko zostało powiedziane, wyjaśnione. Kolejny raz zadali sobie trud, aby mnie oświecić, przekonać ci znakomici przecież specjaliści, ubolewający wraz ze mną lekarze. I dałam się przekonać.

Wstaję z krzeselka zmęczona jak po ciężkiej walce, którą przegrałam. Wstaję zdruzgotana, pobita. Nic tu dłużej po mnie. Trzeba się jeszcze tylko odwrócić i odejść. I kiedy już jestem w półobrocie ku drzwiom, nagła myśl, pewność ostra jak żądło paraliżuje moje ruchy.

Tak nie może zostać - wszystko wyświetlone, ugłaskane, proste. Nagle uprzytamniam sobie, że moja obecna porażka, wycofanie się bez buntu, bez słowa jakby legalizuje, usprawiedliwia racje, okoliczności śmierci mojego synka. Ta świadomość każe mi się jeszcze zatrzymać, odwrócić do zebranego konsylium i z jakąś dziko wzbierającą, potęgującą się furią wykrzyczeć w te ich bezradne twarze własną bezradną gorycz i agresywną rozpacz - postawić MOJĄ kropkę nad i:

- To wy jesteście winni, to wy jesteście odpowiedzialni! Próbujecie mydlić mi oczy, chowacie głowy w piasek, jak byście się czegoś bali. Śpijcie spokojnie, cóż mogę zrobić w obcym kraju, przy waszym solidarnym kamuflażu ewidentnej dla mnie lekarskiej pomyłki?.. Moje dziecko umarło i nic już tego nie cofnie... A wy śpijcie spokojnie, z mojej strony nic wam przecież nie grozi. I niech tylko te wasze wysoce etyczne sumienia dręczą was, jak mnie dręczy rozpacz. Niech was moralnie obciążą śmierć niewinnego dziecka... To wy... to wy... wy! - wskazującym gestem zakreślam ręką twarze, których już nawet nie widzę. Przesłoniła je ściana łez.

Andrzej patrzy na mnie, nie wiem, czy bardziej przerażony, czy zażenowany. Nerwowo gniecie trzymaną w ręku receptę. Nie tłumaczy tego, co mówię, a raczej krzyczę, na francuski. Nikt go zresztą o to nie poprosił.

* * * * *

Od kilku dni noszę się z zamiarem zatelefonowania do Warszawy do mamy. I to jest dobrze powiedziane, że się noszę, bo jestem trochę jak ta kura, kręcąca się godzinami po podwórku, aby znieść swoje cenne jajko.

Uzbierałam trochę monet, które przyjmuje miejski automat i decyzję właściwie już podjęłam. Wiem też, że to najwyższy czas, że powinnam zadzwonić, gdyż od naszej rozmowy na krótko przed moim pójściem do szpitala nie miałam jeszcze z rodzicami żadnego kontaktu. To znaczy, oni przesłali mi list przez Adama, na który nie odpisałam, nie mogłam.

I teraz też, co podejść do jakiejś budki, to się cofam. Przyglądający się moim zmaganiom Michałek pyta, co to za zabawa, którą wymyśliłam i stwierdza, że to jest śmieszne, fajne - tego popołudnia "zakradaliśmy się" do tylu różnych budek.

A ja po prostu nie mam odwagi. Nie bardzo jeszcze mogę sobie zawierzyć i boję się, czy rozmawiając z mamą, znajdę siłę, aby się opanować, nie rozmazać. A już zupełnie nie wiem, skąd wziąć argumenty, jeśli byłoby trzeba ją uspokajać, pocieszyć. Odwlekanie tego w nieskończoność nic jednak nie da. Jest pusta kabina. Wchodzę.

Wyłuskuję z pamięci numer telefonu do mamy do pracy. Czy będę miała szczęście, czy ją o tej porze zastanę? Mama pracuje na dwie zmiany.

Ułożyłam w kupkę monety, pięciofrankówkę przygotowałam jako pierwszą. Wykręcam numer, kilka nieudanych prób i jest sygnał, serce we mnie zamiera, wrzucony pieniądz zachrząścił, wpadł - połączenie przerwało. Walę pięścią w szklane szybki, szarpię widełkami. Moneta jednak przepadła, jest stracona.

Strofując się w duchu za nerwowy pośpiech i rozdygotane ręce, atakuję automat ponownie już spokojniej. Szczebiotliwy głos nagranej na taśmie pewnie jakiejś idiotki śpiewa, żeby mnie denerwować, że linia chwilowo zajęta i żeby podjąć próbę połączenia za kilka minut. Sterczę więc cierpliwie, wykręcam numer raz za razem. Teraz już nie odejdę, teraz już się zawzięłam.

I nagle jest - zakład pracy, centrala. I tu wszystko toczy się błyskawicznie, a może tylko mam takie wrażenie, patrząc z przerażeniem, jak błyskawicznie topnieje kupka przygotowanych monet. Zanim otrzymałam wewnętrzny - pierwszy był zajęty, podałam dodatkowy, zanim dogadałam się z jakąś nierozgarniętą panią z kim chciałabym rozmawiać, tego wynalezionego przez Bella potwora zmuszona byłam nakarmić aż trzykrotnie.

I nic, mama nie podchodzi. Chyba by powiedzieli, gdyby nie było jej w pracy. Chociaż nie, krzyczę: halo! Nagle czuję, że ona tam po drugiej stronie jest. Słyszę nierówny, zduszony oddech, jakby ciche westchnienie, jak skarga... Bez końca krzyczę to swoje rozpaczliwe, bezradne: haloo!!! I nagle jęk, jęk który zawodzi, woła - to moja mama płacze. Słyszę wyraźnie jej zanoszący się szloch.

Ostatnia z monet stuknęła złowrogo w przepastnej czeluści i jeszcze tylko pozwoliła wykrzyknąć:

- Mamo, nie płacz, odezwij się, błagam! No, nie płacz, Babciu, proszę cię, nie płacz!...

Czerwone migające światełko, chrzęst odciążonego kabla, długi, ciągły sygnał - więcej monet nie miałam.

Z nieodwieszoną słuchawką w ręku stoję jak wryta, jak skamieniała, bez słowa. Chociaż właściwie jestem bliska krzyku, pełna dzikiej agresji, aprobująca w tej chwili zachowanie miejskich wandalii, którzy taką budkę telefoniczną potrafią roznieść w puch.

Przycupnięty obok mnie Michałek, świadek niemej z Warszawą rozmowy, odciąga mnie rozpaczliwie od tego bezdusznego pudła, w którym przed chwilą przepadł, zamarł płacz mojej matki - mój płacz. Przytula się do mnie i usiłując odciągnąć ciężkie drzwi kabiny, szepcze cichutko, prosi:

- Nie płacz, mamusiu, nie płacz. Tatuś da ci więcej pieniążków, jeszcze raz zadzwonisz do babci.

Tak mnie pociesza, gładzi po ręce, chociaż sam też już płacze.

I taka to była ta moja pierwsza po porodzie rozmowa z Warszawą, rozmowa za 22 franki - pal je sześc.

* * * * *

Stłumiony płacz mamy towarzyszy mi w ciągu dnia. Jest jednocześnie skargą, oskarżeniem i prośbą. Zwariuję od tego, muszę wyjść. Łapię Michałka w przelocie - idziemy po tatę. A on zgodnie chociaż po francusku - oui, d'accord.

Ilekcroć zaproponuję wyjście do miasta, Michaś jest chętny, ucieszony. Mimo że w hotelu czuje się już przecież znacznie lepiej, ma kolegów z którymi bawi się godzinami. Brak mu jednak zapewne ruchu na świeżym powietrzu, otwartej wolnej przestrzeni i chociaż chodzi teraz tylko o mizerny spacer ulicami rozgrzanego miasta, on jak zwykle - oui, d'accord.

Idziemy więc po tatę, chociaż w zasadzie dawno już zarzuciłam te sentymentalne zwyczaje z tamtego sentymentalnego, odległego okresu. Ale dzisiaj, niech tam. Muszę wyjść z tego hotelu - pułapki, a zawsze to jakiś pretekst, jakiś kierunek, cel.

I znów na Trocadwro. Jest wczesny wieczór i szczęśliwie dla mnie na ulicach dziwnie mniejszy ruch. Większość mijanych sklepów też zamknięta. To poniedziałek. W Polsce - szewski, pijacki, a tu handlowy, usługowy zastój.

Zamknięte sklepy, kawiarnie to dla mnie tylko ulga, odpoczynek dla oczu. Już nadrażniły moją wyobraźnię, egoistyczną pazerność posiadania, a teraz niech się zamkną, zatrzasną. Niczym więcej mnie nie potrafią zwabić, omamić, kupić te wystawy, choćby najpiękniejsze, ten wielki komercyjny pic, ten oszukańczy blichtr.

Michałek coś do mnie gada, ale nie słucham. Zależy mi tylko na jednym, aby strącić z siebie to rozżalenie, aby zagłuszyć w sobie trwający nadal matczyzny płacz.

Dochodzimy do placu. Widać już ojca w tłumie. Dziarsko maszeruje, wymachując teczką.

- Poczekaj, Michałku, gdzie pędzisz? Tatuś dojdzie do nas.

O rany, oni zwariowali?! Zgłupiał ten Stary od swojej mądrości, czy co? Co oni wyprawiają, przecież wszyscy gapią się na nich?

Na widok biegnącego w jego kierunku Michałka Andrzej puszcza się ku niemu biegiem. I to wariackim biegiem - ramiona rozkołysane, teczką kręci jak łąso, rozchelstana, trzepocząca się marynarka.

Dopadli do siebie, Michał jest już w ramionach ojca. Coś sobie mówią i to jest ważne. Jeszcze nie wiem co.

Wiem tylko jedno, że wzbudzają sensację. Dobrze, że chociaż jestem w bezpiecznym oddaleniu od nich. Chyba się Andrzejek dziś upił, inaczej nie może być.

Przybiegają już do mnie. Gdzieś z odległości trzech metrów biurowa teczka Andrzeja ostrym łukiem wybija w górę, wyraźnie na mnie. Dobrze, że wiem, jak postępować z wariatami. Z zimnym spokojem odsuwam się na bok, aby przeczekać ten napad szału. Tymczasem teczka opada na beton, wysypują się gazety, papiery, a rozpędzeni chłopcy rzucają się i mało mnie nie przewrócą, nie zduszą.

Teraz naprawdę nie wiem, o co chodzi. Z oszalałych wykrzykników gubiących się w ataku śmiechu nie jestem w stanie niczego zrozumieć, wychwycić. A jeden krzyczy przez drugiego:

- Jest zgoda na pracę! Jest zgoda, rozumiesz?! Dali ją w końcu, jest, jest!!!

Nareszcie zrozumiałam, nareszcie do mnie dotarło. Otrząsam z siebie chłopaków, rozglądam się wokół. Jak gdyby mniej mi przeszkadza chciwa sensacji garstka gapiów. Tak, dobre daliśmy widowisko, nic tylko puścić Michałka w ruch z czapką.

Jest to wielka nowina, przyznaję. Nie dziwi mnie żywiołowy entuzjazm chłopców, ich spontaniczna radość. Tym niemniej próbuję opanować sytuację:

- Chodźmy stąd i opowiadaj wreszcie spokojnie.

Schylam się, aby podnieść otwartą teczkę. Michałek wrywa mi ją z rąk upierając się, że będzie ją niósł do domu sam. Przyciska ją gorączkowo do piersi jak gdyby czarnej pełnej papierów aktówce zawdzięczał tę szczęśliwą chwilę.

Idziemy i Andrzej opowiada, że pan Legrand otrzymał dziś późnym popołudniem telefon z Ministerstwa Pracy. Wiadomość nie jest jeszcze oficjalna. Dokument został podpisany, ale musi jeszcze przejść przez kilka biur; zwykła administracyjna kolej rzeczy.

Najważniejsze jednak, że jest ten podpis, jest zgoda. Teraz to tylko kwestia czasu. Jean, który zna tutejszą biurokratyczną opieszałość ostrzega, że może przyjdzie czekać ponad miesiąc, w najlepszym razie dwa tygodnie.

Rozsądniej więc będzie na razie jeszcze się z nikim tą wiadomością nie dzielić. Licho nie śpi, lepiej na zimne dmuchać i do Michałka:

- Słyszysz, syneczku, ani mru, mru twoim kolegom, że tatuś dostał zgodę na pracę, pamiętaj.

Michałek potakuje przejęty jak ważne i trudne powierzono mu zadanie. On by tak bardzo przecież pragnął podzielić się tą wielką nowiną natychmiast i ze wszystkimi. Tyle razy dzieci z hotelu nagabywały go, męczyły pytaniami co robią, na co czekają we Francji rodzice. A on nie wiedział, co im odpowiedzieć, więc tylko wyjaśniał, że jego biedna mamusia była bardzo chora.

A teraz taką wspaniałą mógłby dać odpowiedź - tatuś będzie pracował we Francji i on już tu zostanie na zawsze i bardzo, bardzo się z tego cieszy. Ale by mu zazdrościły dzieciaki i jaki byłby ważny. A tu nie wolno, szkoda.

Tak sobie myśli Michałek. Podskakuje jednak radośnie, kręcąc się nam niemilosiernie pod nogami i objając o ziemię za ciężką dla niego tęczką. Nic nie jest w stanie zgasić tej spontanicznej, dziecięcej radości.

Patrząc na jego tak ożywioną, szczęśliwą w tej chwili twarzyczkę rozmyślam o tym, ile w ostatnim okresie przecierpiał, przeszedł. Co kryje ta mała główka? Co rozumie z naszego dorosłego życia, czego oczekuje, na co liczy?

Przychodzą mi na myśl zabawy w kapsle i moje dawane sobie w duchu obietnice, jak mu to przy zmianie losu na lepsze osłodzę, wynagrodzę i ponieważ przechodzimy właśnie obok naszego sklepu, skręcam w jego kierunku, a do Andrzeja mówię:

- Dostałeś dla siebie tę zgodę na pracę - kup dzieciakowi zabawkę.

Teraz dzieciak dostał kompletnego amoku, lata jak oszalały po sklepie. Stwierdzam ze zdziwieniem i z niejaką zazdrością, że on się tu czuje jak u siebie, bez kompleksu, zupełnie swobodnie.

Wszystkie kolejno brane do ręki samochodziki, pistolety, statki z powrotem wędrowały na półkę, a "solenizant" (sam stwierdził, że dzisiaj są w takim razie jego dodatkowe imieniny) przeszedł do... słodczy.

Zaskoczyło mnie to, gdyż mimo coraz skromniejszych pieniężnych zasobów, chcąc mu wynagrodzić czekoladowy niedobór w Polsce, często kupuję różne łakocie. Ale tu nie chodziło o cukierki. Chociaż właściwie wybrał cukierki, jakieś drażetki zapakowane w malutkie tekturowe pudełeczka. I to właśnie te pudełeczka były takie ważne. Bo każdy kolorowy kartonik to jakiś kawałek kosmosu: planety, pojazdy, dziwołagi. Tylko Michałek wie, co to jest.

I gdy tak patrzę na synka, który teraz dumny, rozpromieniony podaje kasjerce swoje pierwsze "cadeau" (prezent), przychodzi mi do głowy, że zapewne i on tu wiele

przeszedł, długo czekał, teraz jednak wygląda tak, jakby za to wszystko otrzymał pełne zadośćuczynienie. A ja?...

Staram się nie analizować swych uczuć, nie definiować mojej reakcji na tę wielką nowinę, która spadła niespodziewanie, jak przysłowiowy grom z jasnego nieba. Uważam tylko, aby nieostrożnie nie zgasić, nie zepsuć mężczyznom ich radości. Jeszcze nie wiem, nie chcę się zastanawiać, czym dla mnie jest, jak zaważy na moim życiu czyjś podpis, to czyjeś wielkoduszne "tak".

Jedno jest pewne, że dałam się tej nowinie zaskoczyć. Jakbym już więcej nie czekała, nie myślała, nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek może przyjść. Zaskoczenie tak silne poraziło inne odczucia, zamroziło zdolność reakcji, oceny. Przez resztę dnia docierało do mnie jedynie - taka decyzja zapadła, jest.

W tej duchowej drętwoce z trudem dotrwałam do końca tego "szczęśliwego dnia". Chłopcy już śpią. Teraz nareszcie mogę wszystko spokojnie przemyśleć i po swojemu zmierzyć się z tą "wielką nowiną". Wtulam twarz w ciepło poduszki, przymykam oczy. Myśli wirują i krzyczą w mojej głowie...

Jakie to wszystko dziwne, dziwne i niesprawiedliwe.

Kiedy byłam gotowa dać wiele za marny cień nadziei, szansy pozostania tutaj, w tym kraju, ze wszystkich stron padało bezwzględne "nie" lub pełne rezerwy - "czekajcie". I byłam gotowa czekać, walczyć i prosić długo. Tak długo, ile trzeba - do skutku, mimo i być może dlatego, że chodziło o egzystencję dwojga moich dzieci. Lecz naszemu Maluszkowi nie dane było niestety urodzić się, by żyć tu, we Francji, która miała być dla nas wszystkich wyśnionym cudem, tęczą naszego losu i rajem.

I co z tego zostało? Tęczę wypilo mordercze słońce, cud okazał się złudą, a raj u nie ma, a już na pewno nie na ziemi. Po co więc teraz ta nowa niby Wielka Szansa, jakim kolejnym złudom i zasadzkom losu ona służy?

Czekaliśmy na nią tak niecierpliwie, tak długo. Ta decyzja miała zmienić przecież wszystko. A czy mogła? Wiem dobrze, że nie. Więc we mnie nie będzie, nie może być z powodu tego łaskawego "tak" radości, a w świetle tego co zaistniało, chyba nawet wprost przeciwnie.

Ta decyzja - furtka, możliwość, gwarancja kazała czekać na siebie za długo, przyszła za późno i być może to zabrzmiało jak paradoks, ona przyszła po prostu niepotrzebnie.

Kiedy w ciągu tych ostatnich tygodni nic się nie zmieniało, nie działało i te wszystkie "życiowe decyzje" zawisły bezwładnie w urzędach, kiedy już i Andrzej zaczął poddawać się zniechęceniu, wątpieniu, w duchu się cieszyłam. Wyobrażałam sobie, że jeszcze tylko skończy tłumaczenie, wyrwie te trochę grosza i - nic tu po nas, wracamy do siebie, spróbujemy raz jeszcze, ale tam.

I dlatego ta zgoda przyszła jak na złość i nie w porę, bo jest to jednak jakaś pokusa, jak dla psa kawałek ochłapu przywiązany do sznurka, jak obiecujące, zwodnicze śpiewy nocnych nimf. Ale już się nie dam oszukać, omamić tej niby romantycznej idei nowego życia, życia zrekonstruowanego w pięknym, cywilizowanym, zachodnim świecie.

To tylko fasada, za którą nie kryje się nic innego, jak twardy i bezwzględny pieniądz. Dobry frank, mocny dolar, w Polsce ma swoją wartość złotówka. Jeśli mamy jeszcze zawalczyć o swoje życie, niech ta walka rozegra się tam. Tylko ten Michał...

Znów widzę kochaną, uszczęśliwioną twarzyczkę. Wszystkie cukierki połknął jak indyk już dzisiaj, aby mieć jak najszybciej swój kosmos, to swoje espace.

Mój Boże, gdyby nie tamto, gdyby to wszystko się nie stało, jakże bardzo moglibyśmy być teraz szczęśliwi. A tak...

Przekręcam się na drugi bok, poduszka przy policzku jest już zupełnie mokra od łez.

* * * * *

To już październik, nie czuje się jednak jesieni. Dnie są słoneczne, pogodne, na drzewach wśród zielonego nadal listowia gromady śpiewających ptaków. Dziwny to kraj Francja, nawet pory roku są tu jakieś inne, poprzesztawiane.

I tylko nastrój mojej duszy, to co mnie przepelnia i przygniata, a wieczorami przelewa się płaczem, jest jesienią. Ze swoją nostalgią, wilgotną pomroką i tęsknym smutkiem pożegnania zagnieżdżyła się we mnie i jest - ta moja prywatna, osobista jesień.

A życie toczy się swoim biegiem. Wyłączając mnie pogrążoną w tej dziwnej melancholii, wszystko idzie teraz jakoś prężniej, bardziej zdecydowanie, czuje się kierunek i rytm.

To tak jak gdyby łódź zagubiona wśród morza odnalazła wreszcie upragniony brzeg. Jeszcze tylko precyzyjne ustawienie steru, ostatni wysiłek ludzkich ramion i wędrówka pełna niebezpieczeństw, ryzykowna przygoda skończona, gdyż pod stopą jest już twardy, pewny grunt.

Tak poczuł się Andrzej. Po otrzymaniu wiadomości, że zgoda na pracę jest już zatwierdzona, choć nadal musiał jeszcze czekać, wstąpił w niego zupełnie nowy duch. Nabral energii, poweselał, na oko zdecydowanie odmłodził. Na mające się podobno ku końcowi tłumaczenie rzucił się teraz z dziką pasją. Przelicza w kółko tę marną resztkę pieniędzy, które zostały, sumuje je w wyobraźni z tymi, które dopiero mają nadejść. Jemu pieniądze są teraz potrzebne - on będzie wynajmował mieszkanie.

Decyzję tę podjął z dnia na dzień, stwierdzając, że hotel jest za drogi. Nie ma sensu dłużej przepłacać, a zresztą nagnietlił się tu już dosyć.

Rozповідаła teraz wokół, że szuka niezbyt drogiego samodzielnego mieszkania i co było do przewidzenia znajduje w naszym hotelu masę doradców, informatorów. Najgorsze jednak, że pod nieobecność Andrzeja przychodzą oni z tymi lokalowymi rewelacjami do mnie. A ja stoję od tej decyzji z boku.

Nie powiedziałam - tak, bo nikt mnie o zdanie nie pytał. Nie powiem też pewnie - nie, gdyż jeśli nie wracam do Polski, to muszę gdzieś się przecież podziąć. A więc jeśli przyjdzie się przeprowadzać, potulnie spakuję walizki.

W ogóle w tym ostatnim okresie pukanie do mojego pokoju rozlega się często. Eleganckie panie, współmieszkanki hotelu, dotąd dla mnie niewidoczne, a jeśli już, to nieme, wstępują teraz na słówko, zapraszają na kawę, proponują wspólne zakupy lub spacer.

Panowie przychodzą raczej w interesach, albo jak to się mówi po poradę... Jaki materiał kupić teściowej w prezencie... czym ucieszyć czteroletnią córeczkę... żona kazała kupić depilator i krem przeciw zmarszczkom - tylko jaki? I oni z tym do mnie, bo jeśli już jestem i kobietą, i matką, a mam też pewnie teściową, to wszystko rozumiem i potrafię pomóc. I pukanie rozlega się często.

Może nareszcie doceniono jacy to z nas sympatyczni i "na poziomie" ludzie, godni zaufania. Albo może inaczej... To tak jak gdyby w tym polonijnym schronisku rozeszła się fama, że ci z pokoju 21 się wynoszą, a więc COŚ sobie załatwili, a więc się im powiodło. I stąd ta nagła popularność - z takimi co potrafili się tu zaczepić na stałe, kontakt nigdy nie zawadzi.

Zaliczam więc różne pogaduszki, kawę pijam w towarzystwie, jeśli mogę pomóc czy poradzić, skwapliwie pomagam i radzę. A wszystko to robię w pełni przekonana - trzeba żyć z ludźmi, jeśli oni chcą z nami żyć.

Kiedy pan Zdzisio prosił mnie, abym weszła do niego na sekundkę, poradziła mu i pomogła, był cały roztrzęsiony, bliski łez. Wyjeżdżał już nazajutrz, a jeszcze zupełnie, ale to zupełnie nie był spakowany.

Lubiłam pana Zdzisia, mieszkał tu równie długo jak my, poszłam poradzić mu w kłopotcie. Ale to, co zobaczyłam, kazało mi zwątpić w moją w tym zakresie możliwość.

Cały pokój zavalony najprzeróżniejszym towarem wyglądał jak wielobranżowy sklep w miniaturze, wielki stragan ze wszystkim: żyłki, mydła, rajstopy, czekolady, materiały, konfekcja damska i męska, a i jeszcze proszek do prania, pieluszki i mleko w proszku, bo pan Zdzisio miał w kraju sześciomiesięczne dziecko.

Wszystko to były tak zwane towary deficytowe, towary, których chwilowo na naszym krajowym rynku brak. I bardzo dobrze, niech wspomóż rodzinę troskliwy i zapobiegliwy pan Zdzisio, tylko jak to spakować, zabrać? Tu trzeba cudotwórcy.

Szczera była moja sympatia dla tego chłopaka, walczyłam dzielnie u jego boku z tym wyjazdowym majdanem blisko cztery godziny. Zorganizowaliśmy jeszcze dwa kartonowe pudła, wzmocniliśmy walizki dodatkowymi rzemiennymi pasami na wypadek, gdyby miały pęknąć w szwach. Pozostawał jednak dalej słaby punkt i był nim tak zwany bagaż podręczny, bo pan Zdzisio miał do zabrania "przy sobie" poza aktówką, teczką i aparatem fotograficznym jeszcze duże pudło z lalką (pudełko takie ładne, że szkoda wyrzucić), pięciokilową pakę z proszkiem do prania, siatkę z owocami i nie dający się nigdzie upchnąć zapas pieluch jednorazowych.

Przyszły dobroczyńca chodzi, a raczej rzuca się po pokoju jak lew po klatce, obwieszając się cennymi podarkami w różnych kombinacjach, zestawach. Przybiera też miny beztroskie, turystyczne, odprężone, trenując tak przejście przed podejrzliwymi celnikami. I jeszcze oczekuje ode mnie, abym zdecydowała, orzekła, które "wejście" jest najbardziej swobodne - bezpieczne.

Wybrałam, niezbyt przekonana, jeden z proponowanych wariantów, ale raczej, żeby się chłop dłużej nie dręczył, aby zaprzestał tę beznadziejną walkę.

Kiedy jednak już przy porządkowaniu pokoju pod bezładnie leżącym na łożku pledem, odkrył pan Zdzisio jeszcze niezapakowaną, a sporą górkę atrakcyjnych w Polsce towarów, i mnie opadły ręce.

Widząc jego zrozpaczoną minę, gdy poprosił, abym coś z tych cudów od niego odkupiła - sprzedała po cenie zakupu, a mogę być pewna, że wyszukał towary jak tylko można najtaniej, uległam. Wybrałam kilka kuponów materiału (i po co mi materiał?), trzy szampony i dwa opakowania mydeł, w każdym po sześć kostek.

I gdy przy pożegnaniu dziękował mi pan Zdzisio za pomoc w pakowaniu - to jedno, ale i za ulżenie mu w pozbyciu się tego, można powiedzieć, towarowego balastu, przyszło mi nagle do głowy pytanie.

Czy ja nabywając te przeznaczone do Polski zbytki, miałam intencję komukolwiek i w czymkolwiek pomóc? Czy też czasem nie chciałam sprawdzić starej babskiej dewizy - masz chandrę, źle się czujesz, wydaj pieniądze, kup coś. Czy nie szukałam egoistycznie sposobu, aby pomóc sobie?...

* * * * *

Dziś wieczorem wrócili z winobrania chłopcy.

I to już nie było pełne kwoczej troski przywiezienie ich z dworca do domu. Przyjechali niespodziewanie, wpadli nagle, wysypali się do pokoju pełni wrzawy, wesołego entuzjazmu dla pracy i wartości waluty, waluty zwanej frank.

Opowiadali jeden przez drugiego, jak to się tego, co przeżyli, nie da opowiedzieć. I było bombowo, i było szampańsko, a zarobili - tu sza... A jakie żarcie -

wesele w hotelu Victoria! I tak codziennie, dwa razy dziennie, bo na początku trochę kiepsko było ze śniadaniami.

Petit dwjeuner (małe śniadanie), wie każdy Francuz, to sympatyczne, delikatne, można powiedzieć, takie muśnięcie, podrażnienie szykującego się do południowej batalii żołądka - kawka z mlekiem lub bez, cukier lub może się obyć, kawałek bagietki, a w niedzielę rogalik.

Ale z czym do Polaków? Nawet Boguś, który jedząc, dużo mówił, od pierwszego posiłku wstawał głodny. Natomiast z Adasiem, który miał wilczy apetyt, było zupełnie fatalnie. Wprawdzie nie miał o czym rozprawiać przy stole, ale też i jeść na to petit dwjeuner w ogóle nie było co. Wstawał od stołu głodny, rozdrażniony, a tam czekały winogronowe kiście, przy których trzeba będzie ganiać bez przerwy aż do południa.

Nie mógł się patron, chłop cholernie sympatyczny, szczery, dopatrzeć przyczyny, dla której jego dzielni Polackowie, w odróżnieniu od obiadu i kolacji, podczas śniadania mają takie smętne, zawiedzione miny. Musiał się w końcu wziąć Boguś na odwagę, aby wyjaśnić nabrzmiały problem. Musiał, bo z Adamem było coraz gorzej.

I proszę - proste nieporozumienie, drobna różnica stylów życia, małe niedotarcie się dwóch różnych systemów. Już od następnego ranka wszystkie resztki kolacyjnych kiełbas, serów, pasztetów stawały na stole obok kawy. Teraz chłopcy byli zadowoleni, pracowali jeszcze lepiej.

- Bo obiady, Magda, kolacje - tego nie dawało się przejeść. Sterty jedzenia, które pochłanialiśmy jak wilki. Wojsko można by naszymi porcjami wyżywić. Dla winiarzy winobranie to nie tylko największa w roku harówka, lecz również wielkie święto i to się czuje. Pompa całą gębą. Mieliśmy kupę szczęścia, by się na taki fete załapać. A te wina i to jakie! - wyliczają nic mi nie mówiące roczniki.

- I szampan, gdzie są szklanki? Przywieźliśmy, bo dali go i dla was. Każdy z nas też dostał po butelczynie do kraju. Będzie jak znalazł na Nowy Rok. A tam pić te delicje można by właściwie do oporu. Tyle, że się nie bardzo kalkulowało. Wstawało

się bardzo wcześnie i przez osiem godzin nieźle się trzeba było koło tych winogronek nakrzętać. Nawet i bez "buteleczki" do poduszki zmęczenie dawało się we znaki.

Pijemy przywiezionego przez chłopców szampana. Mimo że jest trochę cierpki, chwalebny. Pewnie jak ze wszystkim ostatnio, ta gorycz jest nie w tym winie, lecz we mnie. I jeszcze tylko dla zasady, jak do protokołu pytam: na ile orznął ich ten patron - dobroczyńca, jak się na ich pracy obłowił?

- Kapitalistyczny wyzyskiwacz, oszust? Ktoś źle nakładł ci do głowy, siostrzyczko. Ten winiarz to najuczciwszy i najsympatyczniejszy człowiek pod słońcem. Zapłacił nam według aktualnej, oficjalnej taryfy, zwrócił za przejazd, i to w obie strony. I jeśli tylko poznał się na nas, zechce nas wziąć za rok, to będzie w dechę - i za to wypijmy.

Nic już nie rozumiem. Wszystko się gmatwa w mojej głowie.

Tam, gdzie oczekiwałam krwiopijcy, każą mi zobaczyć człowieka interesu, ale sympatycznego i przede wszystkim uczciwego. Tam, gdzie od najbliższych spodziewałam się oparcia i zrozumienia, trafiłam na obojętność, bezradność. Może nawet i nie zostałam odepchnięta, lecz pozostawiona samej sobie.

Co dzieje się z moją zdolnością oceny, interpretacji sytuacji i zdarzeń, dawniej przecież niemal odruchową, automatyczną, a najczęściej sprawiedliwą i trafną? A teraz pomyłki, wszystko się pogmatwało. Już nie wierzę własnym opiniom, sądom. Nie wierzę sobie samej.

A wokół mnie ludzie, którzy twardo stoją na ziemi, którzy wiedzą czego chcą, do czego dążą. I to się im chwali. Wśród nich czuję się źle. Jestem "inna", a więc "nie w porządku", jeszcze bardziej zagubiona, zagrożona.

Więc się oddalam. A ściślej, się cofam, zamykam. Wiem, że banalne będzie przytoczenie tu metaforycznego ślimaka, ale właśnie on chowający się w głąb swej skorupki po prostu mi się narzuca. Tylko, czy tam - w głębi siebie znajdę ukojenie, bezpieczeństwo i spokój, czy jedynie zniewalający czarny wir myśli, który się stanie szaleństwem?

I jeszcze ten lęk. Też już nawet nie wiem, czy to jest dobrze użyte tu słowo. Bo to nie jest taki jednoznaczny i w prosty sposób uzasadniony strach.

To, co czuję, jest jakby przecuciem nieszczęścia, bezprzedmiotowym niepokojem, nieuzasadnioną sytuacyjnie trwogą. Taki irracjonalny lęk przed tym co może, a ściślej, co sobie wyobrażam, że mogłoby się stać.

* * * * *

I stało się. Nazajutrz rozchorował się Adam.

Wstał rozpalony, rozbity, nie mógł przełknąć nawet kawy, tak strasznie bolało go gardło. Wyglądał jak zbity pies. Nie ma dwóch zdań, ścięło go z nóg.

Dałam mu akron do ssania, poradziłam płukanie gardła solą. Więcej pomysłów nie miałam. Nawet się zbytnio nie zdziwiłam. Pomyślałam - angina, mógł przeziębic się w drodze.

Z godziny na godzinę było jednak coraz gorzej. Mój braciszek nie mógł już wymówić nawet słowa i tylko na migi pokazywał, że w gardle ma ognistą kulę, piekło.

Po powrocie Andrzeja polecili do najbliższej apteki. Farmaceuta wysłuchał z uwagą, potakiwał ze zrozumieniem i ogłupiałemu z bólu Adasiowi wręczył pudełeczko pastylek do ssania. Po kilku godzinach wysawszy trzy czwarte zawartości pudełka, chory zorientował się, że zakupiony lek nie pomoże. Poza bólem

gardła wystąpiła wysoka gorączka. Trzeba więc było na gwałt szukać apteki otwartej do późnych godzin wieczornych.

Adam nie dowierzając elokwencji szwagra sam wpychał się za kontuar i otwierając szeroko usta, przekonywał aptekarza, że bardzo jest mu potrzebny jakiś naprawdę silny środek. Otrzymał znowu pastylki i też do ssania, tyle że znacznie droższe i w innym co poprzednie kolorze.

Ssając cukierki Adaś dotrwał do rana. I tak dziw, że nie umarł, bo strasznie przeklinał i jęczał. O świcie chłopcy zaatakowali apteki jeszcze raz.

Demonstrując opróżnione opakowania po orzeźwiających cukierkach, Adaś wymownie i zdecydowanie wskazywał na stojący w kącie kosz na śmieci. Poza tym błagał o litość.

I tu się zmieniło. Żadne pastylki, najnowszy, rewelacyjny środek, niestety dosyć drogi - i były to... czopki. Farmaceuta radził wziąć dwa opakowania. Adaś zapłacił, zapłaciłby i więcej. Chodziło o to, aby przeżyć.

Nie było jednak dane temu nadzwyczajnemu francuskiemu lekarstwu sprawdzić się na organizmie Polaka. W zmęczonej bardzo wysoką gorączką głowie nie mógł niestety biedny Adaś dociec związku między gardłem, w którym sterczy mu świństwo, a zapchanym jakąś parafiną tyłkiem. Płacząc i złorzecząc odstawił cudotwórcze czopki na półkę.

Tym gorzej dla niego. Leży więc dalej i płacze, że jak ma umierać, to zanim wyda w tych francuskich aptekach wszystkie zarobione pieniądze, wolałby wrócić jak najszybciej do kraju.

Już on tam będzie wiedział, co robić. Tam go na pewno wyratują, wyleczą. Racja. Te majaki rozgorączkowanego brata uprzytomniły mi, że jak dotąd nie pomyśleliśmy nawet o fachowej pomocy lekarza.

Poza moim szpitalem, do którego zresztą nas skierowano, nie mieliśmy do czynienia z francuską służbą zdrowia. I diabli wiedzą, jak to działa. Do kogo się zgłosić, bo mniejsza już, ile zapłacić?

Dziwne też, że pracownicy paryskiej farmacji niczego w tym względzie nie zasugerowali, nie poradzili zgłaszającemu się do nich choremu chłopakowi. Ale ten chory to nie pacjent, to klient, który kupi, bo musi, każde "cudowne" świństwo, jakie się przed nim położy na ladę. A że nie przynosi recepty od lekarza, że otwierając usta, prosi o coś tam ogólnie - tym lepiej, już oni mają lekarstwa, które mogą mu sprzedać.

I tak to chyba działa. Zdzierstwo i wykorzystywanie ignorancji chorego. Obrzydliwe. Muszę to jakoś ugryźć po swojemu. Schodzę do kuchni.

Wiedziona siostrzaną troską robię tam szczegółową ankietę, starając się wysondować, gdzie może znaleźć pomoc lekarską przebywający we Francji turysta z Polski.

Niemal wszyscy są zgodni, że turysta nie powinien chorować. Tak jest najrozsądniej. Jednak na wszelki wypadek każdy przywozi ze sobą dobrze wyposażoną apteczkę. Mają lekarstwa na nerwy, na rozstrój żołądka i oczywiście przeziębienia, grypy. Błahe choroby leczą sami. Nie są w stanie pomóc w poważnej, "gardłowej sprawie" Adasia.

Chyba, żeby pan Jurek. Nawet mieszka na tym samym co i my piętrze, poważny chłopak, student IV roku weterynarii. Może on coś poradzi, pomoże. Wprawdzie to weterynarz, ale zawsze medyk. Wołam więc do Adasia pana Jurka.

Przyleciał z latarką, wstrząsnął się na widok chorego gardła. Postawił diagnozę - koński ropień. A potem nie dał się powstrzymać. Jedyne, co można zrobić, mówił, to... chlast, chlast. Odtrącałam jego ręce od szyi Adasia, a on coraz bardziej się podniecał, uparcie powtarzał - chlast, chlast.

Widziałam już w wyobraźni pana Jurka, jak w mojej białej podomce oporządza gardło nieszczęsnego brata. Udało mi się jakoś wyrzucić go za drzwi. Trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że nie pomylił się co do diagnozy ów specjalista od psieków i krówek.

Ale szczęśliwie do zabiegu nie doszło, gdyż Adasia uratował nie skalpel, lecz antybiotyk przywieziony z Polski przez mieszkającą w hotelu lekarkę. A lekarką tą okazała się mama Marka, z którym tak często bawił się Michałek, pani Basia.

Znałam panią Basię, przegadałyśmy przy kawie trochę czasu. Nie przypuszczałam, jaką kiedyś odda mi przysługę. Nie wiedziałam nawet, że jest lekarką. Takie są w hotelu z ludźmi kontakty, oparte na rozmowach o niczym.

Już po kilku godzinach od wzięcia antybiotyku gorączka zaczęła spadać, wieczorem Adaś przełknął kilka łyżek jogurtu, a po czterech dniach pił jak gdyby nigdy nic schłodzone piwo.

* * * * *

Mijają tygodnie. Jesień przyszła nagle zagniewana, złowieszcza z brudnym deszczem lejącym się niemal bez przerwy ze stalowego nieba, z zimnym przenikliwym wiatrem, błotem rozmiękłych na ulicach liści.

Nawet przyroda jest zwodnicza, jest przeciwko mnie. Bo gdzież ta jesień pełna złota, brązu i miedzi, z tęsknym babim latem, nastrojem pogodnego wypoczynku, z lasami i sadami oddającymi hojnie swe owoce, z widokiem wiejskich pastuszków piekących w ognisku ziemniaki?

Jedynie dobrodziejstwa jesieni: grzyby, orzechy, owoce prezentowane w sklepach w przepastnych koszach, na wielkich tacach mogłyby przypomnieć, jaką aktualnie mamy porę roku. Chociaż i to nie.

Tu jest dobrobyt permanentny, a nie sezonowy i wszystkie towary panoszą się na sklepowych ladach bez względu na porę roku. One tu są cały rok. Maliny i truskawki są nadal i to nie mrożone - świeże; śliczne, dorodne jak prosto z krzaczka.

Maleńka łubianeczka kosztuje ponad 20 franków. Kto je zatem kupuje i jak smakują, nie wiem.

A, i dekoracje wokół - tu jest pełna jesień. Wystrój sklepów i ulic jest zawsze aktualny, a nawet pojawia się z wyprzedzeniem. Dekoratorzy - plastycy to fachowcy, idą łeb w łeb z kalendarzem. I o kasztanach pomyślą pękających w swej krasie, o dziupli wiewiórki pełnej złocistych orzeszków, potrafią utkać z kartonu całe kobierce kolorowych liści. Ale pastuszka to nie widziałam, o.

Chodziłam sobie kilka ostatnich dni wśród tej wyczarowanej przez artystów - plastyków jesieni i się martwiłam. O powody do zmartwień u mnie nigdy nie trudno, ale teraz zbliżały się przecież urodziny Michałka.

Co do prezentu, nie było problemu, chociaż nawet i to nie będzie, jak zawsze się starałam, niespodzianką. On przecież MUSI dostać klocki "Lego". Co innego bardziej mnie niepokoiło.

Jak uczcić ten dzień, aby było sympatycznie, odświętnie w warunkach hotelowego życia, gdy sama czuję się podle, gdy musi zabraknąć tych, którzy przy tej okazji zwykle z nami byli?

I tu znów Odile - nasza dobra wróżka wyszła jak z kart książki, aby rozproszyć smutki życia.

Zadzwoiła do Andrzeja przedwczoraj, kiedy pracował w biurze pana Legranda, proponując, abyśmy przyjechali do nich najlepiej dwudziestego pierwszego, a więc dzisiaj, jako że są po temu aż dwa ważne powody, dwie okazje.

Pierwsza to urodziny Michałka. Ma nadzieję, że dobrze zapamiętała ich datę. Oni wszyscy tak bardzo chcieliby święcić, obchodzić tę uroczystość z nim razem, a taką gromadą jak ich rodzina nie mogą przyjechać do hotelu. Ciasto urodzinowe ona przygotuje, niech Magda się o nic nie martwi. Najważniejsze, abyśmy dostarczyli solenizanta. Kiedy Andrzej dziękował za pamięć, za zaproszenie, Odile zapewniała, że to dla nich prawdziwa przyjemność.

Drugi powód był innej natury i tu aż Andrzej podskoczył na krześle. Znając jego zamiar wynajęcia mieszkania, Odile rozpytywała ludzi na prawo i lewo. I dowiedziała

się o czteropokojowym apartamencie, który mógłby nas zainteresować. Cena wynajmu jest niezbyt wysoka, 1500 franków miesięcznie. Mieszkanie będzie wolne dopiero za trzy tygodnie, ale ona już rozmawiała z dozorcą i moglibyśmy pojechać je obejrzeć, zanim zaczniemy święcić urodziny Michałka.

Jedziemy więc do państwa Legrandów zaraz po wczesnym obiedzie. Andrzej jadł z nami, wraca teraz z biura wcześniej. Twierdzi, że zostały mu już tylko drobne poprawki. Powinien skończyć to tłumaczenie w przeciągu najbliższych dni.

Wsiadamy do pociągu. Jesteśmy podnieceni wszyscy troje, z tym, że każdy z innego powodu.

Andrzej nie myśli i nie mówi o niczym innym jak wspaniałej okazji z mieszkaniem. Zorientował się już, jak trudno znaleźć w Paryżu, a nawet i w okolicy coś "do zamieszkania" w przystępnej cenie. Cena, o której wspomniała Odile, jest naprawdę bardzo atrakcyjna. Martwi się teraz tylko, czy cała sprawa nie weźmie w łeb wskutek braku karty pobytu i świadectwa zatrudnienia.

Michał zawsze żywotny, ruchliwy, nie może usiedzieć na ławce. Ma to swoje miejsce przy oknie, ale co chwilę się podrywa, depcząc nam niemiłosiernie po nogach. Najchętniej biegałby w tę i z powrotem po przedziale. I pyta bez końca, kto będzie u państwa Legrandów, kto jest zaproszony i o której się zacznie. On zawsze lubił u nich bywać, a dziś jedzie tam przecież na swoje urodziny, swoje wielkie święto.

Też jestem niespokojna, gdyż będzie to moje pierwsze spotkanie z tymi ludźmi po wyjściu ze szpitala. Raz nawet zapraszali na obiad w niedzielę. Ukrywając to zaproszenie przed Michałkiem, wymówiłam się jakąś niedyspozycją na zdrowiu. Przyczyna tkwiła w czym innym.

Bardzo lubię Jeana i Odile i jestem im niesłychanie wdzięczna. Tylko że tak to się wszystko zmieniło, skomplikowało. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Sama siebie nie rozpoznaję. Jak gdyby boję ludzi, którzy znali mnie przedtem - szczęśliwą, ludzi będących świadkami mojej tragedii. Nie rozumiem dlaczego, ale ta świadomość mi

przeszkadza. Może to kiedyś zniknie, może się załagodzi, wyrówna. Mam nadzieję, gdyż z takim nastawieniem ciężko byłoby mi żyć.

A wdzięczność moja za to, co dla nas zrobili, jest szczerą i bez granic. I wioząc dzisiaj dla nich prezenty już trochę "bogatsze" od poprzednich, wiem, że nie jest to wystarczająca forma podziękowania. Za czyjeś serce i dobrą wolę można odplacić jedynie tym samym. I tylko życie pokaże, czy będzie mi dana ku temu okazja, kto wie?...

Jesteśmy na miejscu. Odile czeka na nas przed dworcem. Miłe i jak zwykle bardzo serdeczne powitanie. Michałek wpada w wyciągnięte ku niemu ręce, Odile przygarnia go czule. Mnie życzliwie strofuje, że aż tak zmizerniałam, schudłam. Już sam widok tej pięknej, wysokiej kobiety o twarzy ciepłej, wyrazistej i szczerzej wpływa na mnie kojąco, każe zniknąć upartym wątpliwościom i lękom.

W samochodzie Odile opowiada o mieszkaniu, które jedziemy oglądać, jak jest usytuowane, od czego daleko, a do czego blisko. Miasteczko jest podobne do tego, w którym mieszkają Legrandowie, około 25 minut jazdy pociągiem do Paryża. Osiedle mieszkaniowe położone jest z dala od centrum miasta. Byłby więc problem z dostaniem się do dworca kolejowego. Jeśli się nie ma samochodu, pozostaje tylko lokalny autobus. Za to przedszkole, szkoła i duży ładny park są tuż obok nowoczesnego, świeżo otynkowanego budynku, który nam Odile wskazuje. Ładnie tu i trochę podobnie do typowego warszawskiego osiedla. Może dzięki temu mogłabym czuć się w tym francuskim mieszkaniu dobrze?

Wchodzimy. Najpierw rozmowa z dozorcą czy zarządzającym lokalami. Odile naświetla sytuację Andrzeja, podkreślając, że będzie pracował w banku. Będzie to zatem praca pewna i dobrze płatna. Oznajmia też, że ona wraz z mężem są gotowi pełnić rolę gwaranta.

Pan dozorca słuchał uważnie. Uważnie też obejrzał dokumenty Andrzeja, o które nie omieszkał poprosić. Wyciągnął dużą księgę, by wpisać potrzebne dane. Pozwolił obejrzeć mieszkanie natomiast uprzedził, że decyzję w tej trudnej, nietypowej sprawie podejmie paryska agencja. Ludziom bez stałej karty pobytu, karty

pracy i odpowiednio wysokich dochodów na ogół mieszkań się nie wynajmuje. Wizytówkę do agencji jednak dał, radził zgłosić się tam jak najszybciej, obiecał trzymać mieszkanie do wyjaśnienia.

Idziemy na górę, mieszkanie jest na piętrze. Trochę mnie krępuje, gdyż lokatorzy są akurat obecni. Przepraszamy grzecznie, wchodzimy i oglądamy.

Co tu gadać - cudo. O rety, w Polsce w takim życiu, nie umierać. Mieszkanie jest przestronne, jasne, piękny balkon, wszędzie jakieś schowki, szafy w ścianach, duża widna kuchnia, piękna glazura w łazience i tylko, tu mnie zmrowiło, dwa pokoje dzieciinne. O Boże, jaki jesteś niesprawiedliwy, okrutny - dlaczego o jeden za dużo?!...

Wszystko już wiemy. Teraz Jean z Andrzejem muszą udać się do agencji. Jeśli Jean będzie mógł, to nawet jutro. Wracamy do państwa Legrandów.

Michałek jest jeszcze bardziej podniecony niż w pociągu. Teraz już nie wie, czy ważniejsze jego urodziny, czy to piękne mieszkanie, w którym tak bardzo chciałby żyć. Wszystko jest takie wspaniałe, ciągle jakieś zmiany i nawet nie myślał, że tyle fajnego może się na raz dziać. A jak tatuś będzie już pracował w tym najlepszym z banków, Crwdit Parisien, to będzie jeszcze fajniej, wspanialej i to na zawsze. Tylko trudno mu sobie wyobrazić, jak to może być.

Wkrótce po naszym przyjeździe i po powrocie Jeana z biura zasiadamy do kolacji. Michał nic nie je. Nawet nie próbuję go namawiać, daję sobie spokój z dotychczasową konsekwencją, dyscypliną. Wiem, jaki jest podniecony, a zresztą takie metody to nie na francuski grunt. Już kilkakrotnie obserwując moje próby nakłonienia Michała do jedzenia, Jean zbijał je argumentem, że głodne dziecko przyjdzie do stołu samo. We Francji dzieci do jedzenia się nie zmusza.

Jedzenie jest jak zwykle wyśmienite, ale jem bez apetytu. Pilnuję bardziej, aby stojący przede mną kieliszek z winem nie stał zbyt długo pełny.

Czuję się zawiedziona. Jesteśmy już przy serach, a nadal nic się nie dzieje. Staram się nie patrzeć, kiedy zdyszany wpada co chwilę do pokoju Michałek, sprawdzając, czy nie zaczęło się wreszcie to jego święto.

A to, mój Mały, nie tak. Ucz się powoli i ty, jak odmienne są zwyczaje w obcym kraju. Pamiętali wprawdzie o urodzinach, ale to wszystko. Zaproсили na kolację, dosyć. Podziękujemy, wrócimy do domu, a urodziny wyprawimy ci jutro.

Zaczynam się już męczyć. Chciałabym, aby było po deserze, po końcowej propozycji - kawa, herbata, za które podziękuję. Chciałabym być już w domu.

Zostaliśmy w pokoju tylko my troje: Andrzej, ja i Michałek. Z podziwem obserwuję, jak sprawnie ustawia Odile tę swoją wyrosniętą piątkę. Każdy złapał za jakiś talerz czy sztucce, aby odnieść do kuchni. Mnie jak zwykle podziękowano za pomoc.

Jestem zniecierpliwiona. Nie wypada jednak wyjść przed końcem kolacji, a coś to się jakby przedłuża. Zawsze szło tu wszystko sprawnie, można powiedzieć taśmowo, a dziś jak na złość jakiś przestój. Już nawet Andrzej kręci się niespokojnie, widać w oczekiwaniu na tę swoją kawę.

Jak Francuz to Francuz, gdzieżby się miał położyć spać po dobrym, sutym posiłku bez kawy? Jakoś w Polsce doskonale się bez tej używki obywat. Oto jak zmieniają się ludzie i ich zwyczaje. A wszystko przez ten dobrobyt.

Nie szczędzę Andrzejowi zjadliwych uwag, w nastroju, w jakim jestem, dość łatwo mi to przychodzi, zaklinając go jednocześnie, abyśmy wyszli możliwie najszybciej, pod byle pretekstem.

Michałek przycupnął cichutko u mych nóg, co do powrotu do domu nie oponuje. Aż nagle coś się dzieje. Gaśnie światło w pokoju, cisza, która nastąpiła aż dźwięczy, tylko zza załomu korytarza dochodzi przytłumione szuranie nóg.

Podrywamy się wszyscy troje na nogi. Ta nagła ciemność stawia nas w pogotowiu. Czekamy zaskoczeni. I cisza dotąd uparta wybucha światłem i śpiewem.

Pierwsza wchodzi Odile. Niesie przed sobą pięćświeczkową iluminację ciasta. Za nią Jean, Sylvine, Marc, Anne, Grwgoire. A wszyscy rządkiem z jakimiś paczkami i śpiewem:

- JOYEUX ANNIVERSAIRE, JOYEUX ANNIVERSAIRE...

Otoczają Michałka. Odile stawia przed nim urzekający ciepłymi płomykami świeczek tort, a oni wszyscy teraz już po angielsku na tę samą nutę:

- HAPPY BIRTHDAY TO YOU, HAPPY BIRTHDAY TO YOU...

Michałek stoi oniemiały. Patrzy na nas bezradnie, szukając pewnie wyjaśnienia, wskazówek. Ale my, jego rodzice, stoimy jak on oniemiał.

A słowa urodzinowej pieśni przebrzmiały i solenizant ma zdmuchnąć na szczęście płonący symbol swych lat. I ten mój pięcioletni Herkules napręży swe wątle piersi.

Czuje się teraz najwspanialszy, najważniejszy. Nie ciąży mu wcale podniosły nastrój przed czekającym go sprawdzianem. Dmuchał mocno, gasną od razu cztery świece. Pięta jak gdyby się zaparła. Ma jeszcze jednak pewien zapas wydechu, robi wysiłek i na dobrą wróżbę gasi ostatnią świeczkę. Szósty rok życia, ten pierwszy rok życia w nowym kraju przyniesie mu więc pomyślność i szczęście.

Rzucają się na niego teraz wszyscy, a każdy całuje, czegoś życzy i wręcza mu jakąś paczkę.

Godzina jest już późna, a tu rozpoczyna się dopiero szaleństwo, burza kolorowych wstążek, góra papierów. Papierów tak ładnych, że nie mogę wprost patrzeć, jak Michałek je rozrywa, niszczy. A co znajduje pod nimi? Rety, jacy to bogaci ludzie! Zabawki są na pewno z tych drogich sklepów, które my znamy tylko z wystaw.

Jest ciągnik mechaniczny z całą obsługą, samochód sterowany radiem (radiem!), kilka zestawów klocków "Lego", a najmłodszy Grwgoire przygotował cadeau ze swej uczniowskiej kieszeni i jest to pudełko jakichś najdziwniejszych gumopodobnych cukierków o ostrym oryginalnym zapachu. I tak właśnie rozpoczął się słodki nałóg Michałka, słabość do cukierków nazywających się rwglisses, który miał już odtąd towarzyszyć jego dzieciństwu.

Odile proponuje - kawa, herbata? Ze zdziwieniem stwierdzam, że poprosiłam o kawę. Ale i tak muszę przeprosić i odejść od stołu. Moje wzruszenie może stać się

widoczne, a nie czuję się na siłach, aby opanować to, co przepelnia mnie teraz bez reszty.

Wybiegam z pokoju, ukrywam się w zaciszu łazienki.

Jak mogłam zwątpić w tych ludzi? Jakże byłam niecierpliwa, niesprawiedliwa. Na co się zdała moja próba odwdzięczenia się za pomocą obrusów i serwetek, próba odwdzięczenia się? Kiedy oni w swojej wspaniałomyślności pobiegli jeszcze dalej i tu już żadne cepeliowskie cuda nie wystarczą.

Kto mógł się postarać jak oni, aby wyprawić dziecku pierwsze urodziny na obczyźnie i to takie? Tort, prezenty, a przede wszystkim atmosfera miłości. Urodziny wspanialsze niż którekolwiek dotąd wyprawiane staraniem nas, rodziców i w rodzinnym kraju... Ciepłe łzy płyną po mojej twarzy. Płaczę bezgłośnie wtulona w ręczniki.

I po raz pierwszy od wyjścia ze szpitala nie jest to płacz samotnej rozpaczy. Jest to rozczulenie, wzruszenie, które przyszło do mnie jak ulga, jak lekarstwo, nadzieja za sprawą zrozumienia i dobroci innych ludzi.

* * * * *

Do agencji mieszkaniowej wybrał się Andrzej wraz z Jeanem już następnego dnia rano.

Ajent, który ich przyjął, minę miał surową, poważną, wykazując jednocześnie pełną gotowość do przełamania wszelkich trudności, poza tym wyraźny respekt dla Jeana. Już on wiedział z kim ma do czynienia, dozorca go uprzedził.

Sytuacja Polaka jest pod względem formalnym licha, lecz tylko on potrafi docenić jak solidny trafił mu się gwarant. Potoczyła się kulturalna rozmowa w rzeczowym tonie. Urzędnik znał swą powinność; punkt po punkcie wymieniał warunki, co do których agencja musi zostać zabezpieczona.

Jean przytakiwał, perswadował dobitnie. On wiedział najlepiej, że zgoda na pracę nie jest fikcją i że pierwsza regularna pensja Andrzeja to sprawa najbliższej przyszłości. Nie mrugnął nawet okiem, kiedy doszło do punktu - zaliczka. Wyjął książeczkę czekową i wpisał zaproponowaną przez agenta sumę - 500 franków.

Sprawa była już prawie obgadana, wszystko jak dotąd szło gładko. Co do jednego nie chciał pośrednik wynajmu mieszkań ustąpić. Jak twierdził, nie mógł, po prostu nie mógł. Trzeba, aby Andrzej uzyskał z banku, który ma go zatrudnić, zaświadczenie, że taka jest faktycznie ich intencja, że po otrzymaniu zgody na pracę zostanie ich pracownikiem. I na tym stanęło, musiało.

Andrzej podziękował Jeanowi i prosto z agencji pojechał do Crwdit Parisien. A tam wybuchła bomba. Wszystko się zmieniło. Broń Boże, żadne odwrócenie kota ogonem, że bank właściwie nowego pracownika nie potrzebuje. Wprost przeciwnie. Widzę jednak, że mogę się w mojej relacji zapętlić. Muszę więc zacząć od początku.

Kiedy Andrzej wyłuszczył bankowemu kadrowcowi w czym rzecz, tamten zasępił się, po czym wyjaśnił, że do wydania takiego zaświadczenia przed podpisaniem kontraktu on nie ma prawa.

Ma potwierdzenie z ministerstwa i wie, że interesujący wszystkich papier jest w drodze, a więc podpisanie umowy o pracę to kwestia dni. Dobrze byłoby więc, gdyby to mieszkanie mogło jeszcze poczekać, gdyż zanim nie zostaną dopełnione wszystkie formalności, on nie ma podstaw, aby tego typu zaświadczenie wydać. Rozumie jak ważne jest dla nas znalezienie mieszkania, tym bardziej jest mu przykro, że nie może pomóc.

Teraz zasępił się Andrzej i przeklinając w duchu dysharmonię zdarzeń, zamierzał już wycofywać się do wyjścia. Kadrowiec zatrzymał go ruchem ręki i wertując wyciągnięty z szuflady brulion uśmiechnął się z ulgą, jak gdyby coś wymyślił, znalazł.

- Panie - podniósł się żywo zza biurka - co tam agencja. Niech przez nią załatwiają ci, co nie mają żadnych problemów z papierami. A pan, nasz przyszły pracownik, dlaczego nie miałby wynająć zakładowego, bankowego mieszkania?

Mamy trochę własnych mieszkań do dyspozycji pracowników i jest akurat wolne studio (po polsku kawalerka) w dobrym punkcie niedaleko Paryża. Ile ma pan płacić za tamto? To mieszkanie, o którym mówię, nie będzie droższe jak 500 franków. To chyba taniej, nie?

Więc jak? Czy to pana urządza? Cieszyłbym się bardzo. A to, że nie jest pan jeszcze formalnie u nas zatrudniony, nie przeszkadza. Mieszkanie jest nasze i wszystko zostanie w banku jak w rodzinie. Wkrótce i tak się przecież spotkamy, aby podpisać umowę, a póki co może pan już mieszkać. Niech więc pan pojedzie, zobaczy. Jeśli się pan zdecyduje, z przyjemnością wręczę panu klucze.

Z banku Andrzej wyszedł na gumowych nogach, niespodziewana propozycja oszołomiła go zupełnie. Do domu wrócił na chwiejnych nogach. Przypuszczam, że po drodze zaliczył kilka piwek.

Nawet już się trochę niepokoiłam, gdyż on, uważający na "francuskie" pory posiłków, nie przyszedł o ustalonej godzinie na obiad. Podejrzywałam, że mieszkanie z agencji nie wypaliło. Nic jakoś jednak sobie z tego nie robiłam, jak by mi było wszystko jedno, gdzie i pod jakim dachem przyjdzie mi w najbliższej przyszłości żyć.

Widok Andrzeja kazał mi jednak uznać, że mylne były moje przewidywania. Przyszedł ożywiony, zadowolony, wesoły. Promieniał. Nawet wypite piwa nie tłumaczyły tego stanu.

Przegryzając coś w biegu (co jak dotąd u mojego męża było alarmującym symptomem zbliżającej się lub drażącej już organizm choroby), zrelacjonował mi

obie rozmowy. Po czym wciskając mi w ręce torebkę i płaszcz, wypchnął mnie na deszcz i przejmujący wiatr.

-Nie ma chwili do stracenia. Jedziemy do Brunoy, musimy to studio jak najszybciej zobaczyć.

A więc jedziemy. Najpierw metro, potem Gare de Lyon - duży, hałaśliwy dworzec, gdzie ponad dwadzieścia minut czekamy na jadący do Brunoy pociąg. Przyjeżdża wreszcie stalowy, odrapany, brzydki. Jeżdżąc do Legrandów, widywałam pociągi o wiele ładniejsze. Zaczynam podejrzewać, że to całe Brunoy leży na końcu świata i ładniejszych środków lokomocji nie opłaca się na taką trasę podstawiać.

Nie myliłam się - jedziemy i jedziemy. W przedziałach tłum ludzi pewnie wracających z pracy, bo oklapniętych, apatycznych, często brudnych. Za oknem światła mijanych stacji rozmazane w ulewnym deszczu.

Docieramy na miejsce. Dużo ludzi wysiada wraz z nami z pociągu. Przed dworcem rozpraszają się jednak błyskawicznie i kiedy chcemy zapytać o "naszą" ulicę, nie ma już wokół żywego ducha. Zimny deszcz zacina coraz mocniej, ostry wiatr zrywa ze mnie zbyt lekki na taką pogodę, przemoczony płaszcz.

Na placu pusto i ciemno, otwarty jeden zaledwie sklep, bodajże ze sprzętem domowym, i tam Andrzej kieruje swe kroki. Wychodzi po chwili. Już wszystko wie, ulica jest zaraz za wiaduktem kolejowym, a więc blisko. Tym lepiej, bo zmarzłam.

Zanim odnajdujemy wiadukt, wokół którego kręcimy się w kółko, mija co najmniej kwadrans. Za to po drodze zauważamy duży, jasno oświetlony sklep. Widzę ludzi, wystawy. Cywilizacja. To może podnieść na duchu.

Bo dalej jest beznadziejnie - ani jednego przechodnia, żadnego oznakowania ulic, chociaż to i tak nie ma znaczenia, gdyż jest bardzo ciemno. Przy wybiegu ulic nie pali się ani jedna latarnia.

W rozpaczliwych poszukiwaniach "naszego domu" udziału nie biorę. Andrzej miota się sam. Wybieram sobie oklejoną zgniłą mazią chodnikową płytę i zgrzytając zębami, usiłuję przemoczonymi butami unicestwić tę breję, zdeptać. Jakby to miało w czymś pomóc.

Ma nosa mój mężulek. Pokazuje jedną z ulic i twierdzi, że teraz to już prościutko jak strześli. Idę za nim, nawet się nie odzywam. Szczękam zębami z zimna, siłą woli powstrzymuję się od złośliwych uwag. Wiem tylko jedno, że mieszkanie, do którego idę jest przecież bardzo niepewne, natomiast moje zapalenie płuc raczej tak. A Michałek został w hotelu sam, zbliża się pora kolacji.

Ulica może jest i prosta jak strześli, ale długa, cholernie długa. Ten numer 30bis musi być na szarym jej końcu. Pochyliłam głowę, skuliłam się w sobie, cierpięcniczym wyglądem chcę ukarać Andrzeja, że mnie naraził na tak męczącą wyprawę.

Maszerując z nosem przy samej ziemi, rejestruję jednak, że po prawej stronie ciągnie się niemal nieprzerwany mur. Wysokie ściany z kamienia, żelazne płyty z masywną bramą bądź drewniane sztachety sięgające drzew. Ażurowe płoty są tu rzadkością. Za płotami, w głębi ogrodów domy. Widać nawet gdzieś tam piękne dachy, lecz gdzie są okna ciepło oświetlone, świadczące, że żyją tu ludzie? Być może tam, za tym murem. A jeszcze na furtkach i bramach, żeby było różniej, białe odcinające się nawet w ciemności tabliczki: "uwaga, zły pies!".

Mijając kolejne parkany, mury i płoty, docieramy wreszcie do numeru 30bis. Duży, żółty budynek wyglądający jak dziewiętnastowieczny pałacyk, na oko naprawdę ładny oddzielony jest od nas podmurowaną, żelazną, bardzo wysoką zakończoną ostrymi kolcami siatką. Do połowy wysokości tego ogrodzenia panoszy się gęsty, krzaczasty żywopłot. Furtka i brama z kutego żelaza.

Andrzej się cieszy. Próbuje wzbudzić mój entuzjazm, skrzy dowcipem:

- Spójrz, jakie solidne ogrodzenie! Będziesz tu spokojna i bezpieczna jak w banku.

Na nasze manipulowanie przy furtce wściekłym ujadaniem odpowiadają dwa psy. Nie widać przy wejściu ostrzegawczej wywieszki. Chociaż z pewną obawą, wchodzimy.

Drzwi na klatkę schodową zastajemy otwarte. Szukamy podanego numeru mieszkania. Mijamy parter, pierwsze piętro, wchodzimy jeszcze wyżej. Jesteśmy na poddaszu.

Kluczy do studio wraz z latarką i swoim towarzystwem użycza nam sąsiadeczka, dziewczyna młoda i śliczna, a jeszcze do tego panienka. To ona zajmowała to studio, zanim przeprowadziła się obok do większego mieszkania. Jest po francusku cukierkowa - naprawdę żaden problem, że opóźnimy jej kolację. W skąpym świetle jest tak ładna i w rozmowie z Andrzejem tak miła, że uznaję, iż przesadza. W dodatku mnie ignoruje. Mój mąż, wrażliwy na dziewczęce wdzięki, wpatruje się w sąsiadeczkę z cięłym zachwytem.

Drzwi mieszkania stoją otworem. Mdłe światło elektrycznej latarki słabo rozprasza ciemność. Bardziej odgaduję, niż widzę, jaki jest rozkład mieszkania. Mały, kwadratowy pokój, za nim kuchnia prostokątna, wąska, jakaś wnęka z oknem, jakby maleńki pokoik, dosyć duża łazienka.

Światło latarki nerwowo miga. Korzystając z ciemności i udając nieuwagę, całym ciężarem następuję sąsiadeczce na nogi. Skowyczy z bólu, usiłuje mnie strząsnąć, co nie jest przy mojej "dobrej woli" takie łatwe. Wreszcie się wyzwala, rozciera bolące stopy, nie widząc jeszcze zapewne rozdartych rajstop. A ja, jak ona przed chwilą, odgrywam rolę uroczej osoby, której doprawdy jest bardzo przykro. Teraz to mieszkanie bardziej mi się podoba. Odwracam się do Andrzeja, mówiąc - tak.

A wracając tak sobie myślę: dach, cztery ściany, kilka okien. W dodatku, tak jak Andrzej chciał - tanio i dobry dojazd do Paryża. Na początek może być. A że brak z mojej strony entuzjazmu, euforii? Nic na to nie mogę poradzić.

Bo cóż ja?... Dla mnie nie ma już chyba takiego miejsca, gdzie w obecnym stanie mogłabym żyć normalnie, szczęśliwa. Tyle spraw musiałabym przetrwać i uładzić, a wychodzi na to, że tego nie potrafię, że jest to bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe. Co więc za różnica pod jakim dachem rozegra się to moje bezsilne zmaganie ze sobą i gdzie mnie zastanie, o ile nadejdzie, tej smutnej historii epilog?...

Andrzej w drodze powrotnej głośno urządza mieszkanie. Ustala listę niezbędnych rzeczy, bez których nie możemy się tam wprowadzić. Po zastanowieniu

orzeka, że najpotrzebniejsza jest kuchenka i stół. Przechodząc obok sklepu ze sprzętem domowym, mąż ciągnie mnie tam. Nie rozumiem, o co mu chodzi.

Podbiega do nas miły sprzedawca, służąc informacją i radą. Sklepek jest niewielki, różnych typów kuchenek może osiem, dziesięć. Zostaję pchnięta w ich kierunku, pewnie mam oglądać, podziwiać. Andrzej ze sprzedawcą omawiają na boku, zdaje się, warunki sprzedaży. Mojego męża interesuje możliwość zakupu na raty.

Nie ma problemu, trzeba wpłacić zaliczkę. Zakupiony towar zostanie dostarczony w oczekiwanym terminie. Dalsza należność płatna w trzech ratach.

Andrzej potakuje, że niby wszystko jasne, ale z miny jego widać, że nie dowierza sprzedawcy. To byłoby za proste - wejść z ulicy na wariata do sklepu i dokonać zakupu na kredyt. Tak myśli sobie mój mąż pamiętający z Polski uciążliwe polowanie na obowiązkowych żyrantów, po dwóch do każdego ratalnego zakupu, a zwracając się do mnie, pyta: - Wybrałaś?

Przekonana, że to taki sprawdzian czy raczej błaga wskazuję na zgrabniutką, brązową kuchnię. Ten właśnie kolor zamarzył mi się jako przewodni dla mojego babskiego królestwa, gdy jeszcze w Warszawie wertowałam łakomie różne zachodnie prospekty i katalogi.

Pokazuję to brązowe cudo z piecykiem i czekam aż się roześmieją. Sprzedawcy twarz nawet nie drgnęła, chwali mój wybór, sięga po zeszyt, w którym zanotuje wysokość zaliczki. Nasze egzotycznie brzmiące nazwisko wpisuje mozolnie po literce, nie prosi jednak o żaden dokument. Wszystko załatwione jest na gębę.

Ustalamy, że kuchnia pod nasz przyszły adres dostarczona zostanie za tydzień. Andrzej płaci zaliczkę. Sprzedawca dziękuje, zapewnia, że towar będzie na czas.

I jeszcze zwraca się do mnie. Wskazuje jedną z lodówek, też w brązie i zachwalając jej dobrą jakość i przystępną cenę, wyraża nadzieję, że będzie to nasz następny zakup.

W pociągu niemal nie odzywamy się do siebie. Musimy się uporać z natłokiem wrażeń. Tyle się dzieje ostatnio, że trudno się w tym wszystkim odnaleźć.

Jeszcze przed kilkoma godzinami nie mieliśmy nawet mglistego wyobrażenia o naszym pierwszym francuskim mieszkaniu. Teraz już wiemy, że je znaleźliśmy i jakby tego było mało, staliśmy się posiadaczami brązowej, czteropalnikowej kuchni.

* * * * *

Kuchenkę kupił Andrzej. Teraz moja kolej.

Już dawno wpadł mi w oko duży prostokątny stół, a do niego dwie zgrabne ławy. A wszystko to z pięknego białego drewna, robota bardzo solidna, wyrób bułgarski. Od razu sobie pomyślałam, że to musieli zrobić nasi. Cena też niezbyt wygórowana, kartka informuje, że to okazja.

Dzwonię jeszcze tylko do Andrzeja do biura zapytać (czytaj - oznajmić), czy mogę zapłacić pieniędzmi, które mi zostawił na życie. Próbował mnie przekonać, że nie ma gwałtu i zakup ten może poczekać aż otrzyma pieniądze za tłumaczenie. A tu przecież Francja, więc nie muszę się bać, że zabraknie, że wykupią.

Gadaj sobie zdrów, kiedy podjęłam decyzję. Jeśli mam się bawić w to nowe życie, nowe mieszkanie, przeprowadzkę, zacznę od zabawy w meblowanie. Kto wie, da może Bóg, że coś z tego wyjdzie? A na początek jest jakieś zajęcie.

Do sklepu idę z Adasiem, który jak wspomniałam jest silny jak tur. Potrzebny będzie pomocnik, bo sama przecież tych mebli do hotelu nie zaniosę.

Pokazując palcem proszę o sprzedanie mi stołu wraz z ławami. Ekspedient ucieszył się z zamówienia, ale coś do mnie długo i niepotrzebnie gada. Patrząc na niego baraním wzrokiem i myślę już zrezygnować z zakupu, wyjść ze sklepu. Kiedy jednak wyciąga z portfela książeczkę czekową (znam się na książeczkach, bo Andrzej miał konto już w Polsce), jestem w domu, wiem o co mu chodzi. Zaprzeczam stanowczym ruchem i z kieszeni płaszcza wyciągam mu pod nos odliczone w domu, pomiętoszone setki. Tak to sobie pogadaliśmy - on pyta, czy chcę płacić czekiem, ja mu odpowiadam - nie, gotówką.

Adaś widząc, że wyciągam pieniądze, rzuca się ochoczo na meble. To miała być jego rola, on miał je wynieść ze sklepu. Ekspedient, który przed chwilą jakby się rozchmurzył, teraz znów się zacietrzewił. Refleks ma jednak dobry, doskakuje migiem do Adasia i piszcząc coś cienkim głosem, odciąga jego ręce od białego bułgarskiego drewna. Pokazuje na prowadzące na dół schody i przypuszczam, że prosi o cierpliwość i spokój.

Zrozumieliśmy, że mamy poczekać. Te meble tutaj są wystawowe, dla nas zostaną przyniesione z magazynu. Bon.

Odwołuję Adasia od sklepowej ekspozycji. Magazyn pewnie niedaleko, a nam i tak się przecież nie spieszy. Ekspedient odchodzi, kilkakrotnie się jednak ogląda. Chyba trochę się boi zostawić nas w sklepie samych.

Chodzę w tę i z powrotem, spod oka obserwując Adasia, który wszędzie musi zajrzeć, wszystkiego dotknąć. Coś nagle szurnęło, zachręściło mi pod nogami. Schylam się, biorę do ręki. Jest to bransoletka z grubego łańcuszka, zakończona prostokątną plakietką, na niej inicjały. Kolor tej na oko męskiej biżuterii złoty, na wszelki wypadek wsuwam ją do kieszeni płaszcza i robię minę, jakbym podniosła oderwany od ubrania guzik.

Nasz miły sprzedawca wraca mocno zdyszany. Zdyszani są też dwaj ubrani w robocze fartuchy chłopcy, którzy stają przed nami z ogromnym prostokątnym pudłem. W nim są nasze meble.

Pytają, gdzie zaparkowaliśmy samochód. Chcą wiedzieć, gdzie zanieść zakupiony towar. Tu Adaś znów się podrywa i wrywając chłopcom pudło, przekonuje, że nie potrzeba - on może je zanieść do samochodu(?) sam. Zna taką sztuczkę z bicepsami, zagrał ją teraz po mistrzowsku.

Ja wpadam w rolę. Szkoda tylko, że nie mam samochodowych kluczyków, którymi mogłabym wdzięcznie zadziwić. Z elegancją chwytam za szurający po ziemi róg paki i dając Adasiowi hasło do wymarszu, odwracam się jeszcze tylko, aby rzucić kulturalne "merci" i "au revoir".

Nie odpowiada mi nikt. Trzej pracownicy sklepu meblowego stoją jak zamurowani, oniemiała. I nie wiem - z podziwu, ze zdziwienia? Albo są raczej przerażeni "dziwnymi" klientami.

* * * * *

Dotarliśmy w końcu z naszym meblem do hotelu. Była to mordercza droga. Dobrze, że pomógł nam nieznajomy chłopak, gdyż zaczynałam opadać już z sił.

I przyszedł moment, że przeżywszy jeszcze spowodowaną przeciążeniem awarię windy, wtaszczywszy pudło schodami na piętro, oparliśmy je w pokoju o ścianę.

- Gdzie masz to żółte żelastwo, które znalazłaś w sklepie?

Mój brat jest na równi zaniepokojony, co podniecony. A ten ironiczny epitet pod adresem biżuterii miał tylko zamaskować podniecenie. Już nabył respektu dla tych znajdujących na Zachodzie żelastw. A wszystko zaczęło się od szwagra.

Był na stypendium trzy miesiące w Grenoble, do Paryża przyjechał na dwa dni, raz przespacerował się po znanych mu już Champs-Élysées. I nagle, przed restauracją Fouqueta, coś zabłyszczało w południowym słońcu, więc podniósł. Była to broszka.

Wrócił do Warszawy. Szczęśliwy, obdarowywał nas pięknymi prezentami. Adaś dostał dżinsową bluzę, ja radio z magnetofonem, francuskie kosmetyki i bardzo atrakcyjne ubrania. Broszkę Andrzej pokazał dopiero po wielu dniach. I może niepotrzebnie w ogóle ją pokazywał, na takie złośliwe naraził się uwagi. Reakcja wszystkich wokół była identyczna - naigrywanie się i śmiech.

Było to brzydkie - kawałek żółtego skręconego drutu, w nim chyba pięć koślawo osadzonych świecidełek, a wszystko chropowate, byle jak oszlifowane po bokach. Od spodu mała wykrzywiona agrafka trzymała się już ledwie, ledwie, chociaż była przyspawana okruszkiem jakiegoś metalu. A więc szpetota. Usiłowałam się tego pozbyć.

Proponowałam mamie, uzasadniając, że jej jako starszej kobiecie ujdzie taka ozdoba do jakiejś noszonej w domowych pieleszach sukni. Podziękowała, że niby dla niej za elegancka, a po cichu przyznała, że jednak to straszne brzydactwo.

Przy każdej towarzyskiej okazji molestowałam Adasia, aby wziął broszkę z Champs-Élysées na praski bazar, by ją sprzedać. Adaś ostrożny w interesach odmawiał. Jako znawca orzekł, że jest to przedmiot bezwartościowy, po prostu szmelc. Daliśmy więc sobie z broszką spokój. Minęły lata.

Aż tu Andrzej przychodzi i oznajmia, że dostał z ministerstwa przydział na samochód Fiat 126p, popularnie zwany maluchem. Co za okazja, jaka pokusa, by zrealizować nieosiągalne dotąd marzenie. Skąd wziąć jednak pieniądze, kto nam pożyczy a jeśli, to z czego oddać - sypnęły się pytania w bezlitosnej logice stanu rzeczy. Satyrycznie usposobiona do sprawy żartuję:

- Sprzedaj tę swoją broszkę. Tylko to może ci pomóc. - Gdzie jest broszka?!... - Andrzej chciał ją mieć. Szukaliśmy coraz zacieklej, przewróciliśmy do góry nogami cały dom. Nie ma nigdzie, przepadła.

I wreszcie, chyba już w ostatnim momencie, gdy zbliżał się ostateczny termin wpłaty, przyszło mi na myśl zrobienie porządku w dolnej szufladzie szafy w przedpokoju. Szuflada ta była strefą niczyją. Nie porządkował w niej Andrzej, gdyż on w ogóle nie miał takiego zwyczaju. Nie sięgałam też do niej moją pracowitą dłonią, jako że nie interesowały mnie gwoździe, śrubki, zdarte zelówki, a więc niepotrzebny i niebabski bałagan. A tu proszę, broszka. Oddałam ją rozgorączkowanemu mężowi.

Latał z nią dwa dni. Z godziny na godzinę był coraz bardziej rozgorączkowany, przejęty. Trudno się dziwić - i złoto drugiej próby i te niby świecidełka to brylanty.

Powstał teraz problem jak to najkorzystniej sprzedać. Na tak zwany złom każdy jubiler broszkę chciał kupić, płacąc pieniądze od ręki. Natomiast gdy była mowa o broszce jako wyrobie jubilerskim, żaden z nich nie chciał jej wartości nawet oszacować, określić. Solidarnie nabrali wody w usta, aby umęczony znalazca sprzedał im błyskotkę na przerób, nie wiedząc nawet, co miał.

Andrzej znany ze swej zajadłości nie pozwalającej oddać czegokolwiek za nic, zaparł się teraz ze swoim świecidełkiem. Tam czekał gdzieś przecież jego maluch. Chodził po jubilerach, komisach, aż stanęło na tym, że opłaci fachową, artystyczną naprawę zapięcia, po czym błyszczący drobiazg jako stary wyrób wstawi w komis do "Desy". Już tylko w przelocie przy naprawianiu agrafki okazało się, że była ona przymocowana platyną. Ostatecznie broszka poszła do "Desy" - komisurze rzeczy starych, lecz wartościowych i oryginalnych - z ceną wywoławczą 60 tysięcy złotych. To dużo jak na tamte czasy, bardzo dużo.

Sprzedana została szybko, w okresie, gdy papież przyjechał z wizytą do Polski. Nabył ją więc pewnie jakiś cudzoziemiec. Wróciła więc być może broszka na paryskie Champs-Élysées.

W tydzień po odebraniu przez nas należności za broszkę cena złota podskoczyła o 200 procent. A niech tam! I tak opłaciła ponad połowę naszego malucha.

Przypominam sobie jeszcze, jak zachodziłam do tego eleganckiego ekskluzywnego sklepu, pragnąc broszkę oglądać, podziwiać. Bo nie była już brzydactwem i szpetotą. Była piękna. Leżała w dyskretnie podświetlonej gablocie, na miękkim bordowym podbiciu, śmiejąc się z lat przeżytych w brudnej szufladzie. A ja patrząc na nią, obezwładniona zachwytem, zadawałam sobie bez końca pytanie, jak mogłam głupia wepchnąć ją między gwoździe.

I teraz, kiedy Adaś miętosząc, nadgryzając, rzucając o szklany blat stołu znaleziony łańcuszek, z zapartym tchem przekonuje, że to też musi być prawdziwe złoto, nie naśmiewam się z niego. Przypominam sobie scenę zakupu. Płacić ostatnimi setkami za przeceniony towar i jednocześnie znaleźć złoty drobiazg, byłaby to ironia losu. Zapewne mój brat ma rację.

* * * * *

Andrzej wpada do pokoju jak bomba.

Uderzając z impetem w ustawiony koło drzwi karton z meblami, klnie szpetnie. Jest zdyszany, zaaferowany. Wiem od razu, że znowu coś się święci, że ma jakąś niespodziankę w zanadrzu. Rzeczywiście, sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni

płaszcz, kładzie przede mną sczepione breloczkiem klucze. Nie musi się usprawiedliwiać z późniejszego przyjścia, wszystko jest jasne.

Był w banku, dali mu klucze. Żadnych umów wynajmu mieszkania nie podpisywał. Zgłosili do elektrowni, że lokal będzie znów zamieszkały, przyjadą włączyć prąd i gaz. Możemy wprowadzać się za tydzień...

Tu relacjonujący małżonek stracił jakby wigor. Opadł bezwładnie na fotel, westchnął z ulgą, pociągając pierwszy łyk piwa. Siedzimy bez słowa. Na temat kluczy i bliskiej przeprowadzki nie pada żaden komentarz. Lecz chociaż pogrążeni jesteśmy w myślach, mimo że milczenie zawisło między nami, wiem dobrze, że oboje myślimy i milczymy o tym samym. Klucze. Klucze do naszego samodzielnego mieszkania.

Kilka odpowiednio oszlifowanych kawałków metalu, a jaka siła, jaka ranga - symbol domowego ogniska, stróż rodzinnego zacisza, obrońca indywidualnego azylu. Tak, to wszystko może klucz, dla nas nieosiągalny, choć tak bardzo od lat upragniony, oczekiwany od lat...

Zdobycie przez młodych ludzi mieszkania w Polsce to trudna, piekielnie trudna sprawa. Szczególnie, jeśli się nie ma tatusiów zakładających swym pociechom książeczki mieszkaniowe, gdy są jeszcze przy cycku, już w niemowlęctwie. I słusznie, gdyż w Polsce jak wszędzie dzieci rosną, natomiast budynki mieszkalne nie.

Jeśli ma się takiego rodzica, który z prezesem spółdzielni mieszkaniowej jest za pan brat, bądź też sam z dzięki własnej pozycji sprawę popchnął lub kogoś przekupił, albo też rodzicielkę, która sypia (bo jeśli sypiała, to najlepiej w niedalekiej przeszłości) z przewodniczącym tzw. zakładowej komisji do spraw mieszkań - tak, wtedy mieszkanie się ma. I bez problemu; w pierwszej kolejności, z prawem wyboru osiedla, piętra i lokalu.

A my co? Andrzej sierota. Moi rodzice pracując ciężko całe życie na chleb, nie mieli środków, aby zabezpieczyć dzieci na przyszłość. Im było trudno związać koniec z końcem.

Do spółdzielni zapisaliśmy się sami, płacąc obowiązkowe składki ze studenckiego stypendium. Tak, pieniądze nawet od biednego studenta brali, dając w zamian elegancką książeczkę z przemawiającym do wyobraźni umieszczonym na pierwszej stronie rysunkiem, który przedstawiał dwoje szczęśliwych młodych ludzi otwierających drzwi do swego mieszkania. Tyle, że przyszłość miała pokazać, jakie to wszystko matactwo i blaga.

A ile było lat tego czekania - dwanaście, trzynaście?... Okres kandydacki, spółdzielnia lokatorska, spółdzielnia własnościowa - tak, będzie tyle. I wszystko to daremnie, beznadziejnie, bez sensu, gdyż cały ten czas budownictwo mieszkaniowe paraliżował niezaprzeczalny, karygodny marazm.

A obok jeszcze złodziejskie machlojki, krzycząca niesprawiedliwość i absolutna ignorancja "maluczkich". O łapownictwie nie wspomnę, bo się tylko zdenerwuję. Wszystko to było beznadziejne. Nic się nie dało zrobić. A ilu prezesów, przepraszam, panów prezesów zmuszonych było się martwić naszą trudną, wręcz rozpaczliwą mieszkaniową sytuacją? A jakże, widzieli, potakiwali, rozumieli, że dziewięć metrów kwadratowych dla małżeństwa z pięcioletnim stażem to jednak trochę za mało. Było tych panów prezesów, było. Mam bogobojną nadzieję, że spoczywają w spokoju.

Chociaż trafił się jeden uczciwy. Wyglądał jak wszyscy prezesi - dobrze ułożony, dobrze nastawiony i rozumiejący życie elegancko ubrany pan. Wysłuchał opisu naszej klitki i naszych solidnych, zaangażowanych deklaracji co do tego, jak bardzo chcemy przedłużyć gatunek, po czym nie wytrzymał i zrywając się gwałtownie zza biurka, naświetlił sytuację bez żadnych ogródek:

- Żebyście nawet mieszkali pod schodami, żebyście mi tu przynieśli nowonarodzone dziewiąte dziecko, a pozostałych reszta cierpiała na zaawansowaną gruźlicę, to ja i tak mieszkania nie dam. Rozumiecie?! Nie dam!... Mieszkań NIE MA, to skąd ja mam je dla was wziąć?...

Ale to tylko jeden był taki uczciwy. Inni obiecywali, mamili.

Znalazł się prezes, co był za prokreacją. Stwierdził, że jedno dziecko to mało, po czym zapewnił, że kiedy dostanie zaświadczenie lekarskie o mojej drugiej ciąży, to nasza sprawa ruszy.

Myślę sobie: lata lecą, zawsze chciałam mieć siedmioro dzieci. Nadarza się więc jak najbardziej okazja, by tę naszą intymną małżeńską działalność posunąć żdziebko do przodu.

Tylko, że kiedy przyszedłam z potrzebnym zaświadczeniem, a byłam już wtedy w piątym miesiącu ciąży, przyjął nas zupełnie inny pan prezes, bo tamten od dzieci poszedł siedzieć. A następcą, nie jakiś byle mięczak - kolejne dziecko to żaden dla niego argument.

Ale co tam prezesi. W naszej długoletniej batalii o mieszkanie wystąpił także minister. A jakże, nawet minister.

Nazwy ministerstwa nie wspomnę i to celowo. Po co kłuć ludzi w oczy? A pracował w nim mój inteligentny, zdolny i kompetentny w swoim zawodzie małżonek.

Gdy Andrzej przeszedł do ministerstwa, półgłosem szeptano wokół, że zaczął robić karierę. Jest poszanowanie urzędu w narodzie, lecz pracownik urzędu pozostaje tylko urzędnikiem. A więc kariera?

Jego przejście z ośrodka obliczeniowego do tak wysoko postawionej placówki może to i być, ale tylko w sensie prestiżowym, awans. W mojej ocenie było to pożałowania godne odejście od zawodu, od programowania, którym się zresztą pasjonował i gdzie mógł dużo zdziałać.

Andrzej porzucił swoje systemy operacyjne, karty perforowane i bajty na rzecz papierków, delegacji, sprawozdań, a wszystko to dla realnie rysującej się szansy zdobycia poprzez ministerstwo mieszkania. Bo ministerstwo dla swoich pracowników miało pewną pulę samochodów i mieszkań.

Przydział na Fiata 126p, jak już wspomniałam, Andrzej otrzymał, co oznaczało możliwość bardzo korzystnego kupna samochodu po cenie oficjalnej, nie giełdowej. I ten maluch stał się prawdziwą atrakcją i osłodą naszego niełatwego życia.

Mieszkanie było jednak najpilniejszą, pierwszą naszą potrzebą. Już dziesięć lat jak byliśmy małżeństwem, a wciąż wycieraliśmy cudze kąty. Z mieszkaniem się niestety nie wiodło. Chociaż można powiedzieć, że było obiecane, było tuż tuż.

W takim urzędzie, wiadomo, nie ma żartów. Wszyscy pracownicy zainteresowani mieszkaniem zostali po wnikliwej ankiecie ocenieni punktami - tyle za staż pracy, tyle za kwalifikacje zawodowe. Brano też pod uwagę użyteczność pracownika w instytucji oraz jego aktualną sytuację mieszkaniową. Przy tych kryteriach Andrzej miał mocną pozycję. Na ustalonej liście kandydatów figurował jako pierwszy.

Od trzech lat był tym pierwszym. Jednak za każdym razem przy rozpatrywaniu konkretnych lokali miało miejsce jakieś życiowo uzasadnione omsknięcie i mieszkanie otrzymywał ktoś inny. Był rok 81, miał nadejść moment ostatniej próby. "Solidarność" rosła w siłę.

Nikt nie wątpił, że przy tegorocznych rozdziałach mieszkanie otrzyma mój mąż. Znał już nawet adres, dostał też plan wnętrza tego pięknego czteropokojowego lokalu, w dodatku niezbyt odległego od domu moich rodziców.

Ciągał mnie tam Andrzej w każdą niedzielę, dom był wykańczany, każąc mi podziwiać i się cieszyć. No to się cieszyłam, widząc już naszą czteroosobową rodzinę w pokojach z widokiem na Rondo Waszyngtona.

A sprawa ostatecznie się ryła, może to nie ładne słowo, nie wypaliła. Przydział na piękne mieszkanie wraz z pięknym widokiem dostała niezbyt długo w sekretariacie ministerstwa pracująca, widać jednak ochoczo i wydajnie, pani Krysia.

I co wy na to?... Andrzej szalał. Pisał odwołania, zbierał opinie. Walczył jak zranione zwierzę, nie mógł pogodzić się z jawną niesprawiedliwością.

Z interwencją rzucili się wszyscy - rada zakładowa, komórka partyjna, związki branżowe wespół z "Solidarnością". Musiała boleć pana ministra głowa, gdyż zaatakowano go ze wszystkich stron, domagając się posłuchania i weryfikacji decyzji.

Pan minister przyjmował zainteresowanych, wysłuchiwał grzecznie wszystkich "za" przemawiających na korzyść jego pracownika, ale zdecydowanie obstawał przy dokonanym już wyborze. "Za" pani Krysi nie wyłuszczał. Natomiast przekonywał, jak to on rozumie sytuację bezdomnych młodych, gdyż jego rodzona córka (o zgrozo!) od lat żyje w wynajętym mieszkaniu.

Przedstawiciele broniących Andrzeja organizacji nie wierzyli panu ministrowi. Minister nie wierzył przedstawicielom, albo raczej najspokojniej ich lekcewał. W każdym razie protest, interwencja, zbiorowe wołanie o sprawiedliwość zamarty odepchnięte, stłumione właśnie tam, za wywatowanymi drzwiami gabinetu wiedzącego najlepiej, co się komu należy, ministra.

Po pewnym czasie sprawa się wyjaśniła. Dowiedzieliśmy się dlaczego nie przyznano nam mieszkania i okazało się, że to nie była czyjaś zła wola, a tylko niewinne, niezamierzone, czyste nieporozumienie.

W ministerstwie wykoncypowano, jak zwykle słusznie - nie warto dawać mieszkania pracownikowi z tak długim stażem w spółdzielni mieszkaniowej. Jest on już tam jednym z pierwszych na liście i lada dzień powinien otrzymać mieszkanie spółdzielcze.

Spółdzielnia natomiast przeceniła rolę ministerstwa, którego Andrzej, tu na swoje nieszczęście, pozostawał pracownikiem. Już oni tam wiedzieli, ile mieszkań jest do dyspozycji rządowych urzędów, a więc pracowników tychże, wprowadzając nieoficjalnie, ale z czystym sumieniem pomijali. Mieszkania spółdzielcze należały się przede wszystkim tym, którzy poza spółdzielnią nie mieli żadnych możliwości.

Po co tu krzyżeć, że bezsens? Po co się buntować, że jawna niesprawiedliwość? Co to da, kiedy pewnie ten cały bezsensowny proceder toczy się dalej bez zmian... Tyle że już bez nas jako pierwszych na liście, wściekle, wariacko zainteresowanych.

Odciążyliśmy polskie budownictwo mieszkaniowe. No pewnie, że żartuję, chociaż to gorzki żart. Jedno czteropokojowe mieszkanie gdzieś w Warszawie to kropla w morzu krajowych potrzeb.

Jednak nas już w Warszawie nie ma. Nie wiem, może kiedyś wrócimy. Boję się pomyśleć, że nie nastąpi to nigdy. I tylko został ból płonnych nadziei, gorycz zawodu i jeszcze dziś na samo wspomnienie burząca się krew...

A teraz te klucze przed nami.

Nie zamieniliśmy z Andrzejem nawet słowa, jestem jednak pewna, że myśli o tym samym, co ja. Jak to więc jest?...

W Polsce był w swoim zawodzie jeśli nie wybitnym, to na pewno zdolnym specjalistą. Po tylu latach pracy, i będąc pierwszym na liście mieszkaniowej swojej instytucji, musiał się pogodzić, że mieszkanie sprzątnęła mu sprzed nosa pani Krysia dysponująca bliżej nieokreślonymi walorami.

A teraz przynosi do domu klucze, nie będąc jeszcze nawet pracownikiem banku. Nie ma też żadnych list, ich weryfikacji czy w ramach gwarancji składania podpisu krwią na wołowej skórze. O tak - masz klucz, idź i mieszkaaj.

Dziwnie się to życie układa.

Bardzo się denerwuję, wspominając prezesów, ministra, zasady jakiejś bzdurnej punktacji, dodatkowe zaświadczenia, odwołania, a wszystko to były legalne i sprawdzone sposoby spławiania ludzi w świecie socjalistycznej sprawiedliwości. A świat kapitalistyczny, w którym żyjemy od kilku miesięcy to wrogi obóz, tak nam przecież wmawiano.

Coś tu się jednak nie zgadza, fakty przeczą sloganom. Po kilkunastu latach oczekiwania na mieszkanie we własnym kraju zostaliśmy na lodzie, a tutaj obdarowano nas kluczami. W pewnym sensie nas przygarnięto. Na co więc się zdały te wszystkie stracone lata i gdzie jest wspomniana wrogość?

* * * * *

Siedzę na walizkach.

Zwolniłam pokój, aby sprzątaczkę mogły go już dziś przygotować dla nowych gości. Zeszłam do kuchni. O tej porze tu pusto. Dopijam więc wino, aby nic nie zostawić. Bez sensu byłoby zabierać napoczętą butelkę do nowego mieszkania.

I dobrze, że jest ta butelka, i dobrze, że w kuchni nie ma nikogo. Alkohol pomoże mi rozliczyć się ze sobą. A do tego potrzebna jest samotność.

Dzisiaj się przeprowadzamy.

Przeprowadzka... Gdybym pisała książkę o ludziach, którzy zburzyli całe swoje dotychczasowe życie, aby budować, aby zaczynać życie na nowo, taki dałabym tytuł w kluczowym momencie opowieści. Przeprowadzka to ładny tytuł dla rozdziału książki. Przeprowadzka to taki piękny punkt zwrotny w życiu ludzi. To koniec i początek... pożegnanie i powitanie... podsumowanie i nadzieja - tym wszystkim jest przeprowadzka jednocześnie.

A czym będzie dla mnie? Czy coś zamknie, przekreśli i czy cokolwiek przede mną otworzy?... To będzie trudna przeprowadzka - ta moja. Próba rozpoczęcia nowego życia.

Znów więc stanęłam w obliczu nieznanego, nowego, a czuję się taka złamana, rozbita. To nowe jest dla mnie jak przepaść - niewiadome, złowrogi, bez celu. Nie wiem, czy znajdę uzasadnienie i siłę, aby zanurzyć się, wskoczyć w tę czeluść czekającego mnie życia.

Potrzebuję czasu, odpoczynku, psychicznego azylu, bo wiem, że ze mną jest coraz gorzej. Nie znam się na psychiatrii, ale to, co przeżywam, nasuwa mi myśl o jakimś obłędzie. To chyba psychiczny krach, depresja. Nerwy, życiowa odporność, wewnętrzna równowaga - mogę ogłosić ich bankructwo na mój indywidualny rachunek.

Gdy patrzę wstecz na przebytą drogę i pytam, czy było warto - odczuwam tylko zawód i bolesną nostalgię. Przyszłość napawa mnie lękiem.

Już raz w życiu, a nie minęło od tego czasu jeszcze pół roku, stawiając wszystko na jedną kartę, przekreśliłam minione, ufając temu, co miało nadejść. I przegrałam, czułam się złamana. A tu znów rozdroże.

...Czy żyć, a jeśli, to gdzie, no i jak? Te pytania rozsadzają zagubioną, otumanioną głowę, drażnią swym filozoficznym absolutem moją chyba chorą, a na pewno zranioną duszę.

Będę próbowała dalej żyć. Muszę. Chociaż w każdy kolejny dzień zanurzam się niechętnie, jak w brudną sadzawkę, a noc jest jeszcze gorsza, noc czeka na mnie z koszmarami. Wiem jednak, że niczego nie potrafię zmienić. Ciągłe myślę o jakimś desperackim, ostatecznym kroku.

Raz nawet odważyłam się zadać gwałt mojej mizernej egzystencji. Chłopcy poszli zwiedzać piękny Paryż, a ja jak zwykle popijałam winko. Nie udało się jednak, tak jakbym wiedziała, że pastylek pozostałych po psychotropowej kuracji szpitalnej będzie za mało, że ich nie starczy do ostatecznego pogodzenia mnie ze sobą. I kiedy popiwszy je obficie winem, układałam się do snu - do umierania, byłam spokojna, bez jednej łzy przerażenia czy żalu. Spałam kilka godzin. Obudziłam się trzeźwa i głodna jak wilk. Ze zwierzęcym apetytem rzuciłam się na kanapki, które dla siebie przygotowali chłopcy. Nazajutrz dostałam sraczki.

To już postanowione - dopóki muszę, będę żyć. A gdzie? Serce skowyczy za Polską, nostalgia deformuje obraz pięknego świata. Nic nie jest w stanie mnie zainteresować, spodobać się ani cieszyć.

Nie nadaję się do tego. Niestety. To trochę podobnie jak z przesadzoną rośliną. A rośliny charaktery mają różne, każdy wie.

Dziki, jędrny i silny łubin wrośnie w każde podłoże i będzie walczył o swoją kiść kwiecica pachnącego słodko, a zdradziecko, panosząc się w ziemi i wysysając z niej najbardziej wartościowe soki. Będzie kradł i zagarniał, co wcale mu nie przeszkadza cieszyć się własną dorodnością i jeszcze naśmiewać się z ogołoconych, przytłumionych przez siebie słabszych roślin.

Powój - niby krucha, delikatna roślina, a tylko podziwiać jak nieśmiało i powolutku, ale konsekwentnie i nieustannie rozprzestrzenia się, pnie po nowej nieznannej grządce.

Co innego drzewo z burzą korzeni przytulających ziemię, z pamięcią słońca opalającego jego korę, z zapachem wiatru w konarach. Kiedy spróbujesz je przesadzić, a jest za późno, gdyż ono już wrosło, zapuściło korzenie, albo gdy zrobisz to nieumiejętnie, drzewo zapłacze za tamtą swoją ziemią, za swoim słońcem, wiatrem. A potem zmarnieje i uschnie. A ty patrząc na badyła, który nie chciał się przyjąć, i zapominając o jego dumnej urodzie, będziesz się sobie dziwił i nawet ganił się za niepotrzebny trud, jakim było przesadzenie go.

Jestem trochę jak to drzewo. Może zbyt późno przesadzone, a może takie, które po przesadzeniu nie miało szczęścia, gdyż świeżo uklepaną pod nim ziemię zryły zwierzęta. A być może jestem jak drzewo, którego żaden mądry ogrodnik nie ruszy, wiedząc, że ono się do przesadzania nie nadaje, musi umrzeć, tam gdzie wzrosło.

Tylko że tym ogrodnikiem byłam dla siebie ja i jak pokazało życie - niezbyt mądrym ani łaskawym. Jak drzewo, nie mogę się tu przyjąć. Zbędny trud, płonne nadzieje.

Od jakiegoś czasu wszystko we mnie - bezsenne noce, pełna gorzkiego przygnębienia apatia, zagubiony pośród koszmarnych majaków płacz, nieuzasadnione chudnięcie, coraz drażliwsze utarczki z mężem - wszystko to jest jednym rozpaczliwym wołaniem. To moje wołanie o POWRÓT.

I taka jest prawda. Tyle, że życie toczy się dalej i ma ono swoje bezwzględne prawa.

Przedwczoraj, w związku z Michałkiem w bolesny sposób dotarło do mnie, że tak ważkiej życiowej decyzji jak opuszczenie rodzinnego kraju nie wolno podejmować desperacko, pochopnie. Trzeba się liczyć z nieuniknionymi jej konsekwencjami.

A pomyłka w tym względzie jest niedopuszczalna. Nie tylko, że nie ujdzie bezkarnie, ale przyjdzie za nią zapłacić bardzo drogo. Być może cenę normalnego, szczęśliwego życia.

Te decyzje, te pomyłki to sprawa nas - dorosłych i kiedy je podejmujemy lub je popełniamy, jesteśmy przekonani, że robimy to dla szczęścia naszego dziecka. Ono nie buntuje się, pozwala się wywieźć, a w nowych warunkach asymiluje się dużo szybciej niż my.

Lecz kiedy naszą decyzję postanawiamy zmienić, naprawić popełnioną pomyłkę informując, że wracamy, u naszego zgodnego zawsze co do planów dorosłych dziecka natrafiamy na opór, a nawet na bunt.

Ono nie chce być szarpane na prawo i lewo, wrywane gwałtownie z miejsca, do którego zaczęło się już adaptować, wierząc, o czym przekonywano je przecież, że miejsce to będzie teraz jego nową ojczyzną. I tak jest z Michałkiem.

Przedwczoraj wracaliśmy z Andrzejem z miasta i niespodziewanie weszliśmy do pokoju. Michałek klęczał przed stolikiem, na którym leżał mój rozłożony paszport. Speszył się ogromnie jakby złapany na gorącym uczynku i długo nie chciał powiedzieć, co ciekawego znalazł w polskim paszporcie. Wreszcie przyparty do muru wyznał, że ma problem.

...Słyszał, jak mamusia płakała i krzyczała, że chce wracać do Polski. A na zdjęciu w paszporcie on jest razem z mamusią i to go bardzo martwi ... bo... bo on wracać nie chce, on woli zostać tu. Więc może gdyby tak to zdjęcie przeciąć... tylko gdzie on ma wkleić ten swój kawałek... i ile musi mieć lat, aby otrzymać SWÓJ paszport?...

Tu się załamał, rozplakał żałośnie i przypadając do mnie, szukał odpowiedzi, a chyba też pomocy i wsparcia. Patrzyłam na Michałka przerażona i nagle zrozumiałam, że moja porażka dotyka również jego. Ta moja decyzja - pomyłka zamyka w sobie przecież i los mego synka. Coś dławiło mnie w gardle, ostro zapiekły oczy. Przytulałam tę małą główkę, z trudem przelękając ślinę, hamując wzbierające łzy.

Andrzej patrzył na mnie z wyrzutem. Nie, nie ze współczuciem - z wyrzutem. A przecież zasługiwałam właśnie na współczucie. Nagle zdałam sobie sprawę, że w zmaganiach Michałka dręczonego bolesnym dylematem: Paryż czy Warszawa, zdecydowanie przegrywałam - ja, jego matka.

W nocy Michałek rzucał się we śnie, kilkakrotnie zrywał się z krzykiem. I wtedy zrozumiałam ostatecznie, że męcząc się i cierpiąc sama, nie mam prawa narażać na to samo dziecka. Trzeba, abym głęboko ukryła moje pragnienie powrotu i dla toczącej się we mnie walki przybrała maskę uległej akceptacji. Chyba, żeby ten powrót stał się decyzją nieodwracalną, ostatecznym wyborem i jedynym dla mnie wyjściem. Tak, wtedy można, a nawet trzeba odsłonić karty i rozegrać z mężem i synem tę ważną dla nas wszystkich trojga życiową partię.

Syn już się wypowiedział - chce rozciąć nasze paszportowe zdjęcie, a mąż? Czyżbym miała też przegrać jako żona? Zapewne. Wystarczy na niego spojrzeć, zadowolonego, dumnego z siebie i ... na wskroś francuskiego. Taki nie wraca, taki wrasta i pnie się. Człowiek, który przewyciężył wszystkie trudności, pokonał przeszkody, a teraz stoi na początku prostej i równej, wysłanej frankami drogi.

Czy ma dla niego za znaczenie, że ze mną jest inaczej, że mam za sobą nie sukces, lecz porażkę i drogą, która mnie czeka, tylko odpycha, urąga, straszy? Mocno muszę się dziś zmobilizować, aby zrobić na niej pierwszy, niechętny krok...

Siedzę w kuchni, a obok walizki. Są jeszcze trzy siatki i dwa pudełka, do których zapakowałam różne drobiazgi i książki. Meble zostały przewiezione do Brunoy jeszcze wczoraj. Dziś się nie przemęczymy, na każdego z nas wypadnie nie więcej jak po dwa bagaże.

Doczekałam się więc zmiany w moim życiu - przeprowadzka...

Już mogę wyrzucić butelkę. Wysączam ostatnie krople wina ze szklanki.

I niech to hasło: "Przeprowadzka" będzie przerywnikiem również dla mych wspomnień, rozważań. Niech razem z tą ostatnią kroplą wina uciszą się, zamilkną moje myśli.

Wiem, że ten monolog nie znajdzie słuchaczy, przecież to zwykłe życie - moje. Trudno. Tant pis, jak mówią Francuzi. I tak musiałam to z siebie wyrzucić - układnym opisem lub ironią silącą się na zjadliwą, nieśmiałą krytykę, głosem tkliwej miłości bądź zbuntowanym krzykiem wszechogarniającej rozpacz.

W jakimś sensie było to potrzebne. Moje jedyne dziecko będzie miało, gdy dorośnie świadectwo tej najtrudniejszej (chcę wierzyć, że najgorsze mamy już za sobą) części naszego życia.

A więc nie trzeba mnie słuchać, mnie i tak jakby już trochę ulżyło. Zresztą nie pora teraz na dyskusję, na dialog - wyprowadzam się, odchodzę. Przenoszę na korytarz nasze walizki, pudełka. Mieszkańcy hotelu przychodzą się pożegnać. W kuchni coraz więcej ludzi. Zaraz tu się zacznie zwykły ruch jak w porze kolacji.

W głosie żegnających aprobata, uściski dłoni są gratulacjami, w spojrzeniach często ślad zazdrości. Każdy z żegnających mnie teraz rodaków musi jeszcze mocno powalczyć, o ile nie wróci do kraju, o swoją przeprowadzkę, swoje rozdroże.

A ja wychodzę, już powinnam się zbierać...

I jeszcze tylko choć słowo, bo jakby mi trochę szkoda. Tylko co dopowiedzieć? Nigdy nie lubiłam pożegnań. A w mojej głowie myśli jak rozbestwione ptaki - głodne i lecące w pustkę - krzyczą znakami zapytania. Atakują mnie te pytania, męczą... a ja nie wiem.

Nie wiem, czy przyjdzie mi dalej żyć w chyba pięknej Francji, a jeśli tak, to jak długo. Zostanę, czy wrócę do siebie?...

Podniosę się z obezwładniającej brei rozczarowania, apatii, rozpacz, czy pograżę się w bezdrożach szaleństwa?...

Przewycięzę tęsknotę za moim krajem, czy jak dzikie, uwiązane zwierzę zdechnę któregoś dnia obok michy napełnionej soczystym żarciem?...

Czy kiedykolwiek uda mi się przełamać kompleks tej niższej, gorszej, bo ze Wschodu?...

Czy nadejdzie taki dzień, że poczuję się w tym obcym kraju nie tylko "na prawach", ale i dobrze, u siebie?...

Jak dalece zaprzyjaźnię się z winkiem, do którego i w Polsce miałam słabość, gdzie jednak trudniej było go kupić...

Co czeka mojego Michałka? Czy chociaż on będzie szczęśliwy?...

Jaką karierę zrobi mąż?... itd, itd..., a ja nie wiem.

Nie wiem. To czas, to życie udzieli odpowiedzi na te wszystkie pytania. W każdym razie ciąg dalszy nastąpi. Moje zmaganie z życiem jeszcze się toczy, rozgrywka o kształt jutra ciągle trwa.